

G e o r g e
B i d w e l l

POŁAWIACZE KSIĘŻYCA

Rozdział I

Uczciwość najlepszą polityką

Listopad, rok 1790. Długie i ciemne są wieczory w tym roku. Ale chyba zawsze w listopadzie bywają długie i ciemne wieczory, nieprawdaż...? Nie. Nie to miałem na myśli. Co ja właściwie miałem na myśli? Potrafię się wygadać doskonale, lecz skoro tylko biorę pióro do ręki, słowa nie chcą mi się układać jak trzeba. Lepiej zacznę jeszcze raz.

W listopadzie nastąpiły długie i ciemne wieczory.

Nie, tak nie będzie dobrze. Zaraz, zaraz... już mam. Listopadowe wieczory są długie i ciemne...

Niech to licha! Też źle! Przecież ludzie wiedzą, że listopadowe wieczory są długie i ciemne. Nie potrzebują mnie, abym im to mówił.

Och, pójdę i dam krowom wieczornej paszy i wody. Może kiedy wrócę...

Tak, przyszło mi to do głowy, gdy zakładałem siano za drabinki:

W długie i ciemne wieczory zimowe zamierzam zająć się spisaniem historii tych czasów, kiedy jeszcze nie zajmowałem się gospodarką. Bo ja byłem...

Oczywiście, gdybym był prawdziwym pisarzem, nie zwierzałbym się w ten sposób z moich błędów. Pisałbym dalej, jak gdybym nigdy się nie mylił, jakby to w ogóle nie było możliwe, żebym się omylił. Tak robią prawdziwi pisarze, nieprawdaż?

Ale ja nie jestem prawdziwym pisarzem i piszę tylko dlatego, żeby zabić czas w ciągu tych długich i ciemnych zimowych wieczorów. Zaraz, zaraz... zabić czas w ciągu... to jakoś źle wygląda

na papierze... O, do diabła z tym! Będę pisał, jak mówię, i nie będę kłopotał się o tę — jak to się nazywa? — składnię? stylistykę? Ostatecznie, nie spodziewam się, żeby ktoś to czytał — oprócz mojej żony oczywiście i może naszych synów. A może lepiej, żeby chłopcy tego nie czytali? Jeszcze im co strzeli do głowy... Młodzi kochają się w przygodach, niebezpieczeństwach — któż o tym wie lepiej ode mnie?

Mojej żonie bardzo zaimponował pomysł z pisaniem. Siedzi teraz i przypatruje mi się bacznie tymi swoimi niebieskimi, spokojnymi oczyma. Łokcie wsparła na drugim końcu naszego kuchennego stołu, jej silne, zręczne ręce podpierają energiczny podbródek. Przystojna z niej jeszcze kobieta. A jaka była piękna, kiedy pierwszy raz... ale o tym będzie później mowa.

Moja żona uważa, że stół kuchenny nie nadaje się do tego, co ona nazywa literacką pracą. Chce kupić biurko i krzesło z wysokim oparciem i urządzić mi jeden z pustych pokoi na górze. Półki, książki i takie rzeczy. Nazywa to gabinetem, jaki mają prawdziwi pisarze. Ale to nie dla mnie. Ja zawsze lubiłem kuchnię. Lubię słuchać, jak moja żona pobrząkuje rondlami i pogrzebaczem. Lubię wstać i wyjść na podwórze. Nie przywykłem przesiadywać spokojnie na miejscu. Moje bardzo długie członki — liczę sobie blisko dwa metry wzrostu — potrzebują ruchu. W gabinecie czułbym się jak zamknięty w celi. I nigdy nic pod ręką do przegryzienia. A kominek byłby zbyt elegancki, żeby splunąć do niego.

A zresztą, co w tym takiego niezwykłego, żeby mojej żonie imponowało? W tym samym czasie, kiedy mnie przyuczał do swojego zawodu, ojciec mój nalegał, żebym uczył się czytać i pisać, a także arytmetyki. Nadal jednak nie widzę niczego nadzwyczajnego w tym popychaniu pióra po papierze. Ja nie tak rozumiem pracę. Jeśli coś jest w twojej głowie, to z niej wychodzi, w pogawędce albo na papierze, nieprawdaż? A w mojej głowie aż się roi. Chcę powiedzieć, od wspomnień. Doświadczenia mojego życia i mojej żony, i mojego ojca.

Co? Już pora wiesz? Czas szybko leci przy tym pisaniu. Co prawda najwięcej czasu spędzam na gryzieniu mego gęsiego pióra, które już tak wygląda, jakby je szczeniak obrabiał. A moje ręce są całe fioletowe, od paznokci aż po kiść.

Żonie potrzebny stół, chce nakrywać. A po wieczery — myć się i spać. Muszę więc przerwać do jutra. Nie, nie do jutra — jutro dzień targowy. Wróć późno. Do pojutra.

Co mam zrobić na zakończenie pierwszego dnia pisania? Postawić trzy krzyżyki? Czy podkreślić przerywaną linią? Nie. Czytałem trochę książek, może niewiele, ale czytałem. I to naprawdę była praca. Prawdziwi pisarze udają, że napisali wszystko za jednym zamachem. Oczywiście, że tego nie robią. Niemożliwe. Ale i ja muszę robić tak jak oni. Nie ma innego sposobu. Trzeba zwyczajnie zostawić nie dokończoną kartkę... i zacząć w tym samym miejscu następnym razem.

Dziś jest pojutrze, to znaczy, że tamto pisałem przedwczoraj. Dzisiaj naprawdę powinienem zacząć znowu od samego początku. Znowu? Właściwie jeszcze nie zacząłem. Więc już zaczynam.

Nazywam się Ralf Eddy. Mam dwóch synów: Johna, lat dwadzieścia pięć, żonaty, ma własny dom, i Jamesa, lat dwadzieścia, jeszcze kawaler, ale już chyba niedługo. Pojechał w odwiedziny do swojego wuja do Londynu i zostanie tam aż do Bożego Narodzenia. Zimą niewiele tu do roboty dla chłopaka. Razem z żoną poradzimy sobie z karmieniem zwierząt i dojeniem krów. A młody mężczyzna powinien zakosztować trochę miejskiego życia. I może sobie upatry inną dziewczynę. Nie bardzo pochwalam jego obecny wybór. Taka młódka bez ambicji.

Mamy pięćdziesięciohektarowe, pastwiskowe gospodarstwo na podgórzu Berkshire Downs koło Wantage. Dwadzieścia krów, półtorasta owiec, dwa konie, świnie, kury, kaczki. Nie zawsze byliśmy farmerami. Szczęście nam sprzyjało i zdołaliśmy kupić sobie taką dostatnią gospodarkę. Niejeden z moich kompanów zginął w czasie wykonywania naszej niebezpiecznej profesji. My z żoną wynieśliśmy całe skóry. Ona umie rozporządzać pieniędzmi. Zaoszczędziliśmy większość z tego, co nam przypadało w udziale. Wielu z tych, którzy musieli zaprzestać roboty, nic sobie nie odłożyło na czarną godzinę. Podejmowali potem różne, kiepsko płatne zajęcia, zostali posługaczami w oberżach, czyścicielami ulic, śmieciarzami. Jeden jest zaklinaczem karaluchów. Przez lata mieli wszystko, co tylko za pieniądze można kupić, dziś przymierają głodem. Przepuścili ostatniego szylinga, nie dbając o przyszłość.

Nasza gospodarka prosperuje znakomicie. Młody James wrodził się w matkę — ma dobrą głowę do interesów, rządnym i oszczędnym. A moja żona się uparła, żeby kupić gospodarstwo daleko od morza, co nie jest takie łatwe w tej wyspiarskiej Anglii. Nie dlatego żeby nie lubiła morza —> kocha je, tak samo, jak ja. Ale bała się, bym przypadkiem nie uległ pokusie i nie wyprawiał się raz jeszcze na przemysł.

Zabawne. Postanowiłem tej zimy spisać historię owych lat — około trzydziestu — które spędziłem w zawodzie przemysłowca. I dopiero teraz pierwszy raz wspominałem o przemycie. Każdy może spostrzec, że nie jestem prawdziwym pisarzem! Mnie usadowić w poważnym gabinecie, za biurkiem, z mnóstwem książek na półkach! Na śmiech! Mnie, który się zabieram do pisania o przemycie i nigdy nie wymieniam tego słowa. No, teraz wymieniłem trzy razy z rzędu, a „przemysłowca” — raz, więc odrobiłem zaległości.

Dobrze nam się żyje jako gospodarzom. A wcale nie musieliśmy do tego się ograniczyć. Mogłem zostać czymś więcej. Mam pieniądze. Każdy wie, że w naszej Anglii można być, czym się zechce, i robić, co dusza zamarzy, jeśli tylko ma się dość pieniędzy. Słowo tu i ówdzie, parę mieszkań złota wsuniętych we właściwe ręce i dostałbym tytuł rycerski. Sir Ralf Eddy. Moi synowie byłiby szlachcicami. Niektórzy z dawnych kompanów popękaliby ze śmiechu. Ale niejeden z tych, co gorsze przestępstwa ma na sumieniu niż ja, wcale nie poprzestał na tytule szlacheckim. Zasiada w Izbie Lordów. Ja wiem. Z moich wypraw wzięły się pieniądze, które to opłaciły.

Okoliczni ziemianie bardzo się przyjaźnie do nas odnieśli. Z musu ta przychylność. Mógłbym ich wszystkich kupić, gdybym zechciał, a oni wiedzą o tym. I boją się, że a nuż to zrobię? Ale mnie niepotrzebne ani ich dobra, ani ich tytuły. Dla moich synów dość będzie, jeśli ich powszedni dzień będzie mijał na uczciwej pracy rolnika. Dzień uczciwej pracy. Dobrze robi na sen. Ja zawsze sypiałem jak żółw zimą. John ma własną gospodarstwo. Wspólnie z żoną kupiliśmy mu ją jako prezent ślubny, gdy się żenił. James weźmie gospodarstwo po nas — i może nie będzie musiał długo na to czekać. Sześćdziesiątka strzyka mi już w karku. Dobrzy z nich chłopcy. Będą się opiekowali matką — ona o dziesięć lat młodsza

ode mnie. Niechby spróbowali inaczej! Nawiedzałbym ich z za grobu!

Już mnie proszono, bym przyjął urząd sędziego pokoju. O, nie! Za dużo tych typów widziałem. Zalutuje od nich whisky, a dłoń zawsze po coś wyciągnięta. Miałem z pół tuzina tych dygnitarzy na liście płacy w swoim czasie. Nie chciałbym, by mnie teraz stawiano na równi z nimi. Hipokryci! Na sześć miesięcy więzienia skazują głodującego biedaka, który zwędził chudego kurczaka komuś, kto ma/ ich setki, a stół mu się ugina od jadła. Czy to niemoralne, że człowiek chce przeżyć? Nie. To jest tylko przeciw królewskiemu prawu. Sześć miesięcy! A sędzia pokoju tymczasem łamie królewskie prawo, pomagając przemytnikom za grubszą sumkę miesięcznie. Nie, to nie dla mnie kompania. Ja nigdy nie polowałem z myśliwymi i zarazem nie uciekałem z lisem — nigdy nie polowałem ze strażnikami i nie uciekałem z przemytnikami. Wszyscy wiedzieli, po czyjej stronie byłem. Miałem głowę na karku, zdrowe nerwy, ryzykowałem, pomagałem potrzebującym, gdy tylko mogłem, i brałem swój udział.

Ale to wszystko nie jest jeszcze początkiem mojej opowieści. To raczej koniec albo coś, co już się zbliża do kresu. Może posłuży jednak do zaprezentowania mnie samego, siedzącego za stołem w kuchni, piszącego trochę przedwczoraj i dziś nieco więcej. Moja żona spogląda na mnie od czasu do czasu i potrząsa ze zgorzeniem głową, widząc stan moich palców i plamy od atramentu na wyszorowanym do białości stole. To mnie peszy. Wydaje mi się, że nie mogę myśleć, gdy ktoś na mnie patrzy.

W każdym razie jutro już na pewno zacznę od początku. Nie, nie jutro. Przyrzekłem pastorowi naszej nonkonformistycznej parafii, że jutro będę przemawiał w kaplicy na temat: „Uczciwość najlepszą polityką”. Dobry żart. Ja, były przemytnik! Ale pastor powiada, że ci świeżo nawróceni najlepiej nawracają innych. On zna moją historię. U niego sekret jest bezpieczny. Rozsądny jegomość i nie będzie plotkował po okolicznych dworach. Moi wytworni sąsiedzi myślą, że straciłem oko w królewskich wojnach. Gdyby panowie ziemianie znali prawdę, patrzyliby na mnie z góry i kręcili swoimi długimi nosami, chociaż założyłbym się, że niejednen z nich maczał kiedyś palce w przemytniczych aferach. Więk-

szość ziemian w Anglii to robiła — oni albo ich ojcowie. Jeśli już o to chodzi, to dzisiaj gnije w więzieniach wielu lepszych ludzi niż sędziowie, którzy ich tam wsadzili.

Prawda, że się w pewnym sensie nawróciłem. Jak powiedziałem, od kiedy zmniejszono cła, przemysł się nie opłaca o tyle, aby warto było ryzykować. Zaznałem dość przygód, by mi starczyło wrażeń do końca życia. Jeśli nie ma nic do zyskania, jak tylko kula w plecy albo długoletnie więzienie, no to uczciwość jest najlepszą polityką, nieprawdaz?

Rozdział II

Cena nieposłuszeństwa

Po moim przemówieniu w kaplicy nonkonformistów wczoraj wieczorem podszedł do mnie jakiś starszy jegomość i powiada, że doskonale sobie poradziłem. Gdzie ja się nauczyłem tak przemawiać? Zaczęliśmy gawędzić. Okazało się, że on był kiedyś drukarzem, teraz już się wycofał z interesu. Wyciągnął ode mnie, że próbuję po trochu pisać.

— O, a o czym to będzie? — zapytał. — Czy o uczciwości, o tym samym, o czym pan dzisiaj mówił?

Nie chciałem zdradzać swoich zamiarów. Powiedziałem więc: — Można by powiedzieć, że o uczciwości także. Ale to opowieść.

— Może być naprawdę ciekawa — odrzekł mi. — Czy dużo już pan napisał?

— A trochę, trochę! — odrzekłem wymijająco. Ostatecznie, napisałem już tych parę stron, żeby siebie samego zaprezentować. To już jest trochę, nieprawdaż? Po czym zaczerpnąłem powietrza i rąbnąłem prosto z mostu: — Ale pisanie opowieści to dla mnie nowa rzecz. I trudno mi zacząć.

— Znam dobry sposób — odparł mój drukarz bardzo przyjaźnie. — Dowiedziałem się o nim od pewnego wielkiego pisarza, którego powieści czasem drukowałem. Nazywał się Tobiasz Smollet, umarł przed dziewiętnastu laty. Trzeba od razu zacząć i pisać dalej, zdarzenie po zdarzeniu, anegdota po anegdocie, aż już nic więcej nie będzie do powiedzenia. Całkiem łatwo.

— Jak pan mówi, to rzeczywiście wydaje się łatwe odpowiedziałem. — Będę pamiętał. Ale czy dam radę, nie wiem. Zoba-

czymy. W każdym razie nikt, prócz mnie i *może* mojej żony, nigdy...

Nie dał mi dokończyć.

— Nie, nie — rzekł. — Niech pan zawsze tak pisze, jakby cały świat miał pana czytać. Będzie się pan bardziej starał. I... kto wie? Proszę mi to przynieść, gdy pan skończy. Zobaczymy, co się z tym da zrobić. Ja mam nadal przyjaciół wśród drukarzy.

Dał swój adres — o kilka mil stąd — i życzył powodzenia. Porządny jakiś człowiek. Nie wie, jak mi ciężko idzie z piórem w rękę. Ale spróbować mogę. Zawsze powtarzałem moim synom, gdy narzekali, że coś jest dla nich za trudne: „Próbujcie, próbujcie, i jeszcze raz próbujcie”.

Więc chyba muszę zażyć własnego lekarstwa i nie krzywić się więcej.

Pamiętam ten wieczór, jakby to było wczoraj. A za dwa miesiące będzie czterdzieści siedem lat od tego czasu. Miałem dwanaście lat. Ciemno było, ale wzeszedł młody księżyc i mogliśmy się widzieć nawzajem. Mój ojciec, Dawid Eddy, wysoki i barczysty, jak ja dzisiaj, liczył sobie wówczas ponad pięćdziesiątkę, ale był silniejszy i zręczniejszy od mężczyzn o połowę młodszych od niego. Było nas ze dwudziestu. Wszyscy należeli do tej samej bandy, na której czele stał mój ojciec. Byli razem od dawna, znali się wybornie na robocie, każdy miał wyznaczone zadanie. Czasem się pokłócili, zwłaszcza gdy zaproszyli głowy. Ale nikt nie powążył się przyjść do roboty w nietrzeźwym stanie. Mój ojciec powaliłby go na ziemię. Jeden pijany może narazić wszystkich.

Kryliśmy się w zagajniku. Wszyscy mieli na sobie białe koszule, byśmy się mogli rozpoznać w zamieszaniu ewentualnej u-tarczki z celnikami. Każdy uczernił twarz i osłonił oczy, by się zamaskować. Na nogach mieliśmy grube skarpety naciągnięte na obuwie.

— Nikt się nie odzywa ani słówkiem — ostrzegł mnie ojciec przed wyruszeniem: — Jeśli choćby piśniesz, albo będziesz nie posłuszny, złożę ci skórę.

Najmniejszy szczegół owej wyprawy jest na zawsze wyryty w mojej pamięci. Po raz pierwszy ojciec zabrał mnie ze sobą.

W naszym domu, od kiedy mogłem zapamiętać, wciąż mówiono o wyprawach, o przemyście. Nie potrzebowałem więc bardzo się rozpytywać, nawet gdyby mi pozwolono. Dla mnie było to urzeczywistnienie tego, o czym marzyłem, gdy miałem najwyżej ze sześć lat.

Matka, jak wiedziałem z doświadczenia, będzie się krzątała po domu, szorując podłogi, piorąc, albo czyszcząc piec kuchenny. Zajęta bez chwili przerwy. Powinna już była przywyknąć do takich nocy, ale nie mogła się położyć. Ta noc będzie dla niej gorsza, bo i ja poszedłem razem z ojcem. Nigdy się nie kładła do łóżka, dopóki ojciec nie wrócił, chociaż bywało, że wracał dopiero po dwóch dniach.

Byłem najmłodszy w rodzinie i urodziłem się po wielu latach przerwy. Moi dwaj bracia powędrowali w świat — w świat przemytników, oczywiście. Każdy z nich należał do innej bandy. Ojciec twierdził, że mężczyźni w rodzinie nie powinni pracować razem. Jeśli nadejdą kłopoty, niechaj nie obejmą wszystkich naraz.

Zagajnik rósł na brzegach głębokiej i wąskiej zatoki, parę mil na zachód od Mevagissey, naszej rodzinnej wioski rybackiej. Mevagissey leży na południowym zachodzie, o sześć mil na południe od Saint Austell. Jeśli popatrzeć na mapę Anglii, to południowo--zachodnie hrabstwa Devonu i Kornwalii bardzo przypominają nogę mężczyzny. Kolano wypada gdzieś w okolicy Barnstaple. Gruba łydka — to Plymouth i Torquay. Land's End i Lizard Point, dwa przylądki, wysunięte na zachód i na południe, tworzą palce i piętę stopy. Kostka znajduje się koło miasta Truro, a Mevagissey jest w tyle nogi, tam właśnie, gdzie się zaczyna łydka.

Jasne? Mam nadzieję, ponieważ nie potrafiłbym narysować mapy. I co za korzyść byłaby z moich nieudanych prób, kiedy każdy może kupić doskonałą mapę w sklepie za kilka pensów. Pewno taka sama korzyść, jak z mojego kiepskiego pisania, kiedy można kupić dobrą książkę...

Przed nami ciągnęło się piaszczyste wybrzeże, a za nim morze migocące w świetle młodego księżyca. Na piasku łądzie rybackie. Nad nami, z obu stron, skaliste strome skarpy. Za nami — wąska dolina wcinająca się na milę w głąb łądu.

W tej dolinie ukryliśmy półtora tuzina juczych koni, którym

założyliśmy na pyski worki z owsem, by jadły i nie rżały. Im też owiązano kopyta. Nie miałem brać udziału we właściwej operacji. Kazano mi zostać w zagajniku, dopóki nie załaduje się koni, i wszystkiemu uważnie się przyglądać, żebym wiedział na przyszłość, co robić.

Wlepialiśmy wszyscy wzrok w morze. Wypatrywaliśmy małego szkunera. Miał podejść blisko brzegu, by nam przekazać ładunek tytoniu.

Przez wiele lat tytoń był doskonałym towarem do przemytu. Zarabiano na tym moc pieniędzy. Ludzie potrzebowali tytoniu — od lorda do chłopaka stajennego. Rząd nałożył nań olbrzymie cło. Przed stu pięćdziesięciu laty, jeszcze za panowania króla Karola, któremu ścięto głowę, za jednym zamachem podwyższono cło z dwóch pensów do jednego funta i siedmiu szylingów — czterdziestodwukrotna podwyżka! Odpowiedź na to mogła być tylko jedna — przemyt. Nadal lord i jego stajenny kurzyli fajki. Cała sieć band przemytniczych działała w Kornwalii, która zawsze była krainą ulubioną przez przemytników, z jej niezliczonymi naturalnymi przystaniami, zatokami, jaskiniami i wądołami.

Sklepikarze tracili licencję, jeśli sprzedawali przeschmugłowany towar. Ale sprzedawali spod lady, pomimo kar i zakazów. Ludzie nie mogli sobie pozwolić na kupowanie oclonego, bardzo drogiego tytoniu. Sklepy zbankrutowałyby, gdyby ograniczały się tylko do oficjalnego towaru. W oberżach też sprzedawano tytoń — w ilości potrzebnej do nabicia jednej fajki. Założę się, że każda uncja tego tytoniu pochodziła z kontrabandy. W głębi kraju oberżyci czuli się bezpieczni. Za mało było celników, by ich upilnować. A gdyby któryś się pojawił, toby go z pewnością spławiono w stawie.

Jeden z towarzyszy dotknął ramienia mego ojca. Ojciec skinął głową. Obaj dostrzegli żagle statku lawirującego pod wiatr, przeciw wiejącej od lądu bryzie. I ja go zobaczyłem. Co za podniecenie! Wydaje mi się, że marzyłem o tym, by się zjawili celnicy.

Połowa naszych ludzi zeszała na brzeg. Kilku pobiegło, by przyprowadzić konie. Trzej zostali w miejscu, gdzie dolina wychodziła na piasek zatoki, jako straż na wypadek pojawienia się jakichś niepożądanych przybyszów. Mieli muszkiety. U ich stóp leżała broń: szable, dzidy, maczugi, jak również broń palna.

Nasi ludzie weszli w wodę. Przy brzegu było płytko, ale niebawem już zanurzyli się po biodra. Dno opadało stopniami. Szkunier został specjalnie zbudowany do takiej roboty — miał płytkie zanurzenie. Rzucono kotwicę. Marynarze zaczęli natychmiast podawać przez burtę pakunki obszyte w żeglarskie płótno.

Obok mnie przeszły konie z jukami. Pakunki układano na brzegu w stosy. Serce biło mi mocno. Czemu nie mogłem być tam z nimi? Byłem duży i silny na swój wiek. Mogłem podnieść większy ciężar niż którykolwiek dwunastolatek w Mevagissey — większy nawet niż chłopcy o parę lat starsi ode mnie. Na pewno przydałbym się im tam, na brzegu. Ale nie ośmieliłem się ruszyć. Nie bałem się żadnych celników, natomiast bałem się rozgniewać ojca. Podziwiałem go z całego serca. Był dla mnie największym bohaterem wszystkich czasów. Odważny — ale dobry. Surowy — ale zawsze sprawiedliwy. Wesoły — ale nieubłagany w stosunku do każdego, kto by mu się sprzeciwił.

Na brzegu nie padło ani jedno słowo. Marynarze i przemytnicy porozumiewali się na migi. Gdy ostatni pakunek przerzucono przez burtę szkunera, wychylił się przez nią człowiek w czapce z daszkiem — a ojciec podał mu miszek z pieniędzmi. Zapłata za pakunki. Teraz już należały do nas.

Szkunier podniósł kotwicę, wziął kurs na południowy zachód, ze sprzyjającą silną bryzą. Śledziłem, jak się oddalał. Pięknie musi być tam na pokładzie, myślałem, kołysanym falami w blasku księżyca. Pewnego dnia będę miał statek.

Tupot końskich kopyt! Hałas kamieni zsuwających się po stromym zboczu doliny. Trzej nasi na czatach zawołali — pierwszy głos, jaki się rozległ, od kiedy dotarliśmy do doliny. Mój ojciec i z dziesięciu naszych ludzi, którzy ładowali pakunki na konie, pobiegli po broń. Reszta schowała się za skały. Poruszali się błyskawicznie, nikt z intruzów nie mógł ich zobaczyć. Tuzin jeźdźców przegalopował obok mnie. Ściągnęli cugle kilkanaście jardów od zagajnika. Jeden krzyknął:

— Poddajcie się i wydajcie towary, w imieniu króla — albo strzelamy!

Ojciec odpowiedział:

— Przyjdźcie i weźcie nas, i nasz towar, w imieniu króla — jeśli podolicie!

Celnicy pozsiadali z koni. Trzech z nich nosiło granatowe kubraki, białe spodnie i niskie kapelusze o podwiniętych rondach. Ci byli prawdziwymi celnikami. Pozostałych dziewięciu najęto na jedną noc. Dowódca miał w ręku szablę, za pasem pistolet. Inni byli zbrojni w muszkiety i szablę.

Jeden z naszych ludzi wystrzelił z pistoletu. Zobaczyłem, jak mój ojciec dzielił go takim ciosem w ucho, że ten aż się zatoczył po piasku w stronę morza.

— Ile razy ci mówiłem: walczymy tylko we własnej obronie! Kula przeszła wysoko nad głowami celników. Ich dowódca krzyknął znowu:

— Czy się poddajecie?

Ojciec się zaśmiał na całe gardło.

— Bez głupich pytań! — zawołał. — Wydać wam towar war tości miesiąca dobrego życia dla każdego z nas? Ale czemu nie przyjdziecie tutaj i sami nie zabierzecie?

Dwaj celnicy strzelili z muszkietów. Reszta kręciła się, prawdopodobnie w strachu. W świetle księżyca trudno było celować. Nikogo nawet nie drażnięto. Jeden z naszych ludzi podniósł muszkiet do ramienia: mój ojciec uderzył w lufę. Nigdy nie lubił posługiwać się bronią palną, jeśli banda nie walczyła o życie.

— Czekamy na was! — wołał ze śmiechem w głosie. — Jeszcze wam załadujemy resztę na konie, jeżeli dowiedziecie swoich praw do towaru!

Dowódca celników zwrócił się do swoich ludzi:

— Za mną! Jest nas tylu co ich, a może i więcej!

Zaczął zjeżdżać w dół do brzegu. Jeden z jego najętych kompanów zaskomlał:

— Nigdy nie byłem w walce!

— To masz sposobność, by zyskać eksperyencję! — odparł dowódca.

Był to potężnie zbudowany mężczyzna, nie słabszy od żadnego z nas. I nie brakło mu odwagi. Ruszył prosto na ojca. Moje posłuszeństwo rozkazom załamało się. Wskoczyłem z ukrycia, podniosłem maczugę, w którą mnie uzbrojono. Ojciec zawsze mnie pouczał, by nie uderzać celników w głowę. To się może skończyć oskarżeniem o zabójstwo. Walnąłem dowódcę z całej siły, na jaką mogłem się zdobyć, w lewe ramię. Jak mówiłem, byłem duży na

swój wiek, ale dowódca był wyższy, i w dodatku oddalał się ode mnie. Moja maczuga zsunęła się po jego ramieniu. Było to jednak dość, by stracił równowagę. Padł na ziemię ze stęknieniem i przewrócił się na ten bok, w który go uderzyłem. Leżał, obejmując prawą ręką swoje lewe ramię, i jęczał:

— Mój obojczyk! Złamany!

Nasi ludzie, którzy siedzieli za skałami, wyszli z ukrycia. Dwaj pozostali celnicy i trzej z najemnych odważnie wdali się w walkę. Tamtych sześciu zawróciło i pobiegło do swoich koni. W mgnieniu oka galopowali już z powrotem w górę doliny, bez kapeluszy, z powiewającymi strzemionami.

— Otoczyć tych tutaj! — krzyknął ojciec.

Nasza banda otoczyła pięciu walczących. Musieli rzucić broń. Byli bezradni. Dowódca dźwignął się na jedno kolano, wciąż jęcząc.

— Mój obojczyk! Mam złamany obojczyk!

Stałem przy nim, na wypadek, gdyby tylko udawał. Jego ludzie mierzyli przestraszonym wzrokiem naszych. Ojciec nie zwracał na mnie uwagi, jakby mnie nie widział. Łagodnie zwrócił się do jęczącego:

— Zaraz pana opatrzymy i ułożymy wygodnie.

Zdjął własną koszulę i oderwał mocnymi ruchami wielki trójkątny płat. Wkrótce ręka dowódcy była zabandażowana i zwiślała na zaimprovizowanym temblaku.

— Będziecie mieli nie lada kłopoty — odgrażał się niewdzięcznie pacjent. — Szmugiel to jedna sprawa i dosyć już zła. Ale uszkodzenie cielesne urzędnika królewskiego to...

— Wsadźcie go na jego wierzchowca — rzekł ojciec rozkazującym tonem do celników. Uśmiechnął się do dowódcy. — Niech ich pan zabierze do domu. Dla nich najwyższy czas spać!

Celnikom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Tylko dowódca wciąż się odgrażał. Ojciec zaśmiał się do niego z uznaniem:

— Więc niech pan za drugim razem więcej ludzi ze sobą przy prowadzi i odważniejszych.

Byłem bardzo podniecony, ale moje podniecenie mieszało się z niepokojem. Nie usłuchałem rozkazu. Ojciec nie zdradzał żadnych oznak niezadowolenia. Żle. Wolałbym dostać po głowie i mieć to za sobą.

Zmyliłmy sadzę z naszych twarzy. Prowadząc obładowane konie, skierowaliśmy się najpierw na zachód, później na północ, o-mijając miasto Saint Austell. Minęła północ. Ponieważ zarówno my, jak i konie mieliśmy owiązane nogi, nie obudziliśmy nikogo w kilku pojedynczych domostwach, koło których przechodziliśmy. Wioski i osady wymijałyśmy.

Szedłem obok ojca. Nie zwracał na mnie uwagi. Wiedziałem, że był zły. Zgrzeszyłem nieposłuszeństwem. Pojadałem chleb z serem, który dała mi matka. Byłem głodny, ale jakoś jedzenie utykało mi w gardle.

Kiedy nadszedł brzask, ukryliśmy się razem z końmi w lesie. Ładunki zdjęto i złożono na ziemi. Ludzie kładli się. Ojciec poderwał ich na nogi.

— Mamy jeszcze coś do załatwienia, zanim się położymy spać — rzekł.

Pomyślałem, że nadchodzi zła chwila. Co mi zrobią? Ale ojciec rzekł do bandy:

— Co mamy zrobić z dwoma naszymi towarzyszami, którzy wczoraj wieczorem próbowali posłużyć się bronią palną bez rozkazu i bez potrzeby?

Kilku się odezwało.

— Wygnać ich...

— Są niebezpieczni dla wszystkich...

— Nie chcemy takich...

Dwaj winowajcy stali razem, posepni i wyzywający.

Ojciec podniósł rękę i wskazał palcem na południe. Nie powiedział ani słowa. Tamci dwaj popatrzyli na siebie. Później na ojca, który miał wzrok spokojny, twarz surową. Wzruszyli ramionami i odeszli. Ojciec zawołał za nimi:

— A jeśli w urzędzie celnym powiecie choćby jedno słowo nie potrzebne, to wiecie, co was czeka!

Zatrzymali się, obejrzel. Ojciec zrobił ruch ręką, jakby zawiązywał linę na szyi.

Winowajcy poszli z pochylonymi głowami i oczyma wbitymi w ziemię.

Członkowie bandy znowu się zaczęli układać do odpoczynku.

— Chwileczkę — powiedział mój ojciec. — Jeszcześmy nie skończyli.

Teraz! Teraz kolej na mnie. Wiedziałem. Każdy miesiąc w moim ciele był napięty.

Ojciec uciął witkę z brzeziny. Położył rękę na moim ramieniu i wprowadził mnie do środka kręgu przemytników. Drgały mi kąty ust. Był to jeden z najgorszych momentów w moim życiu. Okropne było to, że go rozzłościłem i zawiodłem. A teraz nadchodziła kara. Publiczna kara, która jest karą podwójną.

— To jest mój syn. Musi się nauczyć podstawowej zasady obowiązującej przemytnika. Wszyscyśmy musieli się tej lekcji nauczyć. — Zwrócił się do mnie. — Co jest pierwszym obowiązkiem przemytnika?

Patrzyłem przed siebie. Przełknąłem ślinę. Ani słowo nie wydobyło się z mego zaciśniętego gardła.

— Odpowiedz mi. Co jest pierwszym...?

— Posłuszeństwo — wykrztusiłem.

— Rad jestem, że wiesz. Ale twoje wykroczenie jest z tego powodu jeszcze większym błędem. Czy ci powiedziałem, abyś się nie ruszał z wyznaczonego miejsca, dopóki nie pozwolę?

— Tak, ale on się rzucił na ciebie.

— To nie ma nic do rzeczy. Czy ja nie potrafię sam dbać o własną skórę? Tej nocy nikt nie powinien być zostać zraniony. Należy zawsze unikać ranienia celników. Jesteśmy przemytnikami, nie bandytami. Ten człowiek, którego zraniłeś — to nowy nadzorca urzędu celnego w Saint Austell. Przyjechał świeżo z Londynu. To nowa miotła i chce mu się wymieść do czysta przemyt z okolicy. Minie mu ten zapal. Za tydzień bylibyśmy go już przekupili. To bezpieczniejsze niż go zabijać albo ranić. Oswoimy go, jak każdego, który tu przyjeżdżał bez szeląga w kieszeni, a po paru latach wyjeżdżał z wypchanym mieszkem — wypchanym złotem od nas, przemytników — i miał dość, by sobie kupić oberżę albo dobrze prosperujący sklep.

Ojciec był rzeczywiście zły na mnie, ale jednocześnie korzystał ze sposobności, by pouczyć całą bandę i wytłumaczyć, dlaczego nam tej nocy przeszkodzono.

— Więc wiesz, co jest pierwszym obowiązkiem przemytnika — ciągnął. — Musisz się nauczyć stosować do tego, zawsze, nie zawodnie. Posłuszeństwo. Pamiętaj: nieposłuszeństwo jednego mo że zaprowadzić wszystkich towarzyszy za kraty albo na szubieni-

cę. Dopóki nie będziesz o tym pamiętał i zgodnie z tym postępował, nie jesteś wart, by należeć do szanującej się bandy przemytników.

— Ale nas było dwóch na jednego — zebrałem się na odwagę, by zaprotestować. — Nikt nie był w niebezpieczeństwie. Tylko, że on się rzucił na ciebie.

— Innym razem — odparł surowo ojciec — będzie nas może jeden na dwóch. A wtedy nieposłuszeństwo, niepotrzebny odruch, zranienie kogoś mogą oznaczać zesłanie. Posłuszeństwo to nie tylko obowiązek, to musi być nawyk, jeśli chcesz ze mną chodzić na przemyt. Są takie bandy, gdzie nikt nie zna dyscypliny, ale ich żywot nie jest długi. W naszej bandzie uzgadniamy najpierw, co ma być zrobione i jak. A potem każdy jest mi winien bezwarunkowe posłuszeństwo. Wszyscy wiemy, że musi być jeden przywódca, a reszta musi go słuchać. Widziałeś, co się dzieje z tymi, którzy łamią nasz regulamin. Nie chcemy mieć z takimi nic wspólnego. Potrzeba nam ludzi silnych i doskonale opanowanych.

Pamiętam każde słowo, jakby to było wczoraj. Popatrzyłem po twarzach otaczających mnie przemytników. Osiemnaście par oczu utkwionych we mnie. Ani jednego uśmiechu. Ani jednego mrugnienia powieki. Tych ludzi urabiano od dłuższego czasu. Słabszych odrzucano. Ojciec chciał z nich zrobić doskonałych przemytników. Nie mieli litości dla chłopaka, który chciał zostać jednym z nich. Niechaj przejdzie swoją lekcję.

— Czy mam go również wypędzić? — zapytał mój ojciec. — Czy też ukarać i dać mu jeszcze jedną szansę? — I wtedy zrobił coś, co mu się bardzo rzadko zdarzało. Zdradził przed nimi, jakie było jego własne życzenie. — Ten chłopak jest z nami po raz pierwszy. Ma tylko dwanaście lat, chociaż wygląda na więcej.

Odezwał się najmłodszy z całej bandy, dziewiętnastoletni.

— Dać mu jeszcze szansę, ale tylko jedną.

— Czy ktoś się sprzeciwia? — zapytał ojciec.

Milczenie.

— Odwróć się — powiedział do mnie ojciec. — I zdejmij koszulę.

Jego głos brzmiał spokojnie, stanowczo. Nie był człowiekiem, któremu by sprawiało przyjemność upokorzenie własnego syna.

Ale też nie był człowiekiem, który by znalazł dla mnie usprawiedliwienie, dlatego że byłem jego synem.

Zebrałem wszystkie siły, by nie krzyknąć, kiedy brzoza witka dotknęła mnie ostrym ciosem, wrzynającym się w skórę.

— Raz! Dwa... trzy... jedenaście, dwanaście!

I potem sól. Wtarta w rozoraną skórę, piekąca, jak żywym ogniem. Gryzłem do krwi usta, żeby nie krzyknąć z bólu.

Było po wszystkim. Ale nie śmiałem się ruszyć. Bałem się, że upadnę.

Ojciec objął mnie delikatnie, troskliwie ramieniem, wymościł mi legowisko z liści, ułożył na brzuchu. Nie spałem. Dygotałem od płaczu, który dławilem w sobie, wpychając pięść w usta.

Następnej nocy pomaszzerowaliśmy dalej. Ojciec i ja prowadziliśmy dwa juczne konie, które pozostały bez opieki po wypędzeniu tamtych dwóch członków bandy. Moja koszula, chociaż z dobrego płótna, obcierała mi plecy jak włosienica. Ojciec był w dobrym humorze, żartował, intonował chóralne piosenki, gdyśmy byli daleko od osiedli. Zachowywał się tak, jakby wczorajszej kary nigdy nie było. Już taki był. Zrobił, co musiał, ale nie żywił do mnie więcej gniewu ani żalu. Nie dokuczał. Był najlepszym przywódcą ludzi, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Banda ufała mu bezgranicznie i słuchała ślepo. Często myślałem, że zostałby wielkim kapitanem, gdyby w młodości popłynął na morze. Ale jego ojciec również był przemytnikiem.

Tuż przed świtem weszliśmy do lasu, gdzie czekała na nas inna banda z jucznymi końmi. Zabrali nasze ładunki. Ich przywódca wręczył mieczek memu ojcu. Pieniądze zabręczały. Nasze zadanie w tej operacji zostało wypełnione. Wyprawa była skończona.

Istniała cała ogromna sieć organizacji, przerzucających kontrabandę z rąk do rąk. Tytoń, wyładowany ze statku w Mevagissey, przewożono do miast i wsi dalej na północ. Tytoń, który palili ludzie w naszych wsiach, pochodził zazwyczaj z zachodniego wybrzeża, wyładowywano go w skalistych zatoczkach między Bude a przylądkiem Hartland. Taki system utrudniał wyśledzenie kontrabandy.

Zdjąwszy koszule i skarpety, naciągnięte na obuwie, zjedliśmy resztę przyniesionej żywności i dosiedliśmy koni pozbawionych

ładunków. Wprędce drzemałem na moim wierzchowcu, który szedł gęsiego i nie wypadł z szeregu. Ale nie usnąłem naprawdę z powodu bolących pleców.

Konie wprowadziliśmy do stajni o parę mil od Mevagissey. Był tam człowiek, który się nimi zajmował, ale mój ojciec nie odszedł, dopóki nie dopilnował, by dostały obrok. Ludzie rozchodzili się po dwóch, trzech po okolicznych wioskach w górę i w dół wybrzeża.

Kiedy weszliśmy do domu, matka spała na krześle przy kuchni. Jak zwykle, nie kładła się do łóżka, dopóki ojciec nie wrócił. Dziadek zamieszał zupę w garnku na ogniu.

— Przyda się wam coś gorącego — powiedział.

Tak wyglądało moje wprowadzenie do zawodu przemytnika. Ciekawym, jak mi się udało to, o czym mówił drukarz?

Chrapnięcie! Moja żona. Biedaczka, zasnęła na krześle, jak kiedyś moja matka, podczas gdy rozgrywały się przygody przemytniczej wyprawy. Czy to późno? Wydaje mi się, że zapomniałem o wszystkim, prócz tego wieczoru przed czterdziestu siedmiu laty. Nieba! Już po północy! Czy tak długo pisałem? Papier, którym moja żona okryła stół, cały poplamiony atramentem. Nie czuwałem tak długo, od kiedy zabrałem się do gospodarowania. Ale teraz poczułem się nagle bardzo zmęczony. Nie miałem pojęcia, że to pisanie jest taką ciężką pracą.

Rozdział III

„Strażnicy angielskich wolności”

Mój dziadek, ojciec mojego ojca, mieszkał z nami. Babka nie żyła. Dawno temu dziadek stracił nogę w utarczce z inną bandą, która wdarła się na jego terytorium. O kuli poruszał się jednak tak zwinnie i szybko, jak mało kto w jego wieku — miał już ponad siedemdziesiątkę — na dwóch nogach.

Kiedy ojciec był w domu, z nim spędzałem najwięcej czasu. Mieliliśmy łódź rybacką, właściwie tylko dla pozoru. Ale często wypływalismy na ryby, kiedy nie było przemytu. Zanim skończyłem dziesięć lat, umiałem się obchodzić z łodzią — żaglową czy na wiosła — równie dobrze jak ojciec. Czasem chodziliśmy zakładać pułapki na króliki. Kiedy ojciec zajęty był sprawami zawodowymi, chodziłem z dziadkiem do małej zatoki. Opowiadał mi zwykle o przemytnikach i ich życiu.

Następnego dnia po mojej pierwszej wyprawie z bandą siedzieliśmy z dziadkiem na piaszczystym wybrzeżu, codziennie omywanym przyplływem. Staruszek oparł się plecami o przewróconą do góry dnem łódź, grzejąc się we wrześnieym słońcu. Ja rysowałem coś patykiem na piasku. Mój pies Taffy, biały terier w czarne łaty, kopał coś zapalczywie.

— Dobrze się spisywałeś? — spytał dziadek, mając na myśli wyprawę.

Więc ojciec mu nie powiedział. A czy ja muszę? Chciałem się wykręcić.

— Staralem się — powiedziałem wymijająco. Ale nie umiem oszukiwać. Zaczerwieniłem się.

Dziadek miał zwyczaj przymykać lewe oko i patrzeć prawym,

unosząc w górę siwą brew. Znaczyło to, że nie powiedziało mu się wszystkiego. Milczałem, ale twarz mnie paliła. Dziadek uderzył łaską w swoją drewnianą nogę. To był następny znak, który rozumiałem dobrze — czekał na wyjaśnienie. Posypywałem sobie piaskiem nogi. Nie mogłem patrzeć na niego.

— Nie usłuchałem ojca. Wychłostał mnie. Przy wszystkich! — wybuchnąłem łkaniem. Nie z powodu zadanego mi cierpienia ani bólu, który jeszcze mi dolegał. Z powodu upokorzenia.

— Bolało?

Znowu milczałem, walcząc z tymi niemęskimi łkaniami. Przystałem płakać, ale pierś mi się trzęsała. Nie mogłem mówić. Dziadek jeszcze raz uderzył łaską w drewnianą nogę. Opanowałem się na tyle, by wykrztusić:

— On musiał to zrobić. Rozumiem.

— W takim razie w porządku. Jeśli rozumiesz. I kości ci nie połamał. A oprócz... tego... jak ci się wydała ta wyprawa?

— Ojciec był wspaniały. W akcji. Chciałbym być do niego podobny.

— Tak, twój ojciec dobrze się zapowiada. — Dziadek mówił o swoim synu, jakby był on wciąż jeszcze młodym chłopakiem. Ton jego głosu oznaczał, że pewnego dnia, kiedy nabierze więcej doświadczenia, mój ojciec będzie dobrym przemytnikiem. Jakby trzydzieści pięć lat szmuglowania nie starczyło do nabycia doświadczenia! Starzy ludzie bywają dziwaczni. Pewno moi synowie mówią to samo teraz o mnie. Chociaż ja staram się doceniać ich zalety. Ale jeszcze mają dużo do nauczenia się, oj dużo!

— Chcesz dalej praktykować? — pytał dziadek. — W zawodzie twego ojca? W moim? W zawodzie mego ojca?

— Oczywiście, że chcę — odparłem szorstko. Czy dziadek sobie wyobrażał, że mnie zniechęci... taka rzecz?

Dziadek nie zwracał uwagi na moją nieuprzejmość. Pyknął z fajki i popatrzył na morze zwężonymi oczyma.

— Nie zraza cię, że będziesz przestępcą wobec prawa?

Zawsze był taki dociekliwy. Lubił się dopytywać, szperać, aż udało mu się poznać każdy zakątek ludzkiej duszy. Jeśli ktoś zbywał go półprawdą, dziadek przymykał lewe oko, unosił krzaczastą siwą brew. I gdy następnym razem spotykał tego człowieka, zaczynał pytać znowu...

Jego pytanie mnie nie zaskoczyło. Byłem na nie przygotowany.

— Ojciec powiada, że nie ma w zasadzie nic złego w przemyślnictwie. Powiada, że jeżeli prawa są przeciwne interesom ludu, to lud będzie je łamał.

Dziadkowi nie wystarczało, abym tylko powtarzał słowa ojca. Chciał znać moje własne myśli.

— Czy ty sądzisz, że cła na tytoń, trunki, cukier i herbatę są przeciwne interesom ludu?

— Oczywiście. Z tego powodu zwykle drobne przyjemności stają się zbyt kosztowne.

— Jeśli są zbyt kosztowne, to może ludzie powinni się bez nich obywać — podsunął dziadek.

Pykał z fajeczki — szmuglowany tytoń, oczywiście — i zerkał na mnie poprzez kłęby dymu. Skończyłem rysować na piasku okropnego konia.

— Dlaczego mieliby się obywać? — zapytałem. — Harują zwykle ciężko. Dlaczego tylko bogaci mieliby prawo do drobnych przyjemności? Dobry król z pewnością chciałby, by jego poddani za znali trochę przyjemności. Jeśli nasz tego nie chce, to musi być złym królem. I... i... — nie wiedziałem, jak dokończyć.

Dziadek mi dopomógł.

— Zły król, złe prawa. A złe prawa będą łamane.

Kończąc to, co ja chciałem powiedzieć, okazał swoje uznanie.

Wytrząsnął wielką fajkę z wiśniowego drzewa, postukując nią o drewnianą nogę. Wyjął z kieszeni laseczkę tytoniu. Pomału, z rozważą, odciął mały kawałek i tarł go w dłoniach tak długo, aż się całkowicie rozkruszył. Nabił z powrotem fajkę. Skrzesał ognia krzesiwem, które znowu wyjął z tylnej kieszeni swego długiego kubraka. Ta kieszeń była jak skrzynia ze skarbami. Przedmioty, które w niej nosił, dzwięczały i grzechotały, gdy szedł. Czasem wyjmował gwizdek albo stare monety z obcych krajów.

Starłem nogą mój rysunek, przeciągnąłem się i zacząłem zdejmować koszulę.

— Pójdę popływać — oznajmiłem.

I nagle zatrzymałem się jak wryty. Nie chciałem pokazywać świeżych blizn na plecach. Dziadek mnie wybawił.

— Woda za zimna — rzekł. — A ja mam świeżo nabitą fajkę.

Mógłbym ci opowiedzieć o rzeczach, o których lubisz słuchać.

— Wspaniale! — powiedziałem, sadowiac się pod przewróconą do góry dnem łodzią. — O czym?

— Twój dziadek był przemytnikiem za panowania króla Karola Pierwszego. Ale przemytnictwo istniało już o wiele dawniej...

Dziś nie pamiętam dokładnie jego słów. Ale mieliśmy z dziadkiem niejedną taką rozmowę, którą on nazywał „odczytami profesora Eddy”. Staruszek chciał, żebym był dumny ze swego zawodu, z rodzinnego zawodu. Treść tych gawęd, może pomieszana ze szczegółami, o których dowiedziałem się później, utrwaliła się dobrze w mej pamięci. Mówię: gawęd, bo ja nie lubiłem potulnie słuchać. Starzy ludzie zwykle gładzą. Więc zazwyczaj wtrącałem co rusz swoich kilka groszy. Zaraz na początku zapytałem:

— Ciekawym, kto był w ogóle pierwszym przemytnikiem na świecie?

— Tego ci nie mogę powiedzieć — odrzekł dziadek. — Ale możesz być pewien, że w królestwie, którego władcy po raz pierwszy przyszło do głowy pobierać cła za towary wywożone z jego kraju i wwożone do niego — był przemyt. Pierwsze cła w Anglii pobierał Ryszard Lwie Serce. Myślę, że potrzebował pieniędzy na wyprawy krzyżowe. Założyłbym się, że byli ludzie, którym udawało się ominąć ten przepis — i oni byli pierwszymi angielskimi przemytnikami. Ale pierwszym przemytnikiem, jakiego nasza tradycja zna z nazwiska, był Henry Arderne. Za jego czasów, a to już blisko pięćset lat temu, ściągano cła za wywożoną wełnę, tak samo jak dziś. Szmuglował więc wełnę w pustych beczkach po reńskim winie, twierdząc, że musi je zwracać. Nakryto go w końcu i musiał zapłacić grzywnę w wysokości dwudziestu funtów szterlingów, co było w owych czasach wielką sumą.

— Zakonnicy również szmuglowali wełnę, prawda? — pytałem.

— A jakże. W niewiele lat po aferze z Ardernem zdarzyła się taka historia. Cystersi z hrabstwa Lancashire hodowali piękne owce i mieli stada liczące kilkaset sztuk. To nie wszystko. Mieli też dwustotonowy statek. Po kryjomu ładowali swoją wełnę na ten statek i wywozili ją bez cła do Niderlandów. Musiało im to

zaoszczędzić ładny kawałek grosza. Oni i ich śluby ubóstwa! — Dziadek prychnął krótkim śmiechem.

— Więc oni nie byli naprawdę ubodzy?

— Ubodzy? W każdym razie jednego z cystersów przyłapano koło Gravesend z pięknym złotym pierścieniem i taką ilością dobrej angielskiej monety, iż to nie świadczyło o ubóstwie. Złota i monet nie wolno było wywozić z kraju. Jego opat udzielił mu surowej reprimendy...

— To opat uważał przemyt za grzech? — przerwałem.

— Bynajmniej. — Dziadek znowu parsknął śmiechem. — Opat udzielił mu reprimendy za to, że dał się złapać!

— Co królowie robili z pieniędzmi, które pobierali za cło?

— W owych czasach wydawali je głównie na wojny.

— Czy cła przynosiły im duże dochody?

— O wiele mniejsze niż oczekiwali. W piętnastym wieku połowa angielskiego handlu wełną była w rękach przemysłowców. Rząd zaczął się rzeczywiście kłopotać. Posłano kutry straży celnej, żeby patrolowała ujścia rzek, zatrzymywała i przeszukiwała podejrzane statki. Ale przemysłowcy śmieli się z nich.

— Rządy bywają naprawdę głupie — zauważyłem. — Przecież nawet ja nie byłbym tak głupi, żeby sobie wyobrażać, że można upilnować wszystkie wybrzeża Anglii mając do dyspozycji kilka kutrów.

— Masz słuszość, mój chłopcze, nie można. I dzisiaj nie mogą upilnować, chociaż mają teraz dużo, dużo więcej kutrów straży celnej. Przemysłowcy wkrótce zaczęli ładować towar nie w wielkich portach, ale w małych zatokach i przystaniach na całym wybrzeżu.

— A to, co się ładuje w wielkich portach, powiedzmy w Londynie, jest zawsze oclone? — pytałem.

— Skądże! Może połowa. Celnicy, i ci na lądzie, i ci na morzu, byli bardzo kiepsko opłacani. Za niedużą sumkę chętnie pomagali w kontrabandzie. Ani gram ładunku nie oglądał urzędu celnego.

— Ale nie wszyscy byli tacy?

— Zapewne nie wszyscy i nie zawsze. Pod koniec szesnastego wieku zmarł człowiek, który przez czterdzieści lat był nadzorcą ceł na sukna. Stale odmawiał przyjmowania łapówek. Jego śmierć

była ostrzeżeniem dla innych celników: zostawił wdowę i kilkoro dzieci w zupełnej nędzy.

— Taka nagroda za wierną służbę królowi! — zakpiłem.

— Przemysłowcy są rzeczywiście hojniejszymi pracodawcami — zaśmiał się mój dziadek. — Wielu z tych mniej skrupulatnych celników, którzy na bosaka przyszli na swoje posady, kupiło sobie powóz w ciągu paru lat. Przypominam sobie, że akurat mniej więcej wtedy, kiedy terminowałem w zawodzie przemysłowca, był jeden nieprzekupny celnik w Bristolu.

— Jakżeście sobie z nim poradzili? — pytałem ciekawie. Dziadek wyjął fajkę z ust i roześmiał się szeroko.

— Nie potrzebowaliśmy nic robić. On był niewidomy!

— Jak go w takim razie przyjęto do urzędu celnego?

— W owym czasie wszyscy, władze portowe, sędziowie, burmistrz należeli do jednej kliky i zarabiali ciężkie pieniądze na omijaniu przepisów celnych. Oni to mianowali ślepcę celnikiem. Bardzo im to dogadzało.

Taffy zaczął skakać przed nami, naszczekując. Znaczyło to, że się nudził i miał ochotę na spacer.

Dziadek dźwignął się na nogi, faktycznie na jedną nogę i jedną kulę.

— Pies wie najlepiej — rzekł. — Czas na nas. Kurcze mnie łapią od takiego długiego siedzenia bez ruchu.

— Kurcze w drewnianej nodze? — dokuczałem mu.

Udawał, że się rozgniewał i na niby zaczął mnie okładać laską. Poszliśmy w górę skarpy. Dziadek zdyszał się, zanim dotarliśmy do szczytu, i przystanął, wsparty o laskę.

— A jak rząd sobie radził z łapownictwem? — zapytałem.

Zachichotał, z trudem chwytając oddech i rozkaszał się.

— Ustanowili kontrolerów, by pilnowali celników — wykrztusił, śmiejąc się i kaszląc. — I tych przekupiliśmy... Więc przysłali kontrolerów nad kontrolerami, którzy pilnowali celników. I to nie pomogło. Przemysł kwitł. Tyle tylko, że zamiast jednego, musieliśmy przekupić trzech!

— Czy wobec tego przemysł się jeszcze opłacał?

— Tak, bo wciąż podnoszono cła. I obcy kupcy musieli płacić jeszcze wyższe cła niż angielscy. Oni byli naszymi najlepszymi klientami. Kupcy z Hamburga, Lubeki, Gdańska.

— Gdzie leży Gdańsk, dziadku?

— Cóż to, chłopcze, nie uczyłeś się geografii?

— Nauczę się jej, tak samo jak dziadek, pływając po morzach.

— Jesteś bezczelnym łobuziakiem — rzekł dziadek, wymachując znowu nade mną laską całkiem niegroźnie. — Ale to prawda, że odwiedzałem wszystkie te porty w naszych rejsach, a o innych miejscach, których sam nie oglądałem, niewiele wiem. Gdańsk leży w Polsce. Ach, oni są sprytni, ci Polacy.

Przystanął i zaśmiał się, wsparty o laskę.

— Dlaczego, dziadku? Opowiedz!

— Ci Polacy! Potrafili wystrychnąć na dudków większość królów Europy. Wysyłali wosk do Londynu, a tak zręcznie przemycali go na brzeg i do magazynów, że nigdy złamanego szeląga cła nie zapłacili. Trzeba ci wiedzieć, że wszystkie ważne dokumenty państwowe pieczętuje się woskiem i odciska w nim pieczęć królewską. Otóż do kancelarii królewskiej kupowano wosk nieoclony, bo innego nie było. I podobizna królów Anglii odciskana była w wosku, importowanym do kraju wbrew królewskiemu prawom.

— Dziadek zaśmiał się jeszcze raz. — Ci Polacy! Nawet królów umieli na dudków wystrychnąć...

Była to jedna z moich ulubionych historii zaczerpniętych z bogatego skarbcza przemysłniczych tradycji. Dziadek opowiadał i inne. Pamiętam dobrze opowieść o donosicielach, którzy zaczęli się pojawiać za panowania królowej Elżbiety.

— Myszkowali po portach i na wybrzeżach, jak zresztą i dziś

— mówił dziadek. — Skoro tylko któryś dostrzegł, że wyladowywano towar, który obudził jego brudne podejrzenia, zaraz leciał donieść o tym sędziom. Jeśli kupca albo przemysłownika skazano na grzywnę na podstawie donosu, donosiciel dostawał połowę wartości grzywny.

— Powinno się takich pławić albo w smole i pierzu tarzać — powiedziałem gniewnie. — To nie jest uczciwa gra!

Zawsze byłem gotów zmierzyć się sprytem i odwagą z uczciwym wyznaczonym celnikiem i klepnąć go po plecach, gdyby mu się udało mnie przechytrzyć. Ale donosiciel i szpieg prześlizguje się ukradkiem, wyszeptuje swoje domysły do ucha władzom i jeśli jest dość przebiegły, nikt nawet nie wie, kto to jest.

— Donosiciele dostawali, na co zasłużyli, możesz być pewny — ciągnął dziadek. — Nie tylko kupcy i przemysłowcy ich nienawidzili. Celnicy również. Donosiciele informowali także o łapówkach, które szły do rąk celników. Był raz sklepikarz, który miał kram z norymberszczyzną w Londynie. Zaczął myszkować po przystani. A tak mu się dobrze wiodło dzięki donosicielstwu, że zamknął kram i wyłącznie już zajął się szpiegowaniem. Całą organizację sobie założył, miał własnych agentów w różnych portach. Wyplacał im zasługi ze swoich judaszowych pieniędzy. Pewnego dnia w porcie Weymouth, na południowo-wschodnim wybrzeżu, wyniuchał wiadomość o dwustu koniach, które miano przemycić do Francji. Poszedł do urzędu celnego, żeby mu dopomogli przyłapać te konie. Odmówiono mu. Celnicy mieli dostać udział w zysku z tego przedsięwzięcia. A kiedy nalegał, wyplazowali go szablami. Kupcy im zaraz pomogli i wspólnie wrzucili szpiega do morza. Wyłowili go hakiem na bosaku i ociekającego wodą zabrali do karczmy, gdzie popijali szmuglowany rum i nabijali się z niego, a on trząsał się cały i jęczał, że się na śmierć zaziębi.

— Dobrze mu tak! — powiedziałem z przekonaniem. — Mam nadzieję, że się naprawdę na śmierć zaziębił!

— W rzeczy samej wyżył — odrzekł dziadek. — Ale wyleczył się nie tylko z przeziębienia. Dał spokój donosicielstwu i wrócił do swego kramu z norymberszczyzną.

Dziadek się zasapał. Siedliśmy na skarpie, przyglądając się łodziom rybackim niedaleko brzegu. Rybacy wyciągali pełne sieci. Musieli natrafić na ławicę sardeli. Taffy tarosił starą kość, którą skądś wygrzebał.

— Przemysł się rozwijał — opowiadał dziadek — bo zamiast obniżać cła, różni królowie wciąż je podwyższali. Miedź, ołów i cynę włączono do towarów, podlegających ocłeniu przy wywozie. Owiec ani jagniąt nie wolno było wywozić. A można było za nie dostać dobrą cenę na kontynencie. Nikt takich pięknych owiec nie umiał wyhodować jak angielscy owczarze. Kogo przyłapano na szmuglowaniu owiec, temu konfiskowano cały dobytek, skazywano na rok więzienia, a na dokładkę obcinano lewą dłoń...

— Jak? — przerwałem mu, gdyż chciałem wiedzieć dokładnie.

— Toporem. A kikut maczano w smole. Niewesoło.

— I to nie powstrzymało przemytu?

— Oczywiście, że nie. Ustanawiać prawa to jedna rzecz, a egzekwować je to zupełnie inna. Przymyt za bardzo się opłacał i kupcowi, i przemysłowikowi. Nie mówiąc o celnikach. Ci nie mogli sobie pozwolić na sumiennosc. Prócz tego, coraz więcej przemycano towaru przywożonego do kraju, nie tylko wywożonego. Nałożono wysokie cła na herbatę, tytoń. A to poruszyło nie tylko kupców, ale całą ludność. Prawie każdy na wybrzeżach, a i wiele ludzi w głębi kraju, był związany z przemysłem w ten czy inny sposób. Jak i dzisiaj. Każdy chciał mieć tytoń i herbatę po rozsądnie niskiej cenie. Dostarczano przemysłowikom łodzie, by dowieźć towar na ląd, pomagano ukrywać kontrabandę — a i przemysłowików także, jeśli przypadkiem celnicy ich ścigali. Dawano konie i wozy, którymi wieziono towar w głąb kraju, często schowany pod sianem.

— Zwykli mieszkańcy stali się przyjaciółmi przemysłowików — podpowiedziałem — i nie bali się łamać prawa.

— Wypowiadali walkę prawu — przyznał dziadek — i wierzyli, że postępują słusznie. Dziś tak samo, spytaj ojca. W czasach mego ojca — twego pradziadka — król Karol wzburzył wszystkich poddanych, nakładając coraz wyższe cła na żywność i trunki. Nakładał te cła sam, bez zgody parlamentu. Przemysłowicy i ci, co im pomagali, uważani byli za strażników angielskich swobód przed tyranią królewską.

— Bo tak było naprawdę — rzekłem z zapalem. — I mój ojciec jest strażnikiem angielskich swobód!

Dziadek pokiwał głową z uśmiechem uznania, a poklepując się po brzuszku, który mu urósł, od kiedy się wycofał z czynnego życia, powiedział:

— A teraz musimy się zbierać do domu, mój chłopcze. Twoja matka pewno tam czeka z obiadem.

Przyływ szedł szybko. Już tylko wąski skrawek piasku widać było na plaży. Podbiegłem do samego skraju skarpy i rzuciłem daleko w morze kij dla Taffy'ego. Pies pognął w dół po stromiznie, rozpryskując łapami kamyczki i skoczył do wody.

— Ale opowiesz mi kiedyś o twoich własnych przygodach w przemysłniczych wyprawach, dobrze, dziadku? — poprosiłem.

— Może. Ale one nie są ważne. Wszyscy przemysłowicy prze-

żywiają podobne przygody: twój ojciec, a i ty, gdy twój czas nadejdzie. Idziemy do domu.

Do opowiadań dziadka chciałbym dodać jedną przygodę mego ojca. Zdarzyło się to, gdy po raz pierwszy został przywódcą bandy. Pracował wówczas na wschodnich wybrzeżach i właśnie dostał na ład ładunek francuskiego wina, kiedy z pobliskiego miasteczka ktoś przygalopował konno z doniesieniem, że nadchodzi oddział celników. Ojciec kazał ludziom pośpiesznie powiązać skrzynki linami i wrzucić je do burch wód stawu opodal wybrzeży morskich. I zanim jeszcze celnicy nadjechali, przemytnicy oddalili się, zerkając za siebie na odbicie księżycy w spokojnych wodach stawu.

Następnej nocy przemytnicy ubrali się jak parobcy rolni i poszli do stawu z widłami i grabiami. Powtykali sobie słomę we włosy i w kapelusze, udając prostodusznych wieśniaków. Gdy znaleźli się nad stawem, niebo było bezchmurne. Zabrali się do wyławiania skrzynek, zaczepiając o sznury widłami i grabiami. I właśnie w tej chwili celnicy, którzy się zaczęli w pobliżu, wstali z ukrycia. Przemytnicy wcale nie przerwali swego dziwnego zajęcia, tylko uśmiechali się idiotycznie do celników.

— Widzicie — powiedział mój ojciec, wskazując na wielką srebrną kulę, odbijającą się w wodzie. — Wyławiamy księżyc ze stawu. Wtedy będzie nasz. Zjemy go. I nie będzie nigdy człowieka na księżycu, tylko księżyc w człowieku!

Celnicy popatrzyli jeden na drugiego, stuknęli się palcem w czoło i poszli, wruszając ramionami. Przemytnicy wyłowili zatopioną kontrabandę, a opowieść o ich fortelu wkrótce rozniosła się po całej Anglii. I na wschodnim wybrzeżu przemytników nadal nazywa się mianem, które zyskał dla nich mój ojciec:

„Poławiacze księżycy”.

Tyle mniej więcej chciałem napisać o przemytnictwie w dawniejszych czasach. Reszta mojej opowieści będzie poświęcona latom, kiedy chodziłem na przemyt z moim ojcem — i na własną rękę.

Rozdział IV

Zatopione dzwony

Zaczyna mi sprawiać przyjemność to pisanie. Siadam do stołu z wyraźnym uczuciem satysfakcji. Nie wstaję co chwila i nie chodzę tam i z powrotem po kuchni jak kot, który chce, by go wypuszczono na dwór. Z początku nie wiedziałem, o czym pisać, a teraz mam tyle do powiedzenia! Przez cały dzień rozmyślałam o tym, co mam napisać wieczorem. Kiedy obrządzam krowy, jedna rzecz mi się przypomniała, kiedy strzygę owce — druga. To bardzo wciąga, takie opowiadanie. Sam zauważyłem, że mówię do Doroty, mojej ulubionej klaczy:

- To będzie dobra historyjka do napisania, staruszko! Albo:
- Co sądzisz o tym zwrocie? Wypada tak powiedzieć?

Staję się bardzo literacki. No, żarty na bok. A jednak to jest zabawne, że dobiegając sześćdziesiątki, zabrałem się do czegoś tak zupełnie dla mnie nowego.

Żona moja też się przyzwyczaja, w pewien sposób, do mojej pisaniny. Wiem o tym, bo kiedy stawiam kałamarz na stole, ona wzdycha. Tak samo wzdycha, kiedy jadę na jarmark. Do tego już od dawna przywykła, ale nie lubi, kiedy ja sobie gawędzę z innymi gospodarzami, a ona nie bierze w tym udziału. Tak samo jest, kiedy piszę, jakby mnie w ogóle nie było obok niej. Jakbym gwarzył sobie z ludźmi, których ona nigdy nie знаła. To w pewnym sensie jest prawdą. Więc pobrzękuje rondlami i patelniami, żeby mi przypomnieć, że chociaż mnie tu nie ma, to ona jednak jest — jeśli się jasno wyrażam- Jakoś mi to nie wyszło, ale może mnie jednak zrozumiecie.

Towarzyszyłem ojcu w różnych późniejszych wyprawach, wciąż tylko się przypatrując. Możecie być pewni, że nigdy więcej nie przyłapał mnie na niesubordynacji. Lekcja nie poszła w las. Nie zaznałem drugi raz upokorzenia wobec całej kompanii towarzyszy. Jedna porcja tego lekarstwa wystarczyła mi. Stopniowo ojciec zaczął mi powierzać różne zadania.

Najpierw pilnowałem koni jucznych. Później stałem na straży, by ostrzec przed niepowołanymi intruzami. Wreszcie pozwolił mi ładować beczki i skrzynie z kontrabandą. Jednakże minęło wiele czasu, zanim mogłem wziąć udział w jakiegokolwiek utarczce.

Jeśli tylko przeczuwał niebezpieczeństwo, ojciec rozkazywał mi się ukryć w krzewach, w jaskini, za skałami. Buntowałem się przeciw temu, ale wytrzymałem. Dobry przemytnik powinien być zdyscyplinowany.

Opuściliśmy Mevagissey. Niezdrowo jest dla zawodowych przemytników mieszkać długimi latami w jednej miejscowości. Im lepiej mu się wiedzie, tym częściej powinien zmieniać teren działania. Władze decydują się wreszcie skończyć z nim. Przysyłają nowych celników, koncentrują strażę, nawet wojsko ściągają. I wówczas przekonują się, że go nie ma. Przeniósł się zapewne nie dalej jak o sto mil, ale prawdopodobnie zmienił nazwisko, zapuścił albo zgolił brodę, może nosi czarną opaskę na oku. Czasami kilkunastu członków bandy przeprowadza się wraz z przywódcą, kiedy indziej tylko kilku. Znajdują sobie nowe domy.

Kiedy wyprowadziliśmy się z Mevagissey do Boscastle, miałem piętnaście lat. Dziadek zmarł poprzedniego roku. Wyprawiono mu piękny pogrzeb. Wyczyny z lat jego młodości były ogólnie znane, weszły do tradycji przemytniczej. Cieszył się wielkim szacunkiem wśród mieszkańców południowo-zachodnich wybrzeży Anglii.

Eddy to nasze rodowe nazwisko. Zmieniliśmy je na Dunham w okresie pobytu w Boscastle. Wróciliśmy do nazwiska Eddy, by później znowu przybrać inne miano. Tylko trzech członków bandy przeniosło się z nami, reszta miała wkrótce dołączyć. Mieli rodziny, domy, gospodarstwa i nie mogli tak łatwo znaleźć czegoś odpowiedniego dla siebie w pobliżu Boscastle.

W Boscastle była już przedtem mała banda przemytników. Stracili właśnie swego przywódcę, który utonął, ratując dziecko z mo-

rza. Ojciec objął przewodnictwo nad bandą z Boscastle. Znany był powszechnie i przemytnicy radzi byli z tego. Nie była to zła banda. Nawet dosyć zdyscyplinowana, ale mało aktywna, poprzedni przywódca nie miał kontaktów z kapitanami i szyprami. Rzadko kiedy trafiał im się więcej niż jeden ładunek szmuglu na miesiąc. Ojciec niebawem otrzymywał ładunki co tydzień. Mawiali niektórzy, że to za często i przez to niebezpiecznie. Ale kiedy po pół roku rządów mego ojca zarobili kilkakrotnie więcej niż dawniej, nabrali ducha. Tchórzliwszych wypielono jak chwasty, niech wracają do rybołówstwa.

Boscastle, mniejsza wioska od Mevagissey, leży na północnym wybrzeżu Kornwalii, w połowie mniej więcej owej nogi, do której porównywałem tę część Anglii. Jest tu wąska zatoczka, dobrze osłonięta, ale statkom trudno było do niej wpływać i trzeba je było holować linami po wąskim kanale między wysepką na północ od zatoczki i przylądkiem na południu. Toteż rzadko sprowadzaliśmy ładunki albo wywoziliśmy towar z Boscastle. Większość przemytu przechodziła przez Tintagel, wygodniejszą przystań o cztery czy pięć mil dalej na południe, albo też przez Crackington, przystań położoną w tej samej mniej więcej odległości w kierunku północnym.

Lubiłem Boscastle, a także Tintagel. Podobno urodził się tu król Artur. Ponieważ jednak mi powiedziano, że wątpliwe, czy król Artur w ogóle istniał, więc przypuszczam, że kwestia jego urodzenia w Tintagel też musi stać pod znakiem zapytania. Całe to wybrzeże jest dzikie i piękne. Skarpy wznoszą się wysoko, prostopadle, wprost z morza. Gdy się patrzy z góry, w przepaść, widać zawsze wzburzone morze, a nigdzie piaszczystych plaż, chyba tylko w zatoczkach podczas odpływu. Fale rozbijają się o ściany skalne, a odtrącone, natykając się na silny prąd przyprływu, kotłują się, wzbijają i pienia, tworząc potężne wiry. Groźne to wybrzeże, złowieszcze dla statków, które się zanadto zbliżą do brzegu w złą pogodę.

W czas burzy piana, wyrzucana przez rozbijające się o skały morze, wlatuje wysoko w górę, aż nad skarpe. Jeśli stoisz na skraju skarpy, piana zmoczy cię do nitki. Niejedną noc spędziłem z ojcem na skarpie, rzucając liny jakimś nieszczęśnikom, których statek roztrzaskał się na tych nieubłaganych skałach. Dziesięcio-

krotnie więcej tonęło lub rozbijało się o skarpę, niż zdołaliśmy uratować.

Parę mil w głąb łądu wznosi się masyw górski, znany jako Brunatny Will. Między górą a morzem jest kilka wąskich dolinek, ale okolica tu prawie bez zarośli, naga, otwarta. O Kornwalii powiadają, że nie rośnie tu dosyć drzewa nawet na trumnę.

Kościół w Boscastle stoi na wysokim wzniesieniu, uliczki osady pną się ku niemu kręto pod górę. Na wieży kościelnej nie ma dzwonów.

Pewnego wieczoru, wkrótce po osiedleniu się w Boscastle, staliśmy z ojcem na skarpie, przyglądając się statkowi, który walczył z burzą. Pamiętam, jak matka gniewała się na nas tej nocy, żeśmy mokli niepotrzebnie. Rzeczywiście, okazało się, że niepotrzebnie, ale pół wsi czuwało tej nocy, oczekując, że trzeba będzie brać się do ratowania rozbitków. Jakiś bardzo stary człowiek podszedł do ojca. Za stary był, żeby wychodzić w taką noc, ale powiedział nam, że nie opuścił żadnej burzy w ciągu siedemdziesięciu pięciu lat.

— Czy słyszycie dzwony? — zapytał starzec.

Ojciec zerknął na mnie. Dorównywałem mu już wzrostem. Po sposobie, w jaki unióśł brwi, zrozumiałem, że uważa starca za pomyłonego. Odpowiedział:

— Nie, nic nie słyszę prócz wichru i morza.

Stary się upierał.

— A ja słyszę. O, teraz! Takie dzwonięcie, jakby muzyka... Drugi starzec, może o parę lat młodszy, przechodził obok nas.

Ludzie długo żyją w Kornwalii.

— Danielu...

Rozmawiali przez chwilę dawnym, kornwalijskim językiem. Zupełnie inaczej mówią w tej Kornwalii. Powiedziano mi, że to język zbliżony do celtyckiego, co znaczy, jak przypuszczam, że ma coś wspólnego z mową irlandzką, walijską i tą, którą mówią Bretończycy. Trochę się nauczyłem tego języka, ale ilekroć się odezwałem, tamtejsi mieszkańcy się uśmiechali. Niełatwa to mowa. Ci prawdziwi, starzy mieszkańcy Kornwalii, którzy nie postawili stopy nawet w sąsiednim hrabstwie Devonu, pogardzają Anglikami. Od tamtych czasów, kiedy byłem młodym chłopcem, język kornwalijski coraz bardziej zanika, chociaż czasem zdarzy mi się jesz-

cze usłyszeć go w jakiejś oberży. Szkoda, To był barwny i melodyjny język. Ale oczywiście niepraktyczny w nowoczesnym świecie. Nie można tkwić w jednym hrabstwie przez całe życie i nosa nigdy nie wytykać. Trzeba poznać własny kraj, a także i obce. Więc powinno się mówić przynajmniej po angielsku.

Ale wracając do burzy, dwóch starców i do dzwonów.

Ten, który pierwszy do nas podszedł, rzekł:

— Widzicie. Daniel powiada, że też słyszy dzwony.

— Jakie dzwony? — zapytał ojciec, trochę zniecierpliwiony. — Przecież w Boscastle nie ma dzwonów, chyba te, co krowy na szyi noszą. A krów w taką noc nie uświadczysz na dworze.

— W Boscastle nie ma dzwonów — zgodził się starzec. — Nasze dzwony są tam! — I wskazał na szalejące morze chudą, dygocącą ręką, co wydawało się jeszcze bardziej niesamowite.

Wymieniliśmy z ojcem znowu szybkie spojrzenia. Ledwie się powstrzymałem, żeby nie puknąć się palcem w czoło.

— Dzwony w morzu? — spytał ojciec. — Kpicie sobie ze mnie, dziadku!

— W morzu — upierał się stary. — Słyszę je dobrze!

— Ale jak się tam dostały?

— Zgubione — szepnął stary takim tragicznym szeptem jak aktorzy na scenie. I zamilkł z głową przekrzywioną na bok, nasłuchując.

Mój ojciec westchnął i mruknął:

— Bardzo ciekawe! — Przypuszczając, że już usłyszeliśmy, co mieliśmy do usłyszenia, chciał odejść.

— Czekajcie! — powiedział starzec, podnosząc drżącą rękę. — Powiem wam. Jesteście tu obcy.

W tych stronach tylko ci, których rodziny mieszkały na miejscu przynajmniej od dwóch pokoleń, nie są „obcy”.

Starzec pochylił się i obie ręce skrzyżowane oparł na sękatym kijku. Zwróciliśmy się w jego stronę. Burza porywała głos. Musieliśmy wyglądać jak spiskowcy albo pomyłenci.

— Zdarzyło się to, kiedy mój ojciec był jeszcze chłopcem, dawno temu, może ze sto lat, albo i więcej. Bo ja dziewięć krzyżyków mam na karku. Statek płynął ku brzegowi. Cała wieś wyległa na spotkanie. I pastor był, i dziedzic, i wszyscy rybacy, i gospodarze. Tak, wszyscy przyszli. A pastora ten statek najwięcej obcho-

dził. Więc kiedy statek był o jakieś dwie albo i trzy mile — tu oderwał jedną drżącą rękę od kija i wskazał w stronę morza, chyba zbyt mocno, bo statek nie mógł nadpłynąć z innej strony, przecież nie przez wrzosowiska. — Tam właśnie! Wtedy nadciągnęła straszna burza. Gorsza niż dzisiaj, och, o wiele gorsza!

Potrząsnął głową, a ja się zastanawiałem, skąd ta jego pewność, że to była gorsza burza, ale się nie odzywałem.

— Otóż statek próbował rzucić kotwicę, żeby przeczekać najgorsze. Nie mógł w żaden sposób zawinąć do naszej małej przystani, dopóki trwała burza. Ludzie stali, chociaż grzmiało i błyskało się przerażająco — o wiele, wiele gorzej niż dziś. Każdy prze mókł do nitki. Ale dla wsi ważny to był statek. A najważniejszy dla pastora. On też przemoknięty stał i czekał.

Znowu trząśnął głową. Niecierpliwiłem się. Czemu ten stary dureń nie mógł prędzej dojść do sedna opowieści? Odwróciłem się. Ojciec szorstkim ruchem przyciągnął mnie z powrotem. Zawsze z szacunkiem odnosił się do starych ludzi. Wiem teraz, że tak być powinno — niedługo sam będę się spodziewał szacunku dla swoich siwych włosów. Ale wtedy byłem młody, okrutny i uważałem, że nikt nie powinien żyć dłużej jak do sześćdziesięciu lat najwyżej. Nie przychodziło mi do głowy, że mój ojciec, tak silny, żywotny i energiczny, dobiegał już tych lat.

Stary zamilkł znowu. Jedno ucho nadstawił w stronę morza i otoczył dłonią, nasłuchując.

— A te dzwony? — przypomniał mu ojciec.

Starzec pokiwał głową.

— Tak, te dzwony. Więc ty je też słyszysz? Tak, to te same dzwony.

Ojciec nie przeczył. Zapytał:

— Te same?

— Te same, które wiozł statek. Były przeznaczone do Boscastle. Miano je zawiesić na wieży kościelnej. Pastor przyszedł na brzeg, i dziedzic, i wszyscy rybacy, i gospodarze... Ale statek zatonął. I cała załoga poszła na dno. Straszne, straszne. Bez pogrzebu, bez grobu, bez krzyża nad głową. Zjedzeni przez ryby. A mój ojciec pewno jadł niejedną z tych ryb. I spłodził mnie. Więc pewno ci żeglarze, którzy wzięli dzwony do Boscastle, stanowią teraz część mnie.

Co za makabryczna myśl! Wstrząsnąłem się. Stary podrapał się w zamyśleniu za uchem. Ojciec znowu go ponaglił:

— Ale co się stało z dzwonami? Dlaczego można je usłyszeć?

— Z dzwonami? One też zatonęły. Poszły na dno. — Zachichotał idiotycznie. — Ryby nie mogły ich zjeść! W żaden sposób nie mogą być we mnie. Ale dzwonią w każdą burzę. Słyszycie je — wzywają na pogrzeb tych biednych żeglarzy, zjedzonych przez ryby, które jadł mój ojciec. I pastor tam był, i dziedzic, i wszyscy...

Kiedy skończył i spojrzeliśmy dookoła, większość mieszkańców już się rozeszła do domów. Statek, który śledziliśmy, wymknął się z niebezpieczeństwa.

Z pewnością nigdy nie słyszałem tych dzwonów. Ale wielu — zwłaszcza starych mężczyzn i kobiet — wmówiło sobie, że słyszą. Jeżeli się bardzo chce, to można sobie wyobrazić, że się słyszy.

Na tym surowym wybrzeżu, gdzie ziemia wydaje się zwarta w wiecznym zmaganiu z morzem i wichrem, powtarzano sobie wiele starych legend i opowieści. Od Padstow na północy aż do Barn-staple w Devonie nie było tu żadnego większego miasta. Wieśniacy i rybacy karmili się tymi opowieściami, tradycją i zabobonem jednocześnie. Nie ma tu sklepów ani jarmarków, nie ma wspaniałe ubranych dam i panów, przyjeżdżających karetami których można by podziwiać. A przecież i na tej zapadłej wsi ludzie chcieliby coś podziwiać, więc wymyślają sobie historie, a powtarzając je wciąż, z pokolenia na pokolenie, wreszcie sami w nie wierzą. W każdym razie ja tak to sobie tłumaczę.

Dom, w którym mieszkaliśmy w Boscastle, znajdował się u szczytu stromej, krętej uliczki, tuż pod kościołem. Była to właściwie kamienica, jedna z wielu podobnych po tej stronie uliczki, piętrowa, ale parter tylko od frontu miał okna. Wybudowano ją pod skarpą, tak że z tyłu okna pierwszego piętra znajdowały się na poziomie gruntu. Skarpą biegła wąska dróżka zasłonięta od strony wsi, kiepska, ale możliwa do przejazdu w suchą pogodę. Dom ten był jakby stworzony dla przemytu — i może rzeczywiście go w tym celu pierwotnie wybudowano.

Kiedyśmy tam zamieszkali i zaczęli szmuglować towar z wybrzeży, zazwyczaj trzymaliśmy w domu o wiele więcej kontrabandy — w belach, skrzynkach i beczułkach, nie za dużych, takich, żeby jeden silny mężczyzna mógł każdą z łatwością unieść — niż

kiedykolwiek mieliśmy w Mevagissey (ależ to było długie zdanie, *całkiem mi tchu zabrakło!). Zaprzyjaźniliśmy się z naszym najbliższym sąsiadem, pastorem. W niedzielę pilnie chodziliśmy na jego nabożeństwa, jeśli nie było akurat wyprawy. Ja nawet śpiewałem w chórze. Bardzo to było użyteczne, mogłem wejść do kościoła, kiedy chciałem. Pastor był człowiekiem uczonym, poważnym i krótkowzrocznym. Nigdy się nie dowiedział, że na wieży kościelnej wieszaliśmy flagi, sygnalizujące statkom, czy mogą bezpiecznie zawinąć do przystani.

Początkowo celnicy nie troszczyli się o nas. Najbliższym większym portem był Padstow, oddalony o dwadzieścia mil. W lecie, gdy nasza dobrze zorganizowana szajka sprowadzała coraz więcej towaru do naturalnych przystani wzdłuż wybrzeża, celnicy się zainteresowali. Przysporzyli nam sporo śmiechu i kilku podniecających przygód.

We wsi pojawili się obcy ludzie, poprzebierani za rybaków albo parobków rolnych. Mieszkali dalej w głębi łądu i znikali z Boscastle przed zmrokiem. W rozmowach z nimi taki złośliwy żartowniś jak mój ojciec nieraz wystawiał ich na pośmiewisko, a cała wieś śmiała się razem z nami. Opowiadał im o rekinach i wielorybach, a oni kiwali głowami i mówili, że dalej w górę wybrzeża łapali je nieraz siecią. Rekiny i wieloryby siecią, rozumiecie? Wieś trzymała naszą stronę. Każdy wiedział równie dobrze jak my, co to za przybysze.

Jednak celnicy nie byli tak zupełnie głupi. Popelniali błędy w rozmowach o rybołówstwie, ale oczy mieli otwarte. I pytali, wciąż pytali, cierpliwie, spokojnie. Wdawali się w rozmowy zwłaszcza z ludźmi starymi, gadatliwymi, a ci w zapale rozmowy zdradzali niechcący jakąś informację, pozornie mało ważną, która dodana do innej nabierała znaczenia.

Nagle obcy znikli. Czyżby dali spokój i nie szukali więcej wiadomości o naszych przedsięwzięciach? W parę tygodni później do zatoki Crackington zawinął nocą statek z ładunkiem tytoniu i herbaty. Cenniejszą kontrabandę umieściliśmy na pierwszym piętrze naszego domu, reszta leżała ukryta w jaskim.

Nazajutrz wczesnym rankiem do drzwi domu zastukał młody mężczyzna, zdyszany i zakurzony. Mieszkał w Saint Tudy, wiosce rozłożonej na wrzosowiskach mniej więcej w połowie drogi mię-

dzy Boscastle a Padstow. Nie należał do naszej bandy, ale niedawno prosił o przyjęcie. Nazywał się Ryszard Seamore. Ojcu się podobał, chciał go jednak bliżej poznać i powiedział mu, że jeśli znajdzie sposobność oddania nam przysługi, to może zdobędzie sobie-dostęp do naszej organizacji.

Seamore usiadł za stołem i chwytając oddech, opowiadał swoje wieści między jednym a drugim łykiem piwa, które mu matka podała.

— Wczoraj wieczorem byłem w karczmie w naszej wsi. Nalazło tam obcych...

— Ilu? — przerwał mu ostro ojciec.

— Naliczyłem tuzin koni — odparł Seamore.

— Hm. A czasem wsiadają po dwóch na jednego konia — zastanawiał się ojciec. — Mów dalej.

— Pili zdrowo. I zaczęli się przechwalać, że wykończą przemytników z Boscastle. Jeden, myślę, że dowódca, uciszał ich, ale go wyśmieli. Za dużo wypili, żeby go posłuchać i pamiętać o dyscyplinie.

— Jak byli ubrani?

— Zwyczajnie...

— Nie nosili białych obcisłych spodni albo granatowych kurtek?

— Nie, nie. Żadnego umundurowania.

— Więc chcą nas zaskoczyć. Na pewno są z Padstow. Przyszedłeś pieszo?

— Tak. Przez wrzosowiska. I zmachałem się porządnie. — Podał matce kufel do napełnienia. Matka położyła przed nim chleb z wędzonym boczkem, ale na razie chciało mu się tylko pić. — Konno muszą jechać drogą przez Camelford dobrych piętnaście mil.

— O której wyszedłeś?

— O czwartej, z pierwszym brzaskiem. Noc była ciemna, choć oko wykol, nie mogłem wyjść wcześniej.

— Dobrze się sprawiłeś. Ale jeśli się wygrzebią po pijatyce, to prędko mogą tu być.

— Wezwij bandę, ojciec — nalegałem. — Dosyć nas jest. Możemy im wyjechać na spotkanie. Zmusimy ich do zawrócenia.

— Nigdy — odparł ojciec. — Naucz się myśleć, synu. Jak zawrócą dzisiaj, to jutro przyjadą z setką żołnierzy. Gdy nas przy-

łapią podczas lądowania, wówczas trzeba walczyć. Nie ma wyboru. Ale atakować ich na drodze, to zwykły rozbój.

— Więc co? — spytała matka. — Czas ucieka. Usłyszycie konie lada chwila. Wy, mężczyźni, za dużo gadacie!

Ojciec się roześmiał, ale wiedział, że miała słuszość. Trzeba się było spieszyć. Kazał mi wezwać pilnie sześciu naszych ludzi, którzy mieszkali we wsi. Powinni się ubrać jak do roboty w polu. Dwaj mieli przyprowadzić konie z wozami.

Ludzie stawili się w nadzwyczaj krótkim czasie. Wozy z końmi zajechały od strony skarpy z tyłu domu. Zaczęliśmy zaraz podawać kontrabandę z pierwszego piętra przez okna wprost na wozy.

Boki wozów pozakrywaliśmy słomą. Bele tytoniu i herbaty w środku. Na wierzchu znowu słoma. Wyglądało to tak, jakby wóz załadowany był samą słomą.

— Odjedźcie parę mil traktem w stronę wrzosowisk — powie dział ojciec. — Tam na mnie zaczekacie.

Pierwszy wóz, z trzema ludźmi siedzącymi na słomie z widłami w rękę, odjechał. Zaczęliśmy ładować drugi.

— Cii! — Ojciec położył palec na ustach.

Nadśłuchiwalimy wszyscy. Konie — sporo koni. Turkotu kół nie słyhać — wierzchowce. Ojciec powiedział spokojnie, szybko, tonem, któremu nikt nie odważył się sprzeciwić:

— Ładujcie dalej. Ralf, pójdziesz do komórki za kuchnią. Rąb drzewo na kamiennej podłodze. Hałasuj, ile tylko potrafisz. Kiedy ci goście sobie pójda, wywieś niebieską flagę na kościele. — Zwró cił się do Ryszarda Seamore'a: — Jesteś z nami w tej robocie. Nie zapomniy ci przysługi. W warsztacie za kuchnią znajdziesz stare pudło metalowe. Weź młotek i wal w nie, a jeśli cię zapytają, co robisz, to powiedz, że prostujesz wygięcia.

Matka słuchała stojąc, skrzyżowawszy ręce na swych wysokich pełnych piersiach. Uśmiechnęła się do ojca z uznaniem.

— Potrafisz gadać do rzeczy, kiedy trzeba — rzekła. — To ci przyznaję.

Konie zatrzymały się przed naszym domem.

— Teraz! — powiedział ojciec szeptem do matki. — Idź do drzwi i też pogadaj do rzeczy. Musisz ich tam zatrzymać, przed domem, przez dziesięć minut. Później mogą wejść i łazić po domu,

ile zechcą. Będziesz wiedziała, kiedy odjedziemy, bo Seamore przestanie łomotać w pudło. A ja łowię ryby, pamiętaj!

Rąbałem drzewo i kłamię w tej komórce, zagłuszony hałasem, który wyprawiał Seamore. Wcale nie było potrzeby, żebym ja jeszcze hałasował. Nie widziałem, jak im idzie ładowanie. Nie widziałem matki, bo ojciec zamknął drzwi od kuchni do sieni. Nie słyszałem, co mówiła. Mogłem sobie tylko wyobrazić, bo widywałem ją w podobnych okolicznościach wiele razy. Stojąc przed domem, oparta o drzwi, tęgą postacią zagradzała drogę do wąskiego wejścia.

Minuty mijały bardzo powoli. W podnieceniu narąbałem dwa razy więcej drewna, niżbym to zrobił zwykle w dziesięć minut. Metaliczny hałas trwał nadal, ogłuszający, irytujący. Ale pomiędzy poszczególnymi uderzeniami młotka o pudło dosłyszałem tupot ciężkich butów w sieni. Matce nie udało się ich zatrzymać przed domem. Kilku mężczyzn musiało wejść do środka. Wyobrażałem sobie matkę, starającą się zyskać na czasie, mówiącą szyderczo:

— Możecie zaglądać pod krzesła i za obrazy. Nic nie znajdziecie!

Co miałem robić? Ostrzec ojca, że celnicy już weszli do domu? To by mu nie pomogło. Jeśli kontrabandy jeszcze nie wyniósł, i tak nie zostawiłby matki z trefnym towarem w domu.

„... Ralf, idź do komórki za kuchnią... rąb drzewo... hałasuj, ile tylko zdołasz...”

Taki był jego rozkaz. Muszę słuchać. Ojciec pewno również już wiedział, że celnicy weszli do domu. I w tym momencie ojciec wetknął głowę przez okienko komórki. Palec na ustach. Potem wskazał gestem w stronę warsztatu, gdzie hałasował Seamore, aż bębni w uszach pękały, i machnął kciukiem przez ramię. Wreszcie znowu palec na ustach, ruch w moją stronę i naśladowanie rąbania drzewa.

Znikł. Posłałem za nim Seamore'a i rąbałem dalej. Ale już się inaczej czułem. Byliśmy bezpieczni. Dla uczczenia tego zacząłem gwizdać.

Pół tuzina mężczyzn wtoczyło się do kuchni, a później do komórki, do mnie. Podniosłem głowę i powiedziałem: „dzień dobry”, ale rąbać nie przestałem. Udało mi się upuścić siekiere — porządnie ciężką — na nogę typa, który wydał mi się dowódcą, a przy-

najmniej najwięcej gadał. Piękną wiązką mnie obdarzył, gdy tak podskakiwał dookoła, zaklinając się, że mu połamałem palce u nogi. Niestety, w chwilę później chodził zupełnie normalnie, więc nie mogły być złamane.

Jeden z nich wsunął głowę do warsztatu za komórką.

— To ty waliłeś w to żelazne pudło? — spytał.

— Ja! — skłamałem, odgadując, że nie mogli słyszeć mego rąbania drzewa, kiedy Seamore hałasował.

— Czemuś przestał?

— No, naprawiłem wygięcia, jakie były.

— Do czego to pudło służy?

— Do chleba, żeby nie wysychał.

Dowódca zwrócił się do mnie, ale w stronę matki skierował obleśny uśmiech:

— Gdzie jest twój ojciec, jeżeli to jej mąż, a nie jaki inny mężczyzna jest twoim ojcem?

Pożalowałem serdecznie, że mu nie złamałem wszystkich kości palców u obu nóg. Zmarszczyłem się. Matka czuła, że gniew we mnie wzbiera i ukradkiem dała mi kuksańca.

— Mój ojciec pojechał na połów ryb — powiedziałem z godnością.

— O innych mężczyznach nic nie wiem.

Staralem się opanować. Wiedziałem, że jeden fałszywy krok mógłby nas wszystkich zgubić. Celnik roześmiał się szeroko.

— Pewno, że ty byś o nich nie wiedział — rzekł. — Ale twoja matka może wie? — Znowu uśmiechnął się do niej łakomie, ale nagle rozkazał ostro:

— Prowadź nas na pierwsze piętro!

— O, tego nie ośmieliłabym się zrobić, naprawdę nie! — odparła matka. Chciała jeszcze zyskać na czasie, żeby ojciec z drugim wozem mógł jak najdalej odjechać. — Już wam powiedziałam, że mój mąż nie pozwala mi nikogo do domu wpuszczać, kiedy wyjeżdża na połów. I tak narobiliście mi kłopotu. Jak się dowie, że wpuściłam obcych na pierwsze piętro, to mnie zbije na kwaśne jabłko.

— A jeśli nie zrobisz, co ci każe — odparł dowódca — to znajdziesz się jeszcze dzisiaj w więzieniu i ja już dopilnuję, żebyś

głodowała. Patrząc na ciebie nie sędzę, żebyś wiedziała, co znaczy głód. Ale zawsze jest czas się dowiedzieć.

Gadał, a jednocześnie obmacywał i ostukiwał ściany. Myślał pewno, że znajdzie jakiś schowek, a w nim kontrabandę. Matka westchnęła i powiedziała:

— No cóż, jeśli was nic nie obchodzi, co kobieta będzie musiała przez was wycierpieć... Wszyscy mężczyźni są tacy sami!

Poprowadziła ich schodami na górę. Poszedłem za nimi, wciąż z siekierą w ręku. Zbójnicka to była kompania, a moja matka była jeszcze ładną kobietą, pomimo pięćdziesiątki. Hoża i tęga, rumiana, o błyszczących oczach. Mężczyźni oglądali się za nią, kiedy szła główną ulicą naszej wsi.

Zanim odeszli, dowódca rzekł:

— Nie myślcie, żeście się nas tak łatwo pozbyli. Ja jeszcze złapię tego twojego męża. A wtedy i tobie nie ujdzie na sucho, moja piękna! Według mnie, ty jemu pomagasz w łamaniu prawa.

Matka się uśmiechnęła.

— Żeby go złapać, trzeba czegoś więcej niż wy macie! Odwrócił się z powrotem do niej gwałtownie:

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Trzeba łodzi — odparła z niewinną miną. — Mój mąż popłynął na ryby.

Wyjąłem z szuflady błękitną flagę i wspiąłem się na wieżę kościelną.

Upiekło nam się, a niewiele brakowało... Gdyby nie Seamore, ojciec by się pewno zapoznał z całą więzienną. Często udawało nam się przechytryć celników, a ojciec zawsze wolał posługiwać się sprytem niż bronią. Ale bywały okazje, kiedy oni byli górą.

Rozdział V

„Diabły nas gonią”!

Moja żona złości się dziś na mnie. Splatałem jej figła. Wyszedłem wieczorem z miską resztek mięsa, żeby nakarmić psa, Cromwella. Piękne zwierzę. I nikt nie ośmieli się nosa wetknąć do naszego obejścia, kiedy on pilnuje. A gdy mu się powie: „Przyjaciel”, to już tego nie tknie, tylko będzie mu towarzyszył do samego domu — tak na wszelki wypadek — dopóki się nie zaznajomi z przybyszem. Więc Cromwell stracił dzisiaj swoją kolację, ale później mu to wynagrodziłem. Kiedy wszedłem do obory, spostrzegłem kota-przybłądę, czarnego z wielkimi, żółtymi oczyma. Wyglądał na zagłodzonego. Zaproponowałem mu kolację Cromwella i odwróciłem się, żeby umocować obluźowane łańcuchy przy krowach. Kot połknął wszystko, co do okruszynki. I podszedł do mnie, zaczął się ocierać o moje nogi, mruczając głośno. Miał piękną sierść, chociaż taki chudy. Wziąłem go na ręce i obejrzałem dokładnie. Czyste stworzenie.

— Moja pani lubi koty — powiedziałem mu. — Przyprawdę cię do niej. Może doda ci do twojej kolacji jeszcze miseczkę mleka. Ale najpierw, mój miły, pobawimy się z nią trochę, ty i ja!

Miałem w oborze białe ścierki, którymi omywaliśmy krowom wymiona przed dojeniem. Zawiązałem kotu na łbie ściereczkę, tak że mu tylko koniec nosa i te świecące, wielkie oczy było widać. Potem podkrađłem się do kuchennego okna i uniosłem głowę kota do szyby. Zapukałem. Żona spojrziała, zobaczyła białą głowę i świecące oczy — wrzasnęła!

Roześmiałem się głośno, więc zorientowała się, że to tylko jakiś mój figiel. Otworzyła drzwi od kuchni i nawymyślała mi:

— Mogłam przez ciebie dostać ataku serca! Zawsze się ciebie

trzymają jakieś figle, ty hultaju! Czy nigdy nie zmądrzejesz? Myślałam, że to duch! Ależ mnie nastraszyłeś! Następnym razem wezmę miotłę na ciebie!

Zrobiłaby to. Muszę następnym razem coś innego wymyślić.

Kota, oczywiście wzięła do domu. Leży teraz przed ogniem, piękne czarne kocisko, uraczone kolacją Cromwella i opite mlekiem. A moja pani poszła spać, wciąż jeszcze trochę obrażona. Do jutra jej przejdzie. Zły humor nie trwa u niej długo.

Ale ten kawał z kotem, udającym ducha, coś mi przypomniał.

Po odwiedzinach celników u nas w domu, nie mogliśmy narzekać na nudę. Ich dowódca nie dał za wygraną. Mały oddział, może dwunastu ludzi, zakwaterowano w Camelford. Tak, jak i w Mevagissey, było tam tylko dwóch lub trzech celników, resztę zwerbowano dorywczo do tej roboty. Patrolowali nasze wybrzeże konno, zawsze po dwóch, z muszkietami przy siodle. Nie przebierali się więcej. Ich dowódca — nazywano go nadzorcą — nie kwaterował z nimi. Przesiadywał głównie w Padstow, gdzie był urząd celny, sprawdzając, czy ci w porcie, którzy go przekupili, wyładowują spokojnie swoje towary, bez przeszkód ze strony jakiegoś niepowołanego mąciwody, który by chciał z nich ściągać przypadkiem cło. W nasze strony zaglądał raczej rzadko. Przypuszczam, że przede wszystkim chciał się upewnić, czy jego ludzie w Camelford nie dostają pieniędzy, które, według niego, powinny były wędrować do jego własnej kieszeni.

Wyładowywaliśmy kontrabandę, jak zwykle. Crackington, Boscastle, Tintagel i trochę dalej na południe zatoka Port Isaac należały do naszych regularnych punktów wyładunku. Kiedy szliśmy do jednej z tych przystani, puszczailiśmy wieści, że lądowanie nastąpi w innej. Celnicy udawali się tam, a my bez przeszkód odbieraliśmy towar. Podzieleni na cztery oddziały nie byli w stanie obstawić wszystkie punkty odbioru kontrabandy. Było ich za mało, by czuli się bezpieczni.

Ryszarda Seamore'a przyjęliśmy do naszej bandy w nagrodę za przysługę, jaką nam wyświadczył. Miał zamieszkać u nas w domu, dopóki nie znajdzie czegoś odpowiedniego dla siebie. Był kawalerem, ale widząc, jak słodkimi oczyma spogląda na niego Zu-

zia, siostra jednego z naszych towarzyszy, Jima Derrimana — czułem, że jego kawalerskie szczęście nie będzie trwało długo. Pewnego dnia Ryszard odezwał się do mego ojca:

— Może byście pojechali do Padstow i przekupili tego nadzorcę w urzędzie celnym?

— A co, tchórz cię oblatuje? — spytał złośliwie ojciec.

— Nic podobnego! Ale kłopot z nimi, wciąż gdzieś włązą. Łatwo się przekonają, że cała ta okolica jest nafaszerowana nieoclonym towarem.

— Nie mogą niczego udowodnić — odparł ojciec. — Każdy sklepikarz i oberzysta ma zapas sfalszowanych kwitów celnych. Trzeba sprytniejszych ludzi od tych naszych przyjaciół, żeby się na tym poznać.

— Ale jeśli nas złapią na wyładowywaniu kontrabandy? — upierał się Seamore.

Właściwie miał rację. Zbyteczne ryzyko zawsze jest niepożądane. Ale ojciec odpowiedział mu z uśmiechem:

— To mi się też już trafiało, ale do paki mnie jeszcze nie wsadzili. Słuchaj, Ryszardzie. Nie mam nic przeciwko przekupieniu któregoś celnika, chociaż to zmniejsza nasze zyski. Jeśli musimy dawać łapówki, to damy. To jest też metoda. Ale nie jedyna. Te tumany z Padstow na niczym nas jeszcze nie nakryły. Myślę, że możemy ich odstraszyć.

— Zbić paru w ciemnym kącie?

— Nie, nie. Nawet łapówki są lepsze od gwałtu. My pracujemy w kontrabandzie, nie w krwi. Ja lubię przechytrzyć celników. Przemysłownictwo jest dobrym sportem, jeśli w ten sposób do niego podchodzić. Czy nie widziałeś nigdy, jak zając albo lis wystrychnie na dudka psa? A ja lubię wystrychnąć na dudka celnika. Kiedy nasze władze będą werbować porządnych ludzi, nie będzie to takie łatwe. Ale tę hołotę nawet dziecko potrafiłoby wywieść w pole. Jeśli wszystko inne zawiedzie, zawsze jeszcze można ich przekupić. A to każdy potrafi.

— Więc jak myślicie oszwabić tę zgraję?

— Posłuchajcie. Ty też, matko, i Ralfie. Mam plan. Szukajcie w nim dziury, zawsze cztery głowy lepsze niż jedna...

Zawarliśmy znajomość z niektórymi ludźmi z oddziału straży

celnej. Ojciec zapraszał ich do domu. To był pomysł matki. Piekła dla nich kornwalijskie pierogi, nadziewane mielonym mięsem z odrobiną cebuli i mocno przyrumienione, aż ciasto rozkosznie chrupało w zębach. Bawiło to ojca, kiedy gościł ich w kuchni, a nad ich głowami, na piętrze, całe pokoje zapchane były kontrabandą, której szukali. Pewnego dnia powiedzieli nam, że, zdaniem nadzorcy, ojciec jest przywódcą dużej i ruchliwej bandy przemytników. Oni mu ponoć tłumaczyli, że się myli — ojciec jest ciężko pracującym rybakiem, nikim innym.

— Rozsądni z was ludzie — rzekł ojciec, z trudem zachowując powagę. — Potraficie się poznać na przyzwoitym, przestrzegającym prawa obywatelu. Ale ciężko jest, kiedy uczciwego rybaka tak posądzają. Szkoda, że nie wszyscy celnicy są do was podobni. — Podniósł szklaneczkę rumu (najlepszego, jamajskiego, szmuglowanego oczywiście). — Piję za waszą promocję, żebyście zostali naczelnikami w służbie celnej. My tu wszyscy odpowiednio was doceniamy.

Wypadłem z pokoju. Nie umiałem tak panować nad sobą jak ojciec. Uspokoiwszy się, wróciłem. Ojciec pytał właśnie:

— Nic nieprzyjemnego was tu w nocy nie spotkało?

— Co chcecie powiedzieć? — spytał jeden ze strażników. — Nikt nas nie napadł.

— Nie to miałem na myśli — odparł ojciec, nalewając rum do szklaneczek. — Tutejsi mieszkańcy nie są przecież bandytami. Myślałem o różnych... jakby to powiedzieć... głosach i zjawiskach,; trochę dziwnych...

Strażnicy popatrzyli po sobie niespokojnie.

— Duchy?

— Och, ja tam nie wiem. Nie zwracam uwagi na takie rzeczy. Nigdy bym nie mógł wypłynąć na nocny połów, gdybym dbał oto!

Przerwał, a jego goście kręcili się, jakby im było niewygodnie na krzesłach.

— Ale — ciągnął — są tacy, którzy się zaklinają, że to prawda.

— Co jest prawdą?

— Och, zatopione dzwony, które dzwonią na dnie morza, topielcy, których duchy chodzą po skałach, niesamowite ptaki o

dwóch głowach, sześciu skrzydłach i czterech nogach...

Strażnicy wychylili rum jednym haustem i ponownie podstawili szklaneczki. Wypili od razu, po czym wszyscy trzej zwrócili głowy ku oknu.

— Niedługo będzie ciemno — powiedział jeden.

— Chodźmy już lepiej — rzekł drugi. A

trzeci:

— Ptaki z dwoma głowami, mówicie? Mój

ojciec roześmiał się beztrasko:

— Och, to się widzi tylko, jeżeli się wypilo za dużo rumu!

Strażnicy dosiedli koni i z tupotem pogalopowali w dół uliczką. Ojciec podniósł jedną brew i przymrużył oko, bardzo z siebie zadowolony. I nagle zrobił się bardzo podobny do dziadka.

— Jutro pogadamy z towarzyszami, mój chłopcze!

Trzeba wiedzieć, że ludzie związani z morzem zawsze są zabobonni. A na tych zachodnich wybrzeżach bardziej niż gdzie indziej. "Wyjące wichry, wzburzone morze, ciemne jaskinie, dziwaczne cienie wśród skał — tworzą atmosferę niesamowitości. Kornwalijscy są bardzo religijni, a zabobony zwykle chodzą z tym w parze, nieprawdaż? Ja osobiście nigdy nie ulegałem przesądom, ale wielu takich było, i starych, i młodych.

Miałem podówczas szesnaście lat i byłem pełnoprawnym członkiem bandy przemytniczej mego ojca. Postanowiono, że nie pójdę w świat, jak moi starsi bracia. Matka dowodziła, że chce mieć chociaż jednego syna przy sobie. Prócz tego, ojciec doszedł do przekonania, że się starzeje, i chciał mnie przyuczyć, bym z czasem zajął jego miejsce. Patrząc na niego podczas wyprawy, trudno było uwierzyć, że nie jest to mężczyzna w kwiecie wieku. Ale jeśli chłodno liczyć lata, to ojciec może i miał słuszość. Ja niewiele uwagi przykładałem do powodów, byłem po prostu rad, że mogę się uczyć zawodu pod jego kierownictwem. Kochałem oboje moich rodziców i dobrze mi było w domu.

Gdy nazajutrz zebrała się nasza banda, uchwalono plan ojca. Towarzysze śmieli się i zacierali ręce.

Ojciec posłał ludzi do oberży w Tintagel, Boscastle i Camelford. Każdemu z nich udało się szepnąć tajemniczo, ale tak, by go usłyszeli strażnicy, słowa:

— Tintagel, czwartek.

Strażnicy pewno przypuszczali, że znowu ich gdzieś wysyłają na daremno, ale nie mogli sobie pozwolić na zlekceważenie wiadomości.

Gdy nadszedł czwartek, cała nasza banda udała się do Tintagel, jadąc na jucznych koniach. Nie mieliśmy uczernionych twarzy ani nie wyłożyliśmy koszul na wierzch. Konie zostawiliśmy nad zatoką — ukryte, ale tak, by je myszkujący strażnik bez trudu znalazł. Noc była bardzo ciemna, idealna dla naszych celów.

Zeszliśmy w dół nad zatokę, która wcina się głęboko między wysokie prostopadłe skały z ciemnego łupku. Droga biegnie górą, wzdłuż skarpy. W dół do zatoki prowadzi wąska, stroma ścieżka. Na południu ogranicza zatokę przylądek Tintagel, który łączy się z lądem wąskim przesmykiem, jakby długą szyją. Na przylądku wznoszą się ruiny zamczyska, zbudowanego ponoć przed siedmuset czy ośmuset laty. A jeszcze dalej za zamczyskiem, na skalistym cyplu wystającym z morza, sterczy stara, mocno zrujnowana kaplica. I zamczysko, i kaplica wyglądają w nocy zaiste niesamowicie.

Nasz wartownik ześliznął się w dół, by ostrzec, że straż celna na koniach już nadjechała. W każdej chwili powinni odnaleźć nasze juczne konie. Dźwignąłem beczułkę na ramię, a ojciec podał mi zapaloną latarnię. Zacząłem się wspinać ścieżką pod górę, często gęsto ślizgając się i potykając pod ciężarem. Ręką macałem przed sobą skalisty grunt. Oczy przywykły już do ciemności. Nie osłaniałem światła latarni. Dostrzegłem kilka ciemnych postaci, kryjących się za skałami. Nie zwracałem na nie uwagi.

Wymachując latarnią począłem iść wąskim przesmykiem w kierunku zamczyska i kaplicy. Przystanąłem raz i postawiłem na ziemi beczułkę, a przed nią latarnię. Drugi kompan z bandy, również dźwigając beczułkę, pojawił się w przesmyku, wynurzywszy się ze stromej ścieżki znad zatoki. Potem trzeci, czwarty. Podniosłem ciężar i poszedłem dalej po skałach. Niebawem sześciu z beczułkami szło w ślad za moją latarnią.

Gdy doszedłem do ruin zamczyska, znowu postawiłem na ziemi moją beczułkę i latarnię. Mogłem dostrzec postacie, poruszające się za naszymi towarzyszami, schylone, kryjące się i potykające na skałach. Jedna z nich tylko dzięki szybkiej pomocy kompana nie stoczyła się w dół i nie roztrzaskała sobie łba o skały na dole. Wszystko szło według planu. Nasi przyjaciele celnicy na pewno

przyuszczali, że spóźnili się na lądowanie i wyladunek statku, ale w porę zdążyli, żeby nas przyłapać na ukrywaniu kontrabandy gdzieś w ruinach. Kiedy szósta baryłka spoczęła na ziemi, czterej strażnicy skoczyli naprzód, trzej wywijali muszkietami, jeden pistoletem.

— Mamy was! — krzyknął ten z pistoletem. — Poddajcie się! I wydajcie kontrabandę! Nadzorca wziął już w areszt resztę waszej bandy tam na dole.

Staliśmy spokojnie i czekaliśmy, aż przyjdą. Jim Derriman ostentacyjnie skrzesał ognia i zapalił fajkę.

Ten z pistoletem wymierzył broń prosto w moją twarz.

— Ręce do góry! — zawołał.

— Kim jesteście? — zapytałem, nie stosując się do rozkazu. Bo i dlaczego? Miałem tym razem czyste sumienie.

— Straż celna. Wasza kontrabanda jest skonfiskowana. Jesteście aresztowani.

— Ale my nie mamy kontrabandy.

— Ha! A co jest w tych beczułkach?

— Morska woda.

— Bzdura!

— Wcale nie — powiedziałem. — Proszę spróbować szklaneczkę. Nie możecie nas za to aresztować. Cóżby powiedzieli nasi sąsiedzi? Nie jesteśmy żadnymi przemytnikami. O, ten tutaj — wskazałem jednego z celników, który zachodził do naszego domu — zna nas i wie, że jesteśmy uczciwymi rybakami.

— Przestań gadać — powiedział Pistolet. — Otwórz tę beczkę.

— Chętnie — zgodziłem się. — I tak bym ją musiał za minutę otworzyć.

Wyjąłem z kieszeni narzędzia i odbiłem wieko. Pistolet nabrał w dłoń płynu, podniósł do ust. Wykrzywił się i splunął.

— Podstęp! — kasłał. — W jednej woda morska, w tamtych rum! Otworzyć wszystkie beczki!

Ale Pistoletowi nie smakowała widocznie woda morska. Kazał próbować swoim ludziom. Wkrótce wszyscy pluli i kasłali. Derriman pykał z fajki.

— Przecież wam mówiłem — rzekłem.

— Co to za pomysł? — pytał gniewnie Pistolet. — Nie na bierzecie mnie!

Nie myślał, że już go nabraliśmy.

Obejrzałem się przez ramię w stronę zamczyska, moi towarzysze także, a Derriman wyjął z szacunkiem fajkę z ust. Celnicy również popatrzyli, starając się zobaczyć coś poza nami, w gęstym mroku.

— To stary zwyczaj miejscowy — powiedziałem. — Wiele, och bardzo wiele lat temu więźnia, trzymanego w zamku, strącono do morza z tamtego cypla. Dziadkowie i babcie z Boscastle powia dają, że w rocznicę śmierci — to właśnie dzisiejszej nocy — on się znowu pojawia, ociekając wodą, pokryty wodorostami, i jęczy, błakając się wokół ruin kaplicy i zamczyska!

Śledziłem bacznie twarze celników. Za ciemno było, bym mógł z całą pewnością twierdzić, że pobledli. Ale widziałem, jak wytrzeszczali oczy. Jeden skulił się, drugiemu usta się poruszały, jakby pacierz odmawiał. Mówiłem dalej:

— Ja tam nie wierzę w tę legendę. W każdym razie nie w tego ducha. Nigdy ducha jeszcze nie widziałem i nie uwierzę, póki nie zobaczę. Ale wiecie, jak to jest ze starymi ludźmi...

Pistolet zaczął gadać pośpiesznie, jękając się trochę.

— Głupstwa! Brednie! Myślicie, że mnie nastraszyacie? A co ma woda morska wspólnego z tą głupią opowieścią? Hej, ty! — wskazał pistoletem na Ryszarda Seamore'a. — Może masz więcej oleju w głowie niż ten smarkacz. Odpowiadaj! Po co ta woda morska?

— No bo, widzicie — rzekł Seamore — starzy ludzie powiadają, że ten duch nie lubi wody morskiej. Zrozumiałe, skoro się w niej utopił, no nie? Więc każdego roku w dzień, w którym ma się on pojawić, skrapia się te ruiny morską wodą. Starzy ludzie powiadają, że tylko tym sposobem można zapobiec jego ukazaniu się. Oni by oka nie zmrużyli tej nocy, gdybyśmy tego nie zrobili.

— Wszyscyście wariaci albo kryminaliści! — wykrzyknął Pistolet. — Idzicie z nami na dół. Nadzorca się z wami rozprawi. Ja nie przywykłem gadać z wariatami.

Chciałem powiedzieć, że nadzorca ma wprawę w gadaniu z wariatami, zważywszy, jakich ludzi najmuje do służby w straży celnej. Ale przełknąłem to.

— Pójdziemy — odrzekłem mu — i najchętniej. Ale najpierw pozwólcie, żebyśmy pokropili te ruiny. Ja tam nie wierzę w du-

chy tak samo, jak i wy nie wierzycie. Ale na wszelki wypadek... i żeby ci starzy sąsiedzi mieli spokojną noc...

Dwaj strażnicy — ten, co się skulił, i ten, który szeptał pacierz — nieznacznie się oddalali w dół ścieżką.

— Tak, już jesteśmy spóźnieni — poparł mnie Derriman. — Powinniśmy pokropić o północy. A teraz już północ minęła...

— Niech więc kropią i chodźmy stąd! — odezwał się czwarty ze strażników.

Pistolet przybliżył twarz do niego:

— Ty tchórze zakichany...

Przenikliwy, niesamowity przeciągły krzyk dobiegł od strony kaplicy.

— Toooonę! Raaaatunku!

Strażnicy rzucili muszkiety, odwracając się w przerażeniu, by spojrzeć za siebie. Pistolet też dźwięknął o skały i z hałasem poleciał na dół.

Wysoka, biała postać, jaśniejąca w ciemnościach, jakby niezemskim blaskiem, z mokrymi, zielonymi włosami, biegła ku nam. Ramiona miała wzniesione ku górze, jak człowiek w ostatnim odruchu przed pójściem na dno.

Celnicy nie czekali dłużej. Uciekali, ślizgając się, skomląc ze strachu i klnąc, skalistą ścieżką z powrotem w dół. Długie nogi Pistoleta wkrótce pomogły mu wyprzedzić tamtych trzech. Już na drodze wrzasnął:

— Diabły, diabły nas gonia! Białe diabły z mokrymi włosami! Nie słyszeli, jak Derriman zawołał za nimi:

— Powinniście mniej pić szmuglowanego rumu!

Celnicy, którzy poszli do zatoki, szli właśnie pod górę razem z resztą naszej „niewinnej” bandy. Strach im się udzielił. Zaczęli także uciekać. W mgnieniu oka cała kompania celników znalazła się w siodłach i pogalopowała na złamanie karku drogą na południe, w stronę Camelford.

Myśmy się oczywiście skręcali ze śmiechu, włącznie z „duchem” i Tomem Lovedayem, który trzymał za nim latarnię. Ojciec zdjął z siebie czym prędzej mokre prześcieradło, z dziurami na oczy, pięknie udekorowane zielonymi wodorostami. Dobrze nam się przysłużyło. Odpędziło niepożądanych intruzów lepiej niż jakakolwiek broń. Mego ojca wybrano na ducha, ponieważ wiedzieliśmy,

że nadzorca szczególnie na niego się zawziął, a prześcieradło stanowiło najlepsze przebranie.

Dowiedzieliśmy się następnego dnia, że uciekający przed duchem celnicy zatrzymali się w Camelford tylko tyle czasu, ile było trzeba, by pozbiierać manatki. I ruszyli dalej w drogę — do Padstow. Trzy dobre muszkiety zostały u nas.

Później już nie potrzebowaliśmy dawać im żadnych łapówek. Fortel ojca oszczędził sporo pieniędzy, które zostały w naszych kieszeniach. Celnicy nas nie niepokoiли. Strach czy też wstyd zatrzymywały ich w Padstow.

Kiedy musieliśmy wynieść się z Boscastle, to nie z powodu celników, wtykających nos w nasze sprawy. To raczej my wetknęliśmy nos w ich sprawy.

Prawie zapomniałem o tej historii z duchem. Czarny kocur--przybłąda przypomniiał mi o tym. Przy pisaniu nigdy nie wiadomo, kiedy zapuścisz wędkę i skąd wyłowisz na haczyk następną historię, którą powinieneś opowiedzieć. Niezłe to o wędce i wylawianiu na haczyk, nieprawdaż? Zważywszy, że nie jestem prawdziwym pisarzem. Nie wiem, czy kot może być haczykiem, przynętą lub wędką. Ale w każdym razie koty lubią ryby. I oczywiście, haczyki przymocowuje się linką z kocich kiszek. To już jest najzupełniej literackie.

Rozdział VI

Pocałunek pod pręgierzem

Pióro moje próżnowało przez parę dni. Siadałem do pisania raz czy dwa, ale zawsze najpierw zaczynałem czytać to, co już przedtem napisałem. Prawdę rzekłszy, nie wiem, czy to wszystko, co napisałem, ma sens dla kogoś, kto nigdy sam się przemytem nie trudził. Oczywiście, spośród ludzi w średnim wieku lub starszych pewno połowa z ośmiu milionów mieszkańców Anglii miała w jakiś sposób do czynienia z przemytem. W pewnym okresie było około dwudziestu tysięcy ludzi zajmujących się wyładowywaniem kontrabandy wzdłuż wszystkich wybrzeży. Do tego trzeba doliczyć szyprów i załogi statków, współdziałające z nami. Mawiano wówczas, że między władzami celnymi a resztą kraju toczy się prawdziwa wojna domowa. Możecie łatwo odgadnąć, jakie szanse mieli celnicy.

Ale znowu się zagadałem. Otóż, przeczytałem tych parę rozdziałów mojej żonie. Wcale nie poszło mi łatwo. Te kartki są pełne przekreśleń i dopisków nad wierszami i z boku. Myślę, że będę musiał jeszcze raz to wszystko przepisać, żeby porządnie wyglądało, zanim zaniosę do mego znajomego drukarza.

W każdym razie moja żona, jak się zdaje, rozumiała, o co tu chodzi. I powiedziała, że niektóre kawałki w każdym razie są ciekawe. Słusznie zauważyła, że to co napisałem, zdaje się świadczyć, jakoby przemytnictwo było zawsze podniecającą przygodą. Wciąż niebezpieczeństwa, podstępny i fortele. A ona dobrze wie, że wcale tak nie jest. Przemytnictwo, przynajmniej za moich czasów, to przede wszystkim długie okresy zwykłej, ciężkiej pracy. Odbieranie towaru ze statków, ładowanie do juków i na konie, długa i ciężka wędrówka z końmi, wyładowywanie. Zwłaszcza wtedy,

gdy regularnie opłacaliśmy celników, tygodniami, miesiącami nic nie zakłócało rutyny naszych zajęć. A ponieważ mój ojciec kochał się w przygodach i nudził się, gdy mu ich zabrakło, więc często nie dawał łapówek, co było najprostszym sposobem zapewnienia bezpieczeństwa. Byłoby to nudne i dla czytelnika, gdybym powtarzał opisy wypraw, które miały gładko, bez żadnych przeszkód.

To tylko dla przypomnienia. Będę opowiadał przeważnie o wydarzeniach niecodziennych w naszym przemytniczym życiu. A między tymi wydarzeniami były długie okresy regularnej pracy, no i zwykle kłopoty i radości: dom i ogród, jakieś sprzeczki rodzinne, czasem popijawa — najczęściej piwo, rzadziej szmuglowany rum — i spotkania z dziewczętami w stogu siana, w zacisznej jaskini na wybrzeżu albo w zakątku żywołotów.

Jeden z takich dłuższych okresów spokojnej pracy mieliśmy po nocy z duchem na zamku Tintagel.

Bristol był dużym portem wyładunkowym dla towarów podlegających oceniu — rumu, tytoniu, korzeni, cukru — przywożonych z Indii Zachodnich. Organizacja przemytnicza, do której należała nasza banda, obejmowała część Anglii leżącą na zachód od linii pionowej, poprowadzonej od Portland Bill na południowym wybrzeżu do Bristolu. Organizacja miała kontakty z wieloma kapitanami, którzy wyładowywali część swoich ładunków z Indii Zachodnich na południowo-zachodnich brzegach Irlandii. Stamtąd towar przywożono do nas małymi żaglowcami.

Odbieraliśmy regularnie kontrabandę na północnym wybrzeżu Kornwalii. Czasem aż sto koni, których nawet nie ukrywaliśmy, czekało na zabranie ładunków z jednej z naszych przystani.

W każdym większym porcie morskim był kuter straży celnej, który patrolował odcinek wybrzeża. Tych kutrów było o wiele za mało, żeby kontrola mogła być skuteczna. A Padstow był zbyt małym portem, żeby rozporządzać kutrem. Patrole na naszym wybrzeżu nadpływały aż z Barnstaple, pięćdziesiąt mil dalej, i miały pilnować odcinka sięgającego jeszcze sto mil na wschód, prawie aż pod sam Bristol. Zналиśmy dobrze rozkład jazdy tego kutra i dostosowywaliśmy do niego lądowania statków z kontrabandą.

Nadzorca urzędu celnego w Padstow miał prawo żądać w razie potrzeby przysłania kutra z Barnstaple, by móc patrolować swój odcinek wybrzeża. Z pewnością chciał wziąć na nas odwet, z dru-

giej strony jednak nie zamierzał dzielić się z kapitanem kutra swoimi łapówkami. Aż pewnego dnia usłyszeliśmy, że nadzorca zmarł. Przysłano innego.

Nowa miotła dobrze zamiata. Energia nowego nadzorca była zawsze najpewniejszą metodą, by zgromadzić pod drzwiami jego biura kolejkę kupców, armatorów i przemytników, a każdy z nich przybywał tu z mieszkaniem złota i obietnicą dalszych łapówek, w zamian za popołogowanie w czujności. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił nowy nadzorca, było sprowadzenie kutra z Barnstaple.

Zanim doszliśmy do ugody z nowym nadzorcą i z kapitanem kutra, musieliśmy w przystani w Crackington oczekiwać statku z ładunkiem kontrabandy, który wcale nie przypłynął. Kuter straży przyłapał statek i zabrawszy go do Padstow, skonfiskował ładunek i umieścił go w budynku urzędu celnego.

Kiepska była sprawa z szyprem tego statku. Ale wiedział przedtem, czym ryzykuje. Byliśmy pewni, że nigdy nie wyda nas, tak samo jak nikt z nas nie wydałby jego, gdybyśmy to my znaleźli się w więzieniu. Zanim jego sprawa dotrze do sądu, ojciec załatwi wszystko, co potrzeba, z urzędnikami sądowymi i sędziami przysięgłymi.

Więcej martwiła ojca skonfiskowana kontrabanda, gdyż był to specjalny ładunek. Większość towaru przeznaczona była dla generała Sir George'a Yeobrighta, zamożnego ziemianina i właściciela większości domów w Boscastle, między innymi również naszego domu. Generał wyprawiał wielkie przyjęcie w swojej wiejskiej siedzibie, oddalonej od nas o niecałe trzydzieści mil. Miało zjechać mnóstwo grubych ryb z Londynu i generał chciał się pokazać. Był to sławny i wybitny żołnierz, a nasz stały, bardzo dobry klient. Ale generał nie chciał mieszać się w przemytnicze sprawy, ponieważ miał nadzieję, że wkrótce król mianuje go gubernatorem Gibraltaru, a jakaś niewczesna afera przemytnicza mogłaby go skompromitować w oczach władz. Gdyby nie to, mógłby oczywiście wydostać skonfiskowaną kontrabandę z urzędu celnego zwyczajnie, sięgnąwszy do kieszeni.

Ojciec oświadczył, że generał musi koniecznie dostać zamówiony towar, choćby go smoki strzegły, i to zaraz. Wszyscy członkowie bandy zgodzili się z nim. Oczywiście, tylko jednym sposobem można było to załatwić, a ten sposób bardzo mi przypadł do gustu.

Miałem podówczas lat osiemnaście, nudziła mnie regularna robota, paliłem się do przygód i ryzykownych przedsięwzięć. Tym razem utargowałem trochę za wiele tego ryzyka, jak się dalej okaże.

Następnego dnia po skonfiskowaniu kontrabandy pojechałem z ojcem, by spotkać się z przywódcą bandy operującej na dalszym odcinku wybrzeży Kornwalii. Przywódca zgodził się rozpuścić wieść, że następnej nocy jego banda oczekuje dużego ładunku szmuglu w zatoce Mawgan, dziesięć mil na południe od Padstow.

Był październik, dni coraz krótsze, noce dłuższe. Nadzorca, jeśli chciał być pewny swego, powinien był wyjechać do zatoki Mawgan wcześniej, ukryć się wraz z ludźmi i czekać aż do świtu. Jako nowa miotła, z pewnością nie przepuści okazji i będzie czekać. Od tej strony wszystko było załatwione.

Ale mieliśmy pecha. W powrotnej drodze spotkaliśmy otwarty powóz pełen postrojonych paniczyków i — sądząc po ich hałaśliwym zachowaniu — mocno już podpitych. Powóz kołysał się i zataczał po całej drodze. Razem z ojcem wstrzymaliśmy konie na miedzy, by ich przepuścić. Ale właśnie gdy nadjeżdżali, któryś z tych pijanych durniów wystrzelił w powietrze. Konie spłoszyły się, poniosły, a wierzchowiec ojca, bardzo ognisty, zrzucił ojca do rowu. Młodzi durnie odwrócili się i wymachiwali rękoma, zanosząc się od śmiechu. W każdym pokoleniu młodych trafia się pewien odsetek takich wyrzutków ze wszystkich klas społecznych i oni to zwykle nadają złe imię całej młodzieży, z której większość jest przeważnie przyzwoita i porządna.

Ojciec leżał nieruchomo. Myślałem przez moment, że się zabił. Ale jęknął, gdy go odwróciłem na bok. Umieściłem go na moim wierzchowcu, a sam szedłem pieszo, prowadząc oba konie. Na szczęście, wypadek zdarzył się niedaleko od Camelford, gdzie znaleźliśmy dobrze miejscowego lekarza. Nie było złamania kości, tylko ogólne potłuczenie i wstrząs. Doktor opatrzył ojca, obandażował, dał mu lekarstwo. Nim dowiozłem ojca do domu, zrobiło się późno. Wiedzieliśmy, że szybko wydobrzeje, ale matka nawet słyszeć nie chciała o tym, by następnej nocy poszedł na wyprawę. Zupełnie słusznie. Ojcu głowa pękała z bólu, poza tym był zupełnie przytomny i wydał nam wskazówki, jak wszystko przeprowadzić. Kiedy banda zebrała się następnego dnia, wybraliśmy na przywódcę Ryszarda Seamore'a.

Wielki to był zaszczyt dla niego, natomiast ja się nie czułem spokojny. Co prawda, nikogo nie uważałem za odpowiedniego, by nas poprowadził na trudną i ryzykowną robotę. Takie są skutki praktykowania pod dowództwem wybitnego człowieka. Później nikt z przeciętnych ludzi nie wydaje się dość dobry. Ryszard Seamore, zrównoważony, rozsądny, poradzi sobie, jeśli wszystko pójdzie gładko. Ale gdyby się coś powikłało, banda będzie potrzebowała człowieka energicznego i pomysłowego, takiego jak mój ojciec, który nigdy nie uznawał się za pokonanego i znał tuzin sposobów oszukania strażników i sędziów.

Ale nic na to nie można było poradzić. W ciągu tego dnia po dwóch, trzech wędrowaliśmy do Padstow. Niektórzy zaszli do jednej z trzech oberży w miasteczku, niektórzy do znajomych. Z zadowoleniem zaobserwowaliśmy oddział jeźdźców, wyjeżdżający przed zmrokiem z miasta. Powiedziano nam, że to nowy nadzorca urzędu celnego ze swoimi ludźmi.

— Założyłbym się, że jedzie urządzać gdzieś zasadzkę na przemytników — mówił właściciel oberży „Pod Kogutem”, w pobliżu przystani, gdzie Seamore, Derriman i ja popijaliśmy piwo. Ciągnął dalej: — Jeśli trochę nie pofolguje swego zapału, to mu gdzieś nocą głowę rozbiją.

Chciałem powiedzieć, że tej nocy rozbiją mu budynek, nie głowę, ale trzymałem język za zębami.

W godzinę po zachodzie słońca oberże były pozamykane, brukowane kocimi łbami ulice świeciły pustkami. Światła w oknach domów gasły jedno po drugim. Od morza wiał ostry wiatr, naganiając ciężkie chmury. Ciemna noc. Cała banda zebrała się w zaułku za oberżą „Pod Kogutem”. Derriman i ja powędrowaliśmy spokojnie do urzędu celnego, który mieścił się w oddzielnym, samotnie stojącym budynku, sto jardów od najbliższego domostwa. Rodzina nadzorcy mieszkała na piętrze, ale okna były już ciemne.

Na rogu stał jeden jedyny strażnik. Podeszedłem do niego z fajką w zębach, chociaż właściwie nie paliłem nigdy.

— Czy mógłbym poprosić o krzesiwo? — zapytałem grzecznie. — Nie mam czym fajki zapalić.

— Ja chyba mam — odpowiedział przyjaźnie. Odstawił muszkiet, opierając go o ścianę domu i zaczął szukać po kieszeniach.

Derriman zaszedł go od tyłu, chwycił za ramiona i silną dłońią

zamknął mu usta. Cisnąłem jego muszkiet w wodę i podciąłem mu nogi. Derriman zwałił się na niego. W mgnieniu oka zakneblowaliśmy go i związaliśmy jak kurczaka. Wszystko odbyło się bez żadnego hałasu. Zanieśliśmy go za budynek urzędu, gdzie stała stara szopa i ułożyliśmy go, jak można najwygodniej w tych okolicznościach. Poszło nam bardzo łatwo. Strażnik był tak zaskoczony, że w ogóle nie stawiał oporu.

Reszta bandy przyglądała się temu wstępnemu aktowi naszej wyprawy. Teraz podeszli bliżej i zaczęliśmy dokładnie oglądać budynek urzędu celnego. Ojciec i ja nie odważyliśmy się zbadać go poprzedniego dnia. Strażnicy, którzy zachodzili do naszego domu w Boscastle, mogli nas rozpoznać i powziąć jakieś podejrzenia. Urząd celny mieścił się w budynku z kamienia i cegły, o bardzo mocnej, solidnej konstrukcji. Żadnych okien. Drzwi grube, dębowe. Ale zawsze jest przecież jakieś wejście. Nie rozmawialiśmy nawet szeptem — nie ma potrzeby budzić żony nadzorca. Oberżysta z „Pod Kogutem”, dobrze przez nas opłacony spał w najbliższym domu. Na murawie za jego oberżą czekały konie, którym szmatami owiazaliśmy kopyta.

Mieliśmy ze sobą klucze, które otworzyłyby każde drzwi, nawet do królewskiego skarbcza. Zamek nie sprawił nam kłopotu. Ale na drzwiach wisiał jeszcze wielki pierścień żelazny, zapewne do przekręcania zatrasku. Na darmo próbowaliśmy nim kręcić w jedną i drugą stronę. W gniewie i desperacji szarpnąłem nim wreszcie. Rozległo się brzęczące trzaśnięcie — i drzwi otworzyły się do wewnątrz. Któryś tutejszy kowal musiał taką sztuczkę wykombinować. Nie mieliśmy czasu na zbadanie tego. Rozpoznaliśmy od razu ładunek przeznaczony dla Sir George'a — ułożono go w stos na prawo od drzwi. Lewa strona była pusta, natomiast w głębi znajdowało się sporo beczek i skrzynek, już nie naszych.

Nie traciliśmy czasu. Podprowadzaliśmy konie parami, ładowaliśmy je i odprowadzaliśmy z powrotem na murawę za oberżą. Spieszyliśmy się, uważając, żeby jeden drugiemu nie wchodził w drogę. Zdyszani, spoceni skończyliśmy robotę bez przeszkód, mając pod dostatkiem czasu, by wyjechać na gościniec i wyminąć Camel-ford na długo przed późnym październikowym świtem. Musieliśmy zostawić jedną belę i jedną skrzynkę. Konie nie mogły ich już udźwignąć. Ojciec zawsze surowo przestrzegał zasady, żeby nie

przeciążać koni. Czynił tak z dobroci swego serca, ale również i dlatego, że koń przeladowany idzie wolno, a nawet jeden taki koń opóźnia pochód całej karawany.

Wychodziłem z budynku ostatni, razem z nowym członkiem naszej bandy, niejakim Rolliverem. Mieliśmy zamknąć z powrotem drzwi. Dałem znak Rolliverowi, by już wychodził, ale on wyjął coś z kieszeni i zanim dostrzegłem, co robi, ten dureń podpalił pozostałą z naszego ładunku bełę. Zaśmiał się jak idiota i wybiegł za tamtymi.

Płomienie skoczyły szybko, rozniecane przeciągiem przedostającym się przez otwarte drzwi. Ściągnąłem z siebie płaszcz i zacząłem tłumić ogień. Przecież na piętrze mieszkali ludzie! Ładna byłaby historia, gdybyśmy ich żywcem usmażyli w łózkach! A prócz tego zasada: „nie niszczyć cudzego dobytku” święcie obowiązywała w naszej bandzie. Dzięki tej zasadzie mieszkańcy odnosili się do nas przyjaźnie. Skoczyłem do drzwi i zatrzasnąłem je. Dosłyszałem w tej chwili ciche stąpanie końskich kopyt, oddalających się z ostatnim ładunkiem.

Widocznie nie zauważono, że mnie nie ma. A może myśleli, że zamknę drzwi i zaraz przyjdę. Gdyby ojciec był z nami, nigdy nie zostawiłby za sobą żadnego towarzysza, nawet jeśli nie był jego synem. Podniosłem płaszcz. Płomienie wygasły, ale drobne iskierki żaru jeszcze skakały. Płaszcz był cały popalony. Oddałem mocz na żarzącą się bełę, żeby dokładnie wszystko ugasić i zwróciłem się do wyjścia.

Od wewnątrz nie było na drzwiach pierścienia. Ten przeklęty kowal wymyślił prawdziwie podstępną pułapkę! Zamknąłem sam siebie w budynku urzędu celnego — gotowy więzień dla władz!

Niewesołe położenie, ale w pierwszej chwili nie przejąłem się tym. Rolliver powie towarzyszom, że zostałem. Seamore i Derriman z pewnością nie odjadą beze mnie. Jednakże minuty mijały, a nikt po mnie nie wracał. Zacząłem się niepokoić. Później się dowiedziałem, że Rolliver nabrał wody w gębę. Bał się, wiedząc, że zawinił. Tuż za miastem zerwał się popręg w uprzęży jednego z jucznych koni. Nie pamiętam, żeby zdarzyło się to kiedykolwiek, gdy ojciec dowodził. Zawsze sprawdzał każdy szczegół uprzęży, zanim wyruszyliśmy. Seamore kazał wszystkim iść naprzód, a sam został z Derrimanem, żeby naprawić popręg. Kiedy dogonili ban-

dę, jeden z towarzyszy zawiadomił go, że mnie nie ma. Było już za późno, żeby po mnie wracać.

Co do mnie, nadeszła chwila, kiedy przestałem czekać i nasłuchiwać. Nie pozostało mi nic innego do zrobienia, jak ułożyć się na worach z towarem. Przypuszczam, że powinienem tutaj opisać swoje uczucie i przerażenie. Prawdę rzekłszy, spróbowałem, ale to, co napisałem, było nieprawdą. Podarłem więc. Bałem się rzeczywiście — kto by się nie bał? Nie wiedziałem, co ze mną mogą zrobić. Jednakże ufałem ojcu niezachwianie.

Zdrzemnąłem się raz i drugi, ale na krótko, bo mi się wydawało, że słyszę kroki. Owszem, słyszałem kroki — ale szczurów! Tylko to mnie pocieszało, że w tę wietrzną noc lepiej leżeć w zacisznym wnętrzu solidnego budynku niż w na wpół rozwalonej szopie, jak ten związany strażnik.

Miałem kłopot z rozpoznaniem nadejścia świtu. Żadnego okna.. Wreszcie usłyszałem głosy na przystani i wywnioskowałem, że już chyba dnieje. Oparłem głowę o futrynę i próbowałem zajrzeć przez szparę między drzwiami a futryną. Ale przeciąg był tak ostry, że oko mi łzawiło, a na dworze nadal wydawało się jeszcze ciemno.

Wreszcie usłyszałem hałas i głosy:

— Gdzie strażnik?

— Łobuz, pewnie butelkę ze sobą przyniósł i upił się...

— Śpi w jakimś kącie...

Biedaczysko, z tym kneblem w ustach, niewiele snu zaznał.

Wielki nastąpił rozgardiasz, gdy go znaleźli. Żelazny pierścień, który otwierał drzwi, dźwięknął gwałtownie. Wbiegł jakiś mężczyzna, zobaczył mnie i wyskoczył z powrotem, zatrzasnął drzwi za sobą. Wobec tego stanąłem teraz przy ścianie, tuż za drzwiami. Gdy je następnym razem otworzono, schyliłem się, chwyciłem pierwszą wchodzącą parę nóg, wywróciłem ich właściciela i wybiegłem na czworakach. Za drzwiami stało jeszcze dwóch. Rzucili się na mnie. Prześliznąłem się między nogami jednego i obaliłem go — głowa stuknęła mu głucho o kocie łby bruku. Drugi skoczył mi na grzbiet, zanim zdołałem się wyprostować, i wrzasnął o pomoc. Strąciłem go z siebie i zacząłem biec. Może bym i uciekł, kto wie? Ale zza rogu wyskoczył pies. Potknąłem się o niego i wywaliłem jak długi. Nie zdążyłem się obejrzeć, a już siedziało na mnie

trzech tęgich pachołków — jeden na głowie, drugi na grzbiecie, trzeci na nogach. Ten, który mi siedział na głowie, wstał i zaczął walić moim nosem o bruk.

— Dobra! — krzyknąłem. — Poddaję się! Pójdę spokojnie!

— Nie pójdziesz spokojnie — odparł jeden z tamtych dwóch. •— My cię tak poprowadzimy, że będziesz wrzeszczał wniebogłosy!

Dwóch pachołków ujęło mnie za nogi. Próbowiałem kopać, ale trzymali mocno. Trzeci odwrócił mnie. I zaczęły ciągnąć. Głowa obijająca się o kamienie nie pomaga na krwawiący nos. Ale nie krzyczałem, właśnie dlatego, żeby nie sprawdziły się ich przewidywania, że będę krzyczał.

W tym momencie nadszedł mężczyzna, którego nam poprzedniego dnia pokazywali jako nowego nadzorcę.

— Co wy z nim robicie? — spytał, chyba zbyt cicho, bo sam widział.

— Bierzymy go do więzienia — odparł ten, który mi rozkwasił nos.

Niech gadają. Byłem rad z chwili ulgi.

— Nie w ten sposób — powiedział surowo nadzorca.

— Zawsze tak wlecemy złodziei i różnych szmuglerzy — protestował ten od nosa.

— Ja tu wydaję rozkazy — rzekł nadzorca. — Chcę, żeby moi więźniowie znaleźli się w całości, kiedy staną przed sądem. Postawcie go na nogi.

— Dziękuję panu, panie nadzorco — powiedziałem, kiedy się pozbierałem na nogi, obmacując potłuczone miejsca. — Ludzki z pana człowiek. Nie tak, jak ci...

Nagle ten od nosa dał mi potężny cios w usta.

— Nie potrzeba mi twoich podziękowań, psie! — warknął nadzorca.

Nic nie odpowiedziałem, tylko sobie pomyślałem, że niedługo on sam będzie psem, łaszącym się o pieniądze mego ojca.

Dookoła stało jeszcze kilku ludzi. Poznałem dwóch, którzy przychodzili do naszego domu w Boscastle przed sławetną nocą z duchem na zamku Tintagel. Jeden z nich mrugnął do mnie. Potem związali mi ręce.

Kiedy doprowadzili mnie do więzienia, podałem jako swoje pierwsze nazwisko, które mi przyszło do głowy — Jenkins. Ale,

jak już chyba wspomniałem, kiepski ze mnie łgarz. Czułem, że się czerwienię. Ukrywałem twarz w dłoniach, udając, że ścieram krew i brud.

Odpowiadałem beczelnie na ich pytania.

— Jak się dostałeś do urzędu celnego?

— Szczur mnie wpuścił pod drzwiami.

— Co tam robiłeś?

— Podziwiałem arcydzieła sztuki na ścianach.

— Gdzie są ludzie, którzy byli z tobą, zwiążali strażnika i zabrali kontrabandę?

— Zawieźli ją do Londynu dla króla jegomości.

Ten, który mi rozkwaślił nos, uderzył mnie poniżej kolan tak, że rozłożyłem się jak długi. Nadzorca znowu go skarcił:

— Nie pozwalam na tego rodzaju traktowanie więźniów.

Inna rzecz, że i on miał swoje pomysły dotyczące „traktowania” więźniów. Chociaż miałem stanąć przed sądem dopiero za tydzień, kazał mnie wsadzić tegoż dnia pod pręgierz, „za beczelność”, jak powiedział.

— Bez sądu? To ma być sprawiedliwość? — zaprotestowałem.

— Jeszcze będziesz miał sprawiedliwości po dziurki w nosie — odparł nadzorca. — Transportacja do Indii Zachodnich, ot, co do stanesz! Kiedy będziesz spływał krwią pod batem dozorczy na plantacjach cukru za każdym razem, gdy przystaniesz, by zaczerpnąć tchu, to będziesz wiedział wszystko o sprawiedliwości.

Pogróżki mnie nie martwiły. Ufałem w pieniądze mego ojca i przekupstwo urzędników. Bardziej mnie niepokoiła perspektywa najbliższej przyszłości: pręgierz.

— Czy mogę dostać wody, żeby sobie umyć twarz? — zapytałem.

— Nie. Niech ludzie widzą, jakim jesteś krwawym, brudnym zbir! — odrzekł nadzorca. — Zabrać go.

Sprawiedliwość? Wsadzony pod pręgierz bez wyroku sądu, bez przyzwoitego procesu? Z drugiej strony moja wina była niewątpliwa. Gdy znajdą lisa w kurniku, nie potrzebują mu zadawać wielu pytań ani wzywać świadków, nieprawdaż?

Wyszliśmy na dwór. Wicher dał, jak na sztorm, morderczy ziąb przejmował do szpiku kości. Miałem dobre, mocne spodnie i wysokie buty, ale płaszcz zostawiłem w urzędzie celnym. Ubrany by-

łem w lekką i otwartą z przodu kurtkę. Taka panowała wtenczas, przed czterdziestu laty, moda. Poprosiłem rozkwasiela nosa, żeby przyniósł mój płaszcz. Był jeszcze inny powód mej prośby. Popalony płaszcz dowiódłby, że ugasiłem pożar w budynku. Ale mogłem sobie oszczędzić fatygi. Ten gbur zaśmiał się tylko złym śmiechem i rzekł:

— Lepiej trzymaj głęę zamkniętą, bo cię obedrę do naga!

— Jeśli tak zrobisz, ludzie zobaczą tylko to co przyrodzone — odparłem. — A gdyby ciebie do naga rozebrać, to zobaczyliby diabelski ogon.

Podniósł rękę, by mnie uderzyć, ale nadzorca krzyknął na niego z okna i odwołał z powrotem do budynku. Pozostali rozwiązali mnie i włożyli moje ręce i szyję w dyby. Szybko zgromadził się tłum gapiów. Nadzorca na wielkiej karcie papieru, którą mi przypięto na piersiach, sporządził napis:

„Jestem złodziejem i przemytnikiem. Plujcie na mnie”!

Musiałem przedstawiać żalosny widok. Strumień zakrzepłej krwi spłynął mi z nosa, po ustach i brodzie, aż za kołnierz koszuli. Ubranie mi pobrudzili, włokąc po bruku. Zgubiłem kapelusz. Zmierzwione włosy opadały na oczy. Czarna wstążka, którą przewiązywałem sobie harcap z tyłu, zapodziała się gdzieś, gdy mnie tak wlekli. I bynajmniej nie weseliła mnie myśl, że będę obrzucany zgniłymi jajami, krowim łajnem i innymi nieczystościami, nie mogąc się uchylić ani zasłonić rękoma.

Jak się okazało, nadzorca popełnił błąd, kiedy wypisał na karcie słowo „przemytnik”. Był jeszcze niedoświadczony, nie znał stosunku mieszkańców Kornwalii do przemytników. I to mnie uratowało. Przemytników szanowano. Byliśmy Robin Hoodami wybrzeży, ludźmi, którzy nie pozwalali królowi ograbiać ubogich ludzi. Ledwie celnicy zamknęli dyby i odeszli — na spóźnione śniadanie, jak przypuszczam — z tłumu podeszła do mnie stara kobieta. Była wysoka, tęga, dostojna, prawdziwa matrona. Pręgieryz umieszczono obok fontanny z wodą do picia, pewno po to, by podczas upału widok świeżej wody dręczył spragnionych biedaków w dybach. Kobieta zdjęła białą chustkę z głowy, umaczała ją w fontannie i wspinając się na palce, łagodnie obmyła mi twarz.

— Niech panią Bóg błogosławi — powiedziałem, szczerze

wdzięczny i zdziwiony. — Gdybym był wolny, ucałowałbym kraj twojej spódnicy.

Uśmiechnęła się do mnie wyniośle, ale łaskawie. Nie odezwała się ani słowem. Jakiś mężczyzna podszedł z kawałkiem węgla w rękę, przekreślił na karcie słowo „złodziej” i napisał wyżej: „Wasz przyjaciel”. A zamiast: „Plujcie na mnie” napisał: „Nakarmcie mnie”.

Celnicy zawrócili, ale ludzie zaczęli ciskać w nich kamieniami. Kilkunastu młodzików rzuciło się z kijami w ich stronę. Celnicy się wycofali.

Druga kobieta przyniosła mi gorącą zupę i chleb. Była bardzo niska. Pręgiarz mieścił się na małym podwyższeniu: za mną było trochę miejsca, ale z przodu dyby stały na samym skraju podwyższenia. Kobieta z zupą nie mogła dosięgnąć moich ust. Odwróciła się do ludzi stojących za nią w bezradnym geście.

Z tłumu wyszła bardzo wysoka, młoda dziewczyna. Miała czarne włosy i oczy — prawdziwa kornwalijska piękność. Odpięła ciepły szal, który nosiła skrzyżowany na ramionach i dumnych, wydatnych piersiach. Owinęła mnie nim. Bardzo byłem jej wdzięczny, bo wiatr mnie przeszywał zimnem, ale powiedziałem:

— Piękna dziewczyno, ty sama zziębnieasz. Nie mogę na to pozwolić.

Uśmiechnęła się do mnie. Ten uśmiech miał takie ciepło, że rozgrzał mnie lepiej od wełnianego szala.

— Nie możesz mi w tym przeszkodzić — powiedziała niskim, melodyjnym głosem, trochę jakby wyzywająco. — Raz przynajmniej kobieta może rządzić mężczyzną. Za często bywa na odwrót.

Stała przede mną i karmiła mnie łyżką. Gorąca zupa wspaniale mi zrobiła. Nie miałem nic w ustach od wczorajszego wieczoru. Chciałem pogłaskać jej czarne włosy, jej śniade policzki, na których rumieńce kwitły jak czerwone róże. Jedyne to raz w życiu ręce nie posłuchały mnie, kiedy miałem ochotę popieścić piękną dziewczynę.

— Chętnie bym się zgodził — powiedziałem — żeby twoje ręce co dzień mnie karmiły, niekoniecznie łyżką, ale jedzeniem — przez ciebie ugotowanym, na ogniu — przez ciebie roznieconym!

— Gdybyś nie był taki bezradny w tej chwili — odrzekła we-

soło, a w jej oczach jakby ognik tańczył — wyciąłabym ci za to siarczysty policzek!

— A ja bym się odplacił mocnym całusem — powiedziałem. — Powiedz mi, gdzie mieszkasz. Przyjdę cię odwiedzić, kiedy będę po ludzku wyglądał.

Odwróciła się do zgromadzonych ludzi.

— Słyszeliście go! — zawołała, wskazując na mnie palcem. — Co za chwilę sobie wybrał, żeby zaczynać zaloty!

— Nie wybierałem sobie — odparłem, machając palcami unieruchomionych rąk. — Ale powiedz mi, gdzie mieszkasz. Odwiedzę cię, kiedy będę miał ręce swobodne, żeby się zająć tym, co trzeba!

Mrugnęła do mnie tajemniczo.

— Lepiej się nie dowiaduj, gdzie mieszkam — śmiała się niskim, gardłowym śmiechem. — Mój mąż nie pozwala korzystać ze swego pastwiska. I chociaż duży chłop z ciebie, on jest jeszcze większy.

A ja myślałem, że może to naprawdę dziewczyna dla mnie! (Nie, nie. Moja żona nie będzie zazdrosna, kiedy jej to przeczytam. Słyszała tę historię niejedną raz. I lubi mężczyznę z gorącą krwią. Mawia, że nie ma sensu trzymać przy sobie innego).

— Muszę wracać do domu — rzekła kornwalijska piękność. — Mam obiad do ugotowania i bliźnięta do nakarmienia! — Dumnie wyprostowała pierś, stworzoną istotnie i dla dziecka, i dla mężczyzny.

Wyglądała cudownie — uosobienie namiętnej młodej żony i wspaniałej matki. Ale moja „dziewczyna” z mężem i bliźniętami! Zrobiło mi się głupio. Zacerwieniłem się, zapomniałem języka w gębie. Ona odwróciła się i zawołała do jakiegoś człowieka, stojącego opodal:

— Pożycz mi na chwilę tę skrzynię, którą trzymasz!

Postawiła ją przed pręgierzem. Stała na niej, odsłaniając zgrabną nogę, cienką w kostce. Pochyliła się i pocałowała mnie w same usta swymi świeżymi, czerwonymi wargami. Tłum śmiał się i klaskał.

— Powiem twojemu Dawidowi! — wołała ze śmiechem jakaś kobieta.

Moja „dziewczyna” zeskoczyła ze skrzynki, pomachała do mnie ręką i zawołała:

— Żegnaj, przemytniku i przyjacielu! — I już jej nie było.

W ciągu dnia zmieniały się otaczające mnie twarze, ale zawsze było ich przynajmniej ze dwadzieścia. Młodzieńcy z kijami parokrotnie odpędzali celników. Jeśli pomimo ciepłego szala, który mi zostawiła młoda matka bliźniąt, zmarzłem na tym przenikliwym wietrze, to z pewnością nie dlatego, iżby mi brakło gorących, przyjaznych, współczujących serc. Ludzie przynosili mi jedzenie, przynosili piwo, a gdy napój spływał mi po brodzie, bo nie mogłem unieść głowy i przełknąć swobodnie, ocierali mi twarz.

Gdy zaczęło się ściemniać, około godziny piątej, nadjechał galopem oddział żołnierzy. Musieli ich sprowadzić z Wadebridge, wojsko nie stacjonowało w Padstow. Odegnali ludzi, którzy odchodząc pozdrawiali mnie i życzyli szczęścia.

Zdjęto mnie bezceremonialnie z pręgierza. Ramiona, nogi i szyja zupełnie mi zesztyniały, zęby szczękały z zimna. Prowadzono mnie między dwoma szeregami żołnierzy do więzienia. Młodzicy, którzy przedtem odpędzali celników, teraz wymyślali żołnierzom i ciskali w nich kamieniami. Jeden niecelną ręką rzucony kamień skaleczył mnie lekko w czoło.

W więzieniu przeszukano mnie. Zabrano trochę drobnych pieniędzy, które miałem przy sobie, składany nóż, lok dziewczęcy i jeszcze parę drobiazgów.

W zimnej kamiennej celi nie było ani pryczy, ani stołka. Ale zastałem w niej więźnia. Poznałem go od razu. Okazał się nim szyper statku, zabranego przez kuter straży celnej z naszą kontrabandą. Był bardzo przygnębiony. Próbowałem dodać mu otuchy, zapewniając, że mój ojciec dopilnuje, aby żaden z nas nie stanął przed sądem, a jeśli nawet do tego dojdzie, to żeby nas zwolniono pod jakimś pretekstem. Rzeczywiście, niebawem się rozchmurzył. Zaczął mówić o możliwości ucieczki. Zbadaliśmy żelazną kratę, zastępującą okno w naszej celi. Gołymi rękoma nic nie można było wskórać.

— Gdybyśmy tylko mieli pilnik! — westchnął.

Siedzieliśmy na podłodze obok siebie, oparci o ścianę, otuliwszy się obaj szalem mojej kornwalijskiej piękności. Wilgoć i zimno przenikały nas do szpiku kości. Wstaliśmy. Chodziliśmy na ukos po celi, kwadratowej, trzy jardy na trzy. W rogu leżała kupka ekskrementów. Zastanawialiśmy się, czy będziemy musieli tak chodzić przez całą noc — i przez ile nocy?

Klucz obracany w zamku. Skrzygnięcie. Wszedł mężczyzna, niosąc kawał chleba i dzbanek z wodą. Głowę trzymał nisko schyloną. Powiedział głośno:

— Kolacja dla was, rozbójników!

Lekko kopnął drzwi. Zamykały się pomału, jakby tylko pod siłą własnego ciężaru albo kołysane przeciągiem. Podniósł głowę, palec na ustach. Wepchnął pod moją kurtkę coś zawiniętego w szmatę. Przycisnąłem to coś ramieniem, spojrzałem mu w twarz. Mrugnął. Był to celnik, który mrugał do mnie już przedtem, przed budynkiem urzędu celnego. Znowu położył palec na ustach, otworzył drzwi i rzekł głośno:

— Spać? Będziecie mogli się wyspać na statku transportowym z zesłańcami!

Wszedł.

W szmacie był pilnik i kawałek papieru, na którym nagryzmołono słowa:

„Derriman i ja czekamy z końmi na murawie za oberżą «Pod Kogutem». Ryszard Seamore”.

Nie traciliśmy czasu na rozmowy.

— Schył się! — zawołał szyper. — Stanę ci na plecy.

Zaczął piłować, starając się nie robić hałasu, środkową sztabę kraty w oknie. Obaj byliśmy wysokiego wzrostu, on o dwadzieścia dobrych lat starszy ode mnie i znacznie cięższy. Zastanawiałem się, czy zdołamy się przecisnąć przez taki wąski otwór. W każdym razie szyper niebawem zaczął się wydawać dwakroć cięższy niż normalny mężczyzna. Każdy ciężar wydaje się dwakroć większy, gdy trzeba dłużej ugiąć się pod nim.

Po pół godzinie zmieniliśmy się. Spieszno nam było. Musieliśmy wydostać się z Padstow przed świtem. Zarazem nie można było hałasować. Mój towarzysz nie mógł utrzymać mnie na plecach dłużej jak kwadrans. Był z tym kłopot, bo mnie znacznie lepiej szło piłowanie. Postanowiliśmy więc zmieniać się co kwadrans.

Przepiłowaliśmy pierwszą sztabę... drugą. Może dałoby się już przecisnąć. Szyper kazał mnie pierwszemu próbować. Przyzwolicie to było z jego strony. Ja mogłem się podciągnąć do okna, ale

wątpię, czy jemu by się to udało bez wspinania się po moich plecach. A jeśli ja wyleżę, może już nie będę mógł wrócić, więc się uparłem, żeby on spróbował wyjść pierwszy. Bez skutku. Pchał się co siły, ja go popychałem z tyłu. Beznadziejne. Szeptem nalegał, żebym uciekał. Odpowiedziałem, schylając się znowu i mówiąc:

— Właż na mnie. Piłuj!

Wreszcie przecięliśmy trzecią sztabę. Powiedziałem szyprowi, żeby szedł pierwszy. Wspiął się na okno, zaczął przelazić. Zdawało mu się, że zobaczył jakąś postać, cofnął się, stracił równowagę. Ja stałem prosto, nie mogłem powstrzymać jego upadku. Spadł ciężko na kamienną podłogę. Nie mógł się ruszyć. Uniósł głowę i zagryzł wargi, by nie jęknąć. Noga była złamana.

— Idź! — szepnął z twarzą zmienioną od bólu.

— A ciebie mam zostawić, i ślady mojej ucieczki? — spytałem gniewnie.

Rzeczywiście, byłem w kropce. Nie można było się spodziewać, żeby nawet mój ojciec potrafił nas z tego wyciągnąć. Przepiłowane kraty...

— Jeśli się wydostanę — powiedziałem — to będę mógł i ciebie wydostać!

— Jak chcesz — szepnął — ale idź.

Później wyznał mi, iż był przekonany, że mówię tak tylko dlatego, by jakoś usprawiedliwić własną ucieczkę.

Chwilę później skradałem się cicho wzdłuż muru więzienia. Modliłem się, dosłownie modliłem się, aby przynajmniej jeden z koni miał juki. Przy jukach zawsze jest mocna lina. Tym razem moja modlitwa została wysłuchana.

Konie miały kopyta owiązane szmatami. Podprowadziliśmy jednego do okna celi. Jeśli tej nocy był strażnik koło więzienia, to chyba bardzo mocno spał. Wlazłem z powrotem do celi, owiązałem szypra liną. Szarpnąłem. Na ten znak Derriman i Seamore pociągnęli. Robiłem, co mogłem, by złagodzić windowanie szypra do góry i przez okno. Ta złamana noga musiała go piekielnie boleć. W każdym razie wydostaliśmy go i posadzili na konia — bez jęku. Dzielny człowiek.

Niebo jaśniało, gdy wyjeżdżaliśmy z Padstow w kierunku południowym, żeby zmylić ewentualną pogoń. W ciągu dnia ukryliśmy się w stodole. Konie łąpczywie zajęły się starym sianem,

którego tam było pod dostatkiem. Derriman umiał się zgrabnie obchodzić ze złamanymi kończynami. Sporządził łubki, ja podarłem koszulę na bandaż. Szyper zemdłał podczas nastawiania nogi, ale gdy potem otrzeźwiliśmy go, poczuł się lepiej. Siedliśmy do posiłku, który składał się z chleba, mięsa i rumu. Wszystko przyniesione przez Seamore'a.

Pokrzepiony i najedzony szyper zapadł w niespokojną drzemkę. Opowiedziałem towarzyszom historię tego dnia pod pręgierzem, a oni zaśmiewali się z „mojej dziewczyny”, która okazała się mężatką i matką bliźniąt. Wytłumaczyli mi, w jaki sposób zostawiono mnie w budynku urzędu celnego. Seamore potrząsał głową, opowiadając, jak ojciec mu nawymyślał. Mogłem sobie wyobrazić.

— Wywali mnie z bandy — mówił posepnie Ryszard. — Już mi to zapowiedział.

— Nie zrobi tego, jeśli wrócisz bezpiecznie do domu ze mną i z szyprem na dokładkę — pocieszałem go. — Znam ojca. Nie jest niewdzięczny.

— Według mnie Ryszard dobrze się sprawił dzisiejszej nocy — rzekł Jim Derriman. — Zagroził temu strażnikowi, że mu kark ukreści, jeśli nie dostarczy ci pilnika. I zrobiłby to! — Przerwał. Jim i Zuzia Derriman nie mieli ojca. Jim był głową rodziny. Dorzucił: — Wiesz, po dzisiejszej nocy nie będę się sprzeciwiał, żeby Zuzia poszła za ciebie.

Seamore wyciągnął rękę do Derrimana.

— To mi oszczędzi masę kłopotu, Jim — powiedział. — Bo ja chciałem zaproponować, żebyśmy sprawę rozstrzygnęli, bijąc się na pięści. I wiesz, musiałbyś mnie zabić wpierw, niżbym się wyrzekł Zuzi.

Rozdział VII

Podróż z przygodami

Miałem zamiar dziś wieczorem posiedzieć dłużej nad moim pisaniem. I oczywiście dobre zamiary lichy wzięło: zaczynam później niż zwykle. Tak to bywa. Opowiem wam, czemu to się stało.

Przygotowałem sobie wszystko do pisania i obgryzałem pióro, jak zazwyczaj. Wiedziałem, co chcę napisać, tylko nie wiedziałem, od czego zacząć. Ale musiałem się głęboko zamyślić, bo to moja żona go usłyszała.

— Ralfie! Posłuchaj, Cromwell czegoś chce od ciebie.

Podniosłem głowę i zobaczyłem Cromwella — mego psa, jak pamiętacie — skrobiącego łapą w szyby niskiego, parterowego okna kuchni. Jakiej rasy jest Cromwell? No cóż, powiadają, że mądry to pies, który zna własnego ojca. Więc skąd ja miałbym znać jego rodziców? Cromwell jest duży, o długiej sierści, ostro zakończonym pysku i kosmatym ogonie. Dlaczego nosi takie imię? Otóż Oliver Cromwell, ten jegomość, który odciął głowę Karolowi Pierwszemu przed stu laty czy więcej, miał podobno dużą brodawkę na brodzie. Mój pies ma coś podobnego tuż pod dolną wargą. Stąd jego imię. Brodawka, czy co to jest, nie dodaje mu piękności, ale ja nie potrzebuję psa do dekoracji. Stare porzekadło głosi, że „piękny jest, kto pięknie postępuje”. A według tej miary Cromwellowi nic nie brakuje.

Jest bardzo przywiązany do rodziny. Dobry stróż. Pilnuje gospodarstwa. Nie wolno mu wchodzić do domu, więc nikt go nie rozpieszcza i nie psuje przysmakami z kuchni. Zagania owce na pastwiska, mogę je z nim zostawić na cały dzień, a wieczorem znajduję je całe i bezpieczne, jakby były w zagrodzie. Krowami

mniej się może interesuje, ale dobrze wie, na czym polegają jego obowiązki w stosunku do nich. Dowiedział tego dzisiajszego wieczoru.

Pośpieszyłem do drzwi. Cromwell zaszczekał, zakręcił się w kółko parę razy i pobiegł do obory. Wiedziałem od razu, że coś jest nie w porządku i ruszyłem za nim, gdy moja żona zawołała:

— Twój płaszcz i czapka, Ralfie. Zimny wiatr dzisiaj.

Przyniosła je do drzwi. Zawsze dba o mnie. Oszczędziła mi niejednego przeziębienia albo i czegoś gorszego, nie pozwalając wyjść na dwór, jeśli się ciepło nie ubrałem. Cromwell naszczekiwał coraz głośniejsze, podbiegał do obory, zawracał.

Poszedłem za nim jak najspieszniej. W oborze zobaczyłem Daisy — piękna krowa, bardzo mleczna — która rzucała się i postękiwała — właśnie zaczynała się cielić. Parę tygodni przed czasem, boby nie zaskoczyła mnie tak niespodziewanie.

Daisy jest doświadczoną matką i prędko się uwinęła z robotą. Piękna mała jałoweczka, brunatna jak i matka. Teraz obie odpoczywają na czystej, świeżej ściółce. A ja siedzę z powrotem w kuchni za stołem. Niewiele mi czasu zostało, żona zaraz zawoła, żeby iść spać.

Ale co znaczy mieć dobrego psa! Oczywiście, że to właściwie nie ma nic wspólnego z moją opowieścią. Ale chciałbym, żeby moi czytelnicy — kimkolwiek będą — znali mnie nie tylko jako przemytnika z moich młodych lat, ale także takiego, jakim jestem teraz — gospodarza. Lubię gospodarować. Lubię eksperymentować w krzyżówkach hodowlanych. W wyniku moich eksperymentów mam lepsze owce niż ktokolwiek z sąsiadów. Dają mi więcej wełny szlachetniejszego gatunku. Gdybym się urodził synem rolnika, na pewno spędziłbym całe życie na wsi. Ale urodziłem się synem przemytnika i to najlepszego przemytnika, jaki kiedykolwiek ładował kontrabandę. I chciałem być taki jak on.

— Chodź spać, Ralfie. Robi się późno, a ty jutro musisz wcześniej wstać, jeśli chcesz jechać na jarmark.

Czy nie mówiłem? Ale nie będę się jej sprzeciwiał. Dobra z niej kobieta, najlepsza, z jaką mogłem spędzić życie. Więc dobranoc. Co się przydarzyło rodzinie Eddy Dunham po mojej ucieczce z więzienia w Padstow — opowiem następnym razem.

W cztery godziny po moim powrocie nasza mała rodzina była już w drodze. Czekając na mnie, rodzice zapłacili czynsz za dom, sprzedali ruchomości. Załadowaliśmy tylko osobiste rzeczy na parę koni i wyruszyliśmy. Pozostanie w Boscastle byłoby szaleństwem. Nawet gdyby żołnierze nie przyjechali jeszcze tego samego dnia, żeby mnie — przynajmniej mnie — aresztować, byłibyśmy już naznaczonymi i podejrzanymi ludźmi. Włamanie do urzędu celnego i ucieczka z więzienia — to niebłaha rzecz. Stanowilibyśmy niebezpieczeństwo i dla reszty towarzyszy.

Ojciec i ja jechaliśmy wierzchem, każdy prowadził dodatkowo jucznego konia. Tempo dyktowały obładowane zwierzęta. Ale obliczyliśmy, że nieprędko zaczną nas ścigać i że żołnierze nie zapuszczą się w pościgu daleko, nawet jeśli się dowiedzą, co było wątpliwe, w jakim kierunku uciekamy. Matka jechała za mną na koniu aż do Launceston. Tutaj czuliśmy się już bezpieczni i ojciec wynajął w miasteczku karetkę pocztową dla matki. Konie sprzedaliśmy. Bagaże załadowaliśmy na dach karetki. Schowane w skórzanych sakwach nasze pieniądze, stanowiące niemałą sumkę, ojciec przytroczył sobie przy siodle.

Jeszcze zanim opuściliśmy Boscastle, ojciec zaofiarował się zabrać ze sobą każdego z towarzyszy, który chciałby z nami jechać. Ryszard Seamore i Jim Derriman uznali, że najbezpieczniej dla nich będzie również zniknąć z okolicy. Także Zuzia dołączyła się do nas. Była to dziewczyna pełna temperamentu, żywa, ciekawa świata i ludzi, a może i chciała pokazać się ludziom, zwłaszcza młodym mężczyznom, bo wysoko ceniła własne wdzięki. Reszta towarzyszy została. Mieli domy "l rodziny, a prócz tego nic im naprawdę nie groziło. Ryszard i Jim, razem z Zuzią, odwieźli najpierw szypra ze złamaną nogą na północ do Barnstaple, do jego domu. Później mieli się spotkać z nami w oberży pocztowej w Exe-ter.

W karetce niepogoda nie dokuczała matce, ale poza tym było jej mniej wygodnie, niż gdyby jechała ze mną wierzchem. W dzisiejszych czasach takie karety są wygodniejsze, ale podówczas nie miały żadnych resorów, trzęsły i podrzucały niemiłosiernie. Drogi były okropne, wyboiste, a każdy deszcz zamieniał je w kleistą maź. Ojciec i ja mogliśmy jechać miedzą albo nawet przez pola, ale karetka musiała trzymać się gościńca, niewiele lepszego od wiej-

skiego traktu. Rzadko też posuwała się szybciej niż stępa. Ojciec popędzał pocztyliona, by przyspieszył na suchszej drodze, ale matka wytknęła głowę przez okno i zawołała, że dojedzie do celu naszej podróży z połamanymi kośćmi.

Jakoś jednak dotarliśmy pierwszego wieczora do Okehampton na skraju wyżyny Dartmoor — pustynnej, posępnej okolicy, zupełnie płaskiej, poprzecinanej samotnie sterczącymi granitowymi skałami — i zatrzymaliśmy się w oberży. Kolację i śniadanie ojciec kazał nam przysłać na górę do pokoju, bo nie chciał zostawiać sakiew z pieniędzmi. A w nocy czuwaliśmy na zmianę z ojcem.

Następnego dnia przytelepaliliśmy się do Exeter — pierwszego większego miasta, jakie widziałem. Tu trzeba było cały dzień czekać na Derrimanów i Seamore'a, którzy zjawili się wreszcie, zmęczeni trudną drogą. Pierwsza to była sposobność uczczenia zaręczyn Zuzi i Ryszarda. Ojciec kazał przynieść do pokoju mężczyzn — matka i Zuzia spały w drugim sąsiednim pokoju — mnóstwo wybornych potraw, a także piwo i gorący poncz. Piliśmy więc za zdrowie narzeczonych i śpiewaliśmy piosenki, przy słuchaniu których matka się rumieniła — Zuzia natomiast wcale. Młoda narzeczona wpadła w doskonały humor, śpiewała z nami i zaśmiewała się. Od dawna miałem wrażenie, że Zuzia ma trochę zbyt wiele temperamentu jak na spokojnego i solidnego Ryszarda. Ciekaw byłem, ile minie czasu, zanim Zuzia znajdzie sobie kogoś, kto tak jak ona, chciałby używać życia bez żadnych hamulców. Ojciec pilnował, by nikt z nas nie wypił za dużo. My, czterej mężczyźni, mieliśmy w nocy czuwać na zmianę, każdy po dwie godziny.

Już od świtu jechaliśmy gościńcem przez Honiton, gdzie wyrabiają słynne koronki, Axminster, skąd pochodzi dywan, który leży dzisiaj w naszej bawialni, ale wówczas dopiero zaczynało się tam specjalizować w tym kunszcie, i Bridport, miasteczko znane z wyrobu sieci rybackich i lin, aż do Dorchester. Ta podróż przez południową Anglię cieszyła mnie i ciekawiła ogromnie. I wcale mi nie przeszkadzało, że nie było dnia, byśmy nie zaznali deszczu, a często i przejmujących zimnem wiatrów. Nigdy przedtem nie wychylałem nosa poza Kornwalię — to znaczy, o ile pamiętam, bo przecież urodziłem się w Walii, gdzie moi rodzice mieszkali przez

jakiś czas. Miałem zaledwie trzy lata, gdy rodzice wrócili z powrotem na południowy zachód. Teraz wszystko mnie ciekawiło i podniecało moja wyobraźnię: różnaitość krajobrazu, dalekie przebłyski morza, któreśmy dostrzegali z gościńca, wielkie stare budowle w miastach. Był to kraj zupełnie inny niż Kornwalia — równiejszy, więcej zadrzewiony, o liczniejszych wioskach i miastach, w ogóle bardziej „urządzony”, jeśli tak można powiedzieć. Zabawne, ile różnorodności można znaleźć na tej naszej małej wyspie angielskiej. Wiem, jaka jest mała, opłynąłem ją niejedyn raz dookoła statkiem.

Zanim dotarliśmy do Dorchester — bardzo starożytnego miasta — podróżowaliśmy już tydzień, a wciąż jeszcze drugie tyle drogi dzieliło nas od celu, którym było Selsey, na wschód od Portsmouth. W owym czasie Selsey stanowiło jeden z największych ośrodków przemysłowych południowego wybrzeża. Nie zabraknie tam dla nas możliwości uprawiania zawodu. Matkę zmęczyła już bardzo jazda karetką — bolały ją wszystkie kości. Była to sobota i ojciec postanowił, że przez niedzielę matka wypocznie.

Matka uparła się, że musimy wszyscy pójść do kościoła, aby podziękować Bogu za naszą szczęśliwą ucieczkę z Kornwalii. Ojciec, mrugnawszy na mnie, wymówił się twierdząc, że musi pilnować pieniędzy. Ryszard z Zuzią chcieli się wymknąć na własną rękę, ale matka ich zatrzymała i zagroziła, że Bóg nie pobłogosławi ich związku. Zuzia energicznie potrząsnęła głową i rzekła, że ważny jest związek, a nie błogosławieństwo. Usta matki zacisnęły się mocno. Nie pochwałała tego rodzaju uwag w ustach młodej dziewczyny. Staralem się zatuszować tę nieprzyjemną chwilę, żartując:

— Moglibyśmy pomodlić się o lepszą drogę!

— Ja nie będę odmawiała takich frywolnych pacierzy — skarciła mnie matka. — Bóg zajęty jest ważniejszymi sprawami od moich sińców.

W końcu tylko wymówka ojca została przyjęta. Zresztą my wszyscy chętnie poszliśmy do kościoła, chyba z wyjątkiem Zuzi. Przemysłnicy, jak zwykle ludzie związani z morzem, są nabożni i z całym przejęciem odprawiają praktyki religijne.

Po południu Ryszard i Zuzia zdołali się wreszcie urwać. Matka się położyła. Ja z Jimem poszliśmy obejrzeć miasto — z jego murami obronnymi, jeszcze dobrze zachowanymi, i pomnikami ludzi,

których nazwiska, jeśli mam być szczery, wyleciały mi z pamięci. To było ciekawe popołudnie. I odtąd nabrałem chęci, której nigdy nie straciłem, do oglądania starych budowli. Nie znam się na architekturze wcale, ale jeśli znajdę jakiegoś mieszkańca, któremu te sprawy nie są obce, zasypuję go pytaniami. Tak czy inaczej, zawsze mi sprawia najwyższą satysfakcję i jakby pociechę widok tych wspaniałych budowli, które ludzie sami zbudowali.

Kiedy byłem jeszcze chłopcem, nie potrafiłem — pomimo opowiadań mego dziadka o dawnych czasach — powiązać jakoś siebie samego z Anglikami tamtych dni, kiedy rządili nami Rzymianie, kiedy Normanowie nas podbijali, kiedy panował Henryk, który miał sześć żon, kiedy Oliver Cromwell i jego farmerzy walczyli z królem i magnatami. Stare budowle, jak te w Dorchester, dostarczyły mi brakującego ogniwa, którego potrzebę odczuwałem. Więcej niż legendy i opowieści, więcej niż pieśni, więcej niż cokolwiek innego stare budynki są dla mnie namacalnymi dowodami ciągłości pokoleń. Nie wyrażam się zapewne dość jasno, ale może jakoś odczujecie, co chciałbym powiedzieć.

Z Dorchester ruszyliśmy na północny wschód do Ringwood. Zuzia, która jechała na koniu za swoim bratem, teraz przeniosła się do karetki i wkrótce narzekala o wiele żałośniej od matki na niewygody podróży. Po raz pierwszy usłyszałem w jej głosie nutkę kłótności. I znowu mi przyszło do głowy, że nie wiadomo, czy ten nieprzytomnie zakochany Ryszard dokonał właściwego wyboru. Oczywiście, Zuzia była bardzo ładna, co przede wszystkim pociąga młodych mężczyzn, nieprawdaż? A po paru miesiącach niejeden by wołał, żeby jego żona była brzydsza, ale łagodniejsza. Ja miałem szczęście. Znalazłem w mojej żonie nie tylko urodę, ale i dobry charakter.

Ringwood leży na skraju ogromnej starej puszczy, zwanej jakby przez przekorę Nowym Lasem, a ciągnącej się na zachód od Southampton. Bardzo pragnąłem zobaczyć tę starożytną i sławną puszcze.

Oberżysta w Ringwood ostrzegł nas, abyśmy nie wjeżdżali sami w Nowy Las. W ciągu następnego dnia nadjadą inne karety, a także dyliżanse ze strażą. Pojedziemy wszyscy razem. Był to jedyny bezpieczny sposób, gdyż ostatnio w puszczy pojawili się

rozbójnicy i słyszano o kilku wypadkach. Ojciec wyśmiał jego ostrzeżenie.

— Czterej mężczyźni na koniach nie potrzebują straży — rzekł. — Sami jesteśmy własną strażą. I wolimy własną kompanię. Ludzie, którzy by nam towarzyszyli, też mogą się okazać złodziejami.

— Wolna wola! — odparł oberżysta, wzruszając ramionami. — Może byście zechcieli zostawić pieniądze z poleceniem kupienia ładnego wieńca na pogrzeb?

Pocztylion protestował, że nie pojedzie dalej bez konwoju.

— W takim razie możesz wracać do domu — odparł ojciec. — I nie zapłacę ci ani szeląga.

Rankiem pocztylion oznajmił, że jeden z koni przy karcie okulał. Ojciec kazał mu przeprowadzić konia tam i z powrotem po dziedzińcu. Koń rzeczywiście mocno kulał. Ale to był naiwny fortel. Gwóźdź, wsunięty między kopyto a podkowę.

Wszyscy mężczyźni w naszej kompanii chcieli jechać. Zuzia także. Powiedziała, że podobno rozbójnicy bywają często przystojni i rycerscy wobec dziewcząt. Matka jedna nie pochwałała tej decyzji i nie widziała powodu do pośpiechu.

— Ale zawsze szłam wszędzie za moim mężem, więc pójdę i te raz — zakończyła swoje wywody.

Prawdę mówiąc, miała słuszość. Do nielicznych wad mego ojca jako przywódcy należała skłonność do brawury. Lubił czasem niepotrzebnie ryzykować.

Nowy Las mnie nie rozczarował. Miejscami puszcza po obu stronach gościńca tworzyła zwarty gąszcz starodrzewu, podszytego krzakami. Gdzie indziej otwierały się polany, porośłe wrzosami, a nawet bagna. Jechaliśmy w chłodnym, jesiennym słońcu. Żałowałem, że to nie lato albo jeszcze lepiej — wiosna. Musiałem się zadowolić widokiem nagich konarów tych przepysznych drzew--olbrzymów, liczących sobie sto lat i więcej. W tej nagości imponowały w szczególnie sposób. Wiek dodawał im siły. Nie można tego powiedzieć o ludzkim ciele, gdy się starzeje.

— Bądź rad, że nie ma już liści — zauważył ojciec. — Gęsta zieleń za dobrze chroni rozbójników.

Około drugiej po południu zaczęliśmy się rozglądać za odpowiednim miejscem, aby się rozlokować i zjeść obiad. Wtedy właśnie

dostrzeżliśmy na prawo od gościńca pośród olbrzymich dębów kilku jeźdźców. Ojciec, który jechał na przedzie, obok pocztyliona, wstrzymał swego wierzchowca.

— Stój! — rzekł i położył rękę na lejcach najbliższego konia w zaprzęgu. — Nie będziemy się spieszyć.

Seamore, Derriman i ja otoczyliśmy karete, trzymając ręce na pistoletach w olstrach. Matka i Zuzia wytknęły głowy z okien po obu stronach karety. Ośmiu jeźdźców wyjechało zza drzew. Mieli zamaskowane twarze, dostatnią odzież — brązowe spodnie, wysokie buty, grube zielone płaszcze modnego kroju.

Ojciec przygotował uprzednio plan obrony na wypadek takiego zdarzenia. Matka, posłuszna jego instrukcjom, wysiadła od razu z karety i stanęła obok mnie, Zuzia — obok Ryszarda. My obaj zsiadliśmy z wierzchowców, aby w razie potrzeby łatwiej nam było wsadzić kobiety na siodło.

Z radosnego podniecenia paliła mnie twarz, a palce nóg kurczyły się i rozkurczały w butach. Ośmiu na czterech, a ci czterej jeszcze obciążeni kobietami i kareta! Pocztylion trząśł się ze strachu, a usta mu się poruszały, jakby odmawiał pacierz.

Najwykwintniej przystrojony z rozbójników podjeżdżał ku nam pomału, zabawiając się podrzucaniem w górę swego pistoletu i chwytaniem go w powietrzu za rękojeść. Z rękawów zwisały mu sute koronki, na trójgraniastym kapeluszu sterczały pióra. Jego, kompani **nie** mieli koronek, a zamiast piór obszywkę z barwnego kordonka. Herszt wstrzymał konia parę jardów od nas. Zdjął kapelusz bardzo dwornym gestem, a złożony go na piersi, skłonił się nisko do pasa. Zuzia nawet się uśmiechnęła na chwilkę, zachwycona taką wytwornością. Wydawał się jakimś aktorem, odgrywającym komedię.

— Składam najniższy hołd piękności, której jestem wiernym sługą! — odezwał się głosem człowieka dobrze wychowanego. — Żałuję prawdziwie, że zaszła przeszkoda — z pewnością króciuteńka — w waszej podróży. Ale czterej mężczyźni towarzyszący jednej karecie — to chyba za dużo zachodu. Musi być jakiś powód usprawiedliwiający taką ostrożność. Wydaje mi się, że rozsądnie to wydedukowałem, przyznajcie sami. — Zwracał się do mego ojca, najstarszego wiekiem w naszym gronie. — Tę sprawę możemy chyba załatwić, jak pomiędzy ludźmi honoru?

— Jeżeli waść się zwiesz człowiekiem honoru — odparł ojciec — to ja nie wyrzekam tego tytułu. Jeśli się nie myślę, jesteś złodziejem. Czego chcesz od nas? Spieszno nam w drogę!

— Przykro mi spotykać się z tak grubiańskimi manierami — rzekł rozbójnik, nadal bardzo uprzejmym tonem. — Bądź co bądź, ja moje dobre maniery nadal zachowam, pod warunkiem... — w tym momencie twarz mu się zmieniła, sztuczny uśmiech znikł, ustępując miejsca brutalnej bezwzględności — że mi wydacie wszystkie wasze pieniądze. Nie próbujcie niczego ukrywać. To się może źle dla was skończyć.

— Nie mamy niczego dla was! — odparł bez ogródek ojciec.

— Złazić z koni! — krzyknął herszt. — Pistolety zostawić przy siodłach. — Zwrócił się do swoich kompanów: — Wy dwaj, przeszukajcie karete. Reszta ma pilnować, by nikt tu nie próbował jakichś sztuczek! Zsiadajcie z koni, będzie wam łatwiej strzelać w razie potrzeby.

On sam został na koniu, z wyceLOWaną w nas bronią.

Ojciec oparł się nonszalanckim ruchem o swego wierzchowca. Twarz Derrimana była jak burak. Wściekłość go brała na widok naszej pozornej bezradności. Poczytliion dygotał. Ryszard opiekuńczo objął ramieniem Zuzię. Ten ruch nasunął hersztowi widocznie jakiś pomysł. Wezwał jednego z rozbójników.

— Przeprowadź mi tutaj tę młodą damę. — Na chwilę znowu zrobił się wytwornie uprzejmy. — Możemy się zabawić, czas nam nie będzie się dłużył. Jak wspominałem, jestem wiernym sługą piękności! — Głos mu się znowu zmienił. — Będzie zakładniczką, gwarantującą mi wasze dobre maniery!

Jeden z rozbójników podszedł, by wykonać rozkaz. Jim nurknął, chwycił go za nogi i obalił na ziemię. Wybuchło zamieszanie. Herszt wystrzelił z pistoletu — kula trafiła w miedzę. Rozbójnicy przez chwilę byli zaskoczeni. Ta chwila nam wystarczyła. Ryszard rzucił Zuzię na swego konia i sam wskoczył. Ojciec wyrwał pistolet z olstrów. Rozległ się drugi strzał i koń herszta zwał się na kolana. Nie mam możliwości opisanie jednoczesności wypadków, ale naprawdę wszystko to zdarzyło się równocześnie.

Konie rozbójników, pozbawione jeźdźców, spłoszyły się od wystrzałów, oni sami skoczyli, chcąc je chwytać. Zerwałem z siebie skórzany pas i zacząłem okładać najbliższego konia, który poga-

lopował jak szatan. Inne pogalopowały za nim, ciągnąc jeźdźców, trzymających je za uzdy. Rozbójnik, którego konia popędziłem, wymierzył do mnie z pistoletu. Matka zerwała czepek z głowy i rzuciła mu w twarz. Posadziłem ją na mego wierzchowca. Była zwinna jak na swoją tuszę, a dawniej doskonale jeździła konno. Ojciec znowu wystrzelił z pistoletu, tym razem w powietrze. Herszt w koronkach i piórach okazał się tchórzem. Pobiegł schować się w las.

— Jim, zabierz chłopca ze sobą! — krzyknął ojciec, mając na myśli pocztyliona.

Więcej już nic nie widziałem. Galopowałem za Ryszardem. Następny ojciec. Jim z pocztylionem, jak sądziłem, za nami. Strzelano. Plecy matki musiały stanowić wspañiały cel, ale żadna kula nas nie dosięgła. Tylko konie galopowały coraz szybciej.

Drzewa po obu stronach gościńca migały przed oczyma. W pewnej chwili spłoszyliśmy stado jeleni. Później dzik przebiegł drogę. Nie dbaliśmy o nic, choć w innych okolicznościach zachwyciłby nas widok zwierzyny. Nie przykróciliśmy cugli, dopóki nie powitały nas pierwsze zabudowania odległego o pięć mil Romsey, sporego miasteczka na północ od Southampton.

Koło oberży ojciec i ja z matką dogoniliśmy Ryszarda z Zuzią. Ale gdzie się podział Jim?

— Daj mi twego konia — powiedział ojciec do Ryszarda. — Ty pilnuj tego, co w moich sakwach... przy siodle... Ralf wraca ze mną.

Matka ani na chwilę nie straciła zimnej krwi i spokoju. Podejrzewam, że ta cała przygoda sprawiła jej nawet przyjemność. Za młodu nieraz brała udział w awanturach z celnikami.

— Szedł człowiek pod górę, niosąc dwa kręgi sera — powie działa. — Upuścił jeden, który stoczył się w dół, a potem rzucił drugi, by odnaleźć pierwszy. Czy mam dodać, że zgubił oba?

Ojciec uśmiechnął się do niej.

— Nikogo nie zgubimy. Zajmij się Zuzią.

Dziewczyna była bliska hysterii. Ryszard starał się ją uspokoić, a im bardziej ją gładził i pieścił, tym więcej Zuzia rzucała się, płakała, dygotała. Znowu pomyślałem, że kiepską będzie żoną dla przemytnika.

Pojechaliśmy, ale nie dalej jak milę, i zobaczyliśmy Derrimana.

Szedł, prowadząc swego konia, na którym siedział, jak przyklejony, pocztalion.

— Coś źle — zauważył ojciec. — Powinni galopować.

Jim uśmiechnął się do nas, gdy podjechalśmy, ale twarz miał bladą i jakby ściągniętą.

— Co tam? — zaczął ojciec.

— Mielśmy trochę kłopotów z odjazdem — powiedział Jim powoli, jakby mu słowa z trudem przechodziły przez usta.

— Nie przelałeś niczyjej krwi? — spytał szybko ojciec. Było to u niego odruchowe. Nienawidził przelewu krwi w utarczkach z celnikami. Na chwilę zapomniał, że to inna sprawa.

Jim spojrzał na własną prawą pięść.

— Ten z rozbitą szczęką nie krwawił — rzekł. — Ale ten z rozkwaszonym nosem — owszem, trochę krwi mu puściłem.

Ojciec się roześmiał.

— Twardy z ciebie pacholek! — rzekł z uznaniem. — Strzelali?

— Tak — odrzekł Jim i spojrzał na swój prawy but. Był przestrzelony, a na jasnym brązie skóry ciemniała duża plama.

Pocztalion, który wciąż jeszcze się trząsł, wykrztusił:

— Dostali go!

— Złaż z konia, już! — krzyknął do niego ojciec, sam zeskakując na ziemię. — Możesz go dosiąść, Jim? Pomogę ci!

Ojciec wsiadł na konia razem z Derrimanem i odjechali, wołając do mnie:

— Wsiadaj na konia Ryszarda, to dobry koń! Niech chłopak je dzie na twoim. Jim, trzymaj się — przecież nie zemdlejesz?

Jim chwiał się, ale trzymał ojca mocno.

W oberży Zuzia zemdląła od razu, ujrzawszy brata, którego wnosiliśmy we dwóch z ojcem. Nie było łatwo zdjąć mu but. Jim krzywił się, ale nie jęknął ani razu. Ryszard wachlował przez ten czas Zuzię. Matka przyniosła gorącej wody z kuchni, zajęła się rannym. Kula przeszła tylko przez mięśnie, ale utkwiała z drugiej strony, w skórce buta. Poleciałem po doktora, który przybiegł natychmiast i opatrzył ranę.

Jim niebawem przyszedł do siebie, tylko był blady z upływu krwi. Pokpiwał dosyć złośliwie z siostry, którą z trudem docucono. Może chciał pokazać, że już się dobrze czuje, a może wie-

dział lepiej od Ryszarda, jak sobie radzić z Zuzią. Był też trochę podniecony koniakiem, którego daliśmy mu się napić.

Wreszcie, pierwszy raz od chwili napadu rozbójników, mogliśmy odsapnąć trochę.

— Mogło być gorzej — przyznał ojciec i dodał, zwracając się do matki: — Świetnie się spisywałaś, moja kochana! A ten twój czepeczek ocalił życie Ralfowi!

Matka oblała się ślicznym rumieńcem, niby dziewczyna, i spojrzała na niego takim wzrokiem, jakim pewno nieraz patrzyła, gdy oboje byli młodzi. Widywałem ich inaczej na siebie patrzących, kiedy się rozzłościли. Teraz ojciec objął ją i łagodnie pocałował. Mama spojrzała na mnie.

— No, a on z kolei mnie uratował, jeśli już o to chodzi! — powiedziała. Poczulem się dumny i szczęśliwy. A matka cofnęła się o krok od ojca i zapytała:

— Ale co z naszymi rzeczami? Z moimi naczyniami i garnkami? Wszystkie zostały na gościńcu?

Miejscowy sędzia odmówił tego dnia zajęcia się pościgiem za rozbójnikami. Za późno. Zresztą dosyć to zabawnie według mnie wyglądało, kiedy my szukaliśmy pomocy prawa. Gdy wieczorem obserwowaliśmy, jak sędzia — opasły, o czerwonej, nabrzmiałej twarzy — pił do nieprzytomności w oberży, ojciec zauważył:

— Oto dlaczego nasze władze nie mogą sobie poradzić z rozbójnikami na gościńcach!

— Ani z przemytnikami, co? — dorzuciłem.

Ale ojca to nie zabawiło. Nie lubił, gdy mówiono o nim tym samym tonem, co o ludziach, którzy terroryzowali kobiety, o złodziejach, gotowych mordować, wykrzykujących: „Pieniądze albo życie"! Dla ojca prawo nie było nigdy prawem sądów, lecz prawem społeczeństwa. Zawsze podkreślał, że to, co przynosi korzyść szerokim masom społeczeństwa, musi być słuszne i zgodne z prawem tego społeczeństwa. Może rozumiał korzyść społeczną w dość wąskim znaczeniu. Ale ja przyjmowałem jego poglądy i nigdy nie szukałem w nich dziury.

Niedawno rozmawiałem z jednym prawnikiem, który przychodzi na nasze nabożeństwa. Ten by się nigdy z moim ojcem nie zgodził. Według niego rząd jest strażnikiem społeczeństwa i musi u-

stanawiać prawa dla tego społeczeństwa. A społeczeństwo może istnieć w ładzie i porządku tylko wtedy, jeśli przestrzega tych praw. Ludzie, którzy wchodzić w skład rządu, są tylko ludźmi i mogą się mylić. Ustanawiają czasem złe prawa, mając nawet dobre intencje. Ale nawet i takie prawa winny być przestrzegane, dopóki nie zostaną zniesione.

Musiałem przyznać, kiedy się nad tym zastanowiłem, że jego argumenty były dosyć mocne. Ale nie smakowały mi. Ja, mój ojciec i mój dziad przede mną, wszyscy zdobywaliśmy fortunę na łamaniu prawa, które było naszym zdaniem złym prawem. Wszyscyśmy wierzyli, że przynosimy korzyść społeczeństwu. I mieliśmy powody, by wierzyć, że społeczeństwo popiera to, co robimy, a nas samych szanuje. Nawet rząd przyznał, że prawa były złe, kiedy w końcu zniósł lub obniżył cła, tak że ostatecznie zlikwidował nasz zawód w tej formie, w jakiej my go uprawialiśmy.

Znowu się zagadałem i odbiegłem od mego opowiadania. Przemysłowcy, jak żeglarze i pasterze, bywają skłonni na starość do filozofowania. Pewno wpływają na to długie godziny marszów z jucznymi końmi, kiedy rozmowa jest wzbroniona. Nie pozostaje wtedy nic innego, jak iść, pracować nogami, no i głową.

Następnego dnia sędzia wysłał oddział zbrojnych ludzi, razem z ojcem i ze mną, byśmy odszukali karetę na gościńcu. Powiedział, że on sam jest chory i nie może jechać. Wcale się nie dziwiłem, że „zachorował”. Oczywiście, po rozbójnikach nie było już ani śladu.

Kiedy znaleźliśmy karete, nasz pocztylion — bardzo młody jeszcze chłopak — wybuchnął płaczem. Kareta leżała wywrócona w rowie. Szyby w oknach, drzwiczki, koła i szprychy — wszystko połamane, potłuczone, poniszczone z bezmyślną mściwością. Obicia pozrywane, podarte.

— Nie dostali naszych pieniędzy, więc chcieli, żebyśmy byli zmuszeni część ich wydać — rzekł ojciec.

— Moja kareta, moja kareta! — rozpaczal pocztylion. — Nie odważę się wracać do domu. Mój pracodawca zbije mnie na kwaśne jabłko!

— Nie martw się — pocieszałem go, klepiąc go ramieniu. —

Mój ojciec nie pozwoli, żebyś miał ucierpieć z powodu tej straty.

— Zapłaciłem połowę wartości karety, wynajmując ją — uzupełnił moje słowa ojciec. — Resztę pieniędzy pošlę dyliżansem z Romsey. Możesz wracać do domu tym samym dyliżansem.

Łkania pomału ucichły, chłopiec otarł nos o rękaw kurtki i uspokoił się trochę.

— A i dla ciebie coś się znajdzie na otarcie łez — zapewniał go ojciec.

Nasze bagaże, umocowane na dachu karety, leżały porozrzucane wzdłuż gościńca i między. Odzież, najcenniejsze materie i koronki matki, jej naczynia, szkła, ulubione garnki. Szkło oczywiście potłuczone w drobny mak.

— Więcej się tym będzie martwiła niż kosztem karety — mruknął ojciec, krzywiąc się i potrząsając głową.

Pozbieraliśmy, co się dało i przytroczyliśmy tobołki do siodeł naszych wierzchowców.

Przeszukując przydrożne zarośla, natknąłem się na spory — wielkości ciała człowieka — obszar zgniecionej trawy i dużą kałużę zakrzepłej krwi. Jim Derriman dał do zrozumienia, że posługiwał się tylko pięściami. Czy mówił prawdę? Uznałem, że lepiej nie zwracać na to uwagi ojca. Zrobiłby straszną awanturę, gdyby się dowiedział, że Jim celowo został w tyle, by się tak krwawo rozprawić z pokonanymi już rozbójnikami.

Konie pocztowe z podcinanymi lejcami pasły się spokojnie na pobliskiej polanie. Dlaczego rozbójnicy ich nie zabrali — było tajemnicą. Mogę tylko przypuszczać, że uwolnione z uprzęży w pierwszej chwili uciekły, a później wróciły w pobliże karety, wiedzione instynktem. Pocztylion połapał konie, a dwóch ludzi z oddziału uwiązało je do swoich wierzchowców.

W oberży opowiedzieliśmy reszcie naszej kompanii, co się stało z kareką. Matka odetchnęła z ulgą.

— Czemuś taka zadowolona, czy myślałaś, że któremuś z nas jeszcze się coś przytrafi? — pytał ojciec.

— Nie, głuptasie — odparła matka. — Tylko rada jestem, że nie potrzebuję sobie więcej boków obijać. Będę jechać na koniu za Ralfem i przynajmniej reszta podróży sprawi mi satysfakcję.

Obejrzała szczątki, któreśmy uratowali. Smutno potrząsała głó-

wą. Wiele jej ulubionych przedmiotów przepadło albo było zniszczonych bezpowrotnie. Powiedziała tylko:

— Mogli mi byli oszczędzić przynajmniej mój najładniejszy czajnik do herbaty.

Ojciec zwrócił się do mnie:

— No, czy nie powiedziałem?

Nasza ucieczka z Boscastle kosztowała niemało pieniędzy. Ale ojciec się tym nie przejmował. Lubił zdobywać pieniądze, lubił też hojnie nimi szafować, imponując innym swoją szczodroblivością. Najwięcej go zawsze obchodziło, jak zostało przeprowadzone przedsięwzięcie. Przyznał, że błędem było zlekceważenie ostrzeżeń oberżysty z Ringwood. Ale od chwili zagarnięcia statku z kontrabandą przez celników aż do przygody z rozbójnikami — nasza kompania dobrze się spisywała. To wystarczyło, by wprowadzić ojca w dobry humor.

Kazał przynieść wazę gorącego ponczu i wznosił toast za powodzenie w naszym nowym życiu.

Rozdział VIII

Przyjaciele przemysłowców

Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Krowy obrządzone. Długi, przyjemny wieczór przede mną. Żona robi sery. Zawsze czymś zajęta. Ten kocur, którego znalazłem — Sammy — siedzi na rogu stołu i myje sobie pyszczek. Rozkoszuje się pozostałym na jego wąsach aromatem kosteczek indyka, które właśnie schrupał.

Udał się ten indyk. Soczysty, kruchy, szpikowany wędzonym boczkiem, nadziewany farszem z mielonej i przyprawionej korzeniami cieleciny. Zwinięte plastry wędzonego boczku ułożone dookoła na półmisku. Pod dostatkiem sosu. Kartofle i brukselka. Nasi goście, trzy pary starszych już, jak i my sami sąsiadów, przyszli wczoraj, by nam pomóc rozprawić się z tym indykiem. No i świąteczny pudding — bogaty, z trzema gatunkami rodzyneków, daktylami, figami, polany koniakiem i zapalony, przyniesiony na stół płonący, z gałązką zielonego ostrokrzewu o czerwonych jagodach wetkniętą w środek. Jabłka, pomarańcze i orzechy. I oczywiście kieliszek albo dwa. Czy tylko dwa? Prawdę rzekłszy, straciłem rachubę.

Zjadłem za dużo. Wypiłem odrobinę więcej niż zwykle. Powietrze w bawialni zrobiło się ciężkie od dymu naszych fajek. Trudno się dziwić, że dziś rano byłem cokolwiek ociężały. Uznałem, że muszę się trochę przewietrzyć.

Zabrałem ze sobą Cromwella i popędziłem owce na wzgórze. Mieliśmy przed tygodniem śnieg, teraz już stopniał. Oczywiście, na pastwiskach niewiele pożytku dla owiec, ale one lubią zmianę, ruch, kręciły się po zagajnikach, na wzgórzu za naszym gospodarstwem, szukały jagód, obgryzały gałązki i korę. Przechadzka

dobrze mi zrobiła. Zacząłem rozmyślać. Przypomniałem sobie, jak to kiedyś owce okazały się dobrymi przyjaciółkami przemytników. Zdarzyło się to wkrótce po przygodzie z rozbójnikami, którą ostatnio opisałem. Ale po kolei.

Ojciec nawiązał kontakt z przemytnikami z Selsey. Szyper, z którym uciekłem z więzienia w Padstow, znał ich i dał ojcu list polecający. Tymczasem mieszkaliśmy w oberży w Chichesterze, siedem mil na północ od Selsey. Powróciliśmy do nazwiska Eddy.

W Selsey przemycano przeważnie wełnę, wywożąc ją z kraju, na co potrzebna była licencja. Za granicą wełna dostawała się do rąk tkaczy, wyrabiających sukno we Francji i w Niderlandach. Ci wysyłali sukno z powrotem do Anglii, sprzedawali je taniej od sukna angielskiego. Fabrykanci w Anglii zaczęli skomleć, wobec czego rząd nałożył wysokie cło na wywożoną wełnę. To podniosło ceny, które za granicą uzyskiwano za naszą wełnę, jak również za sukno przywożone z powrotem. Wtedy wkroczył przemytnik — no i ludzie nadal mogli kupować tanie sukno na odzież.

Do Selsey pojechałem razem z ojcem i Jimem. Ryszard był za bardzo zajęty nadskakiwaniem Zuzi. Dziewczyna kazała mu kupić sobie nowe suknie, by zastąpić te, które przepadły w rozbitej karecie. Teraz paradowała po miasteczku uwieszona u jego ramienia. Gdyby znalazł się ktoś, kto by ją trzymał krótko w cuglach i stanowczo z nią postępował, Zuzia może nie byłaby taka zła. Ale Ryszard na wszystko jej pozwalał i rozpuścił ją do reszty.

Matka nie była w najlepszym humorze. Ciężka jej nawet kilkudniowa bezczynność.

Selsey leży na cyplu szerokiego półwyspu, wcinającego się głęboko w Kanał Angielski. Jeździliśmy tam i z powrotem w wiatr i niepogodę. Gdy ojciec i Jim pertraktowali, ja włóczyłem się po okolicy. Zobaczyłem i usłyszałem niejedno o tutejszych przemytniczych wyprawach. Nie na darmo mam oczy. I mam również umysł, który można by nazwać dociekliwym. Nigdy się nie krepuję zadawać pytań.

Były tu dobre warunki do wykonywania zawodu. Cały półwysep, stanowiący zaplecze, był słabo zaludniony, a nieliczni mieszkań-

cy przeważnie byli wmieszani w szmugiel w tej czy innej formie. Od cypla w obie strony biegły pod ostrym kątem długie, płaskie, piaszczyste wybrzeża. Małe francuskie statki lądowały dogodnie podczas przypływu. Przemytnczy brodzili razem z końmi, ładowali wory z wełną prosto na pokład. Mówiono mi, że z tych piaszczystych plaż wywożono na kontynent więcej wełny niż ze wszystkich innych wybrzeży południowo-wschodniej Anglii. Spotkaliśmy farmera, który również zajmował się przemysłem. Twierdził, że w ciągu sześciu lat zarobił na szmuglu dziesięć tysięcy funtów szterlingów.

Nie było tam oczywiście takich jaskiń nadmorskich i wąskich zatok jak w Kornwalii — nie było naturalnych schowków dla kontrabandy. Jak okiem sięgnąć ani jednej skały. Przemytnczy musieli ukrywać ładunki w budynkach gospodarstw.

Ale nie lubiłem tutejszych przemytnczyków. A jeszcze mniej mi się podobały ich metody pracy, o których mi opowiadano. Byli arogancy i agresywni. Nawet z wyglądu przypominali piratów. Nosili kudłate brody, na głowach zawiązywali czerwone chustki, na biodrach szerokie pasy z kolorowej materii. Nosili pistolety i kordelasy, zatknięte za pas — i to w biały dzień, stale. Nie kłopotali się w ogóle o straż celną, a celnicy bali się do nich zbliżyć. Ci przemytnczy nie zawahaliby się przed mordem i wrzuceniem trupa do morza. Terroryzowali wioski wokół Chichesteru. Chodzili bandami po dwudziestu i trzydziestu, uzbrojeni po zęby z groźnie wyglądającymi psami. Niektórzy hodowcy owiec mieli dawniej własne porozumienia w sprawie sprzedaży wełny. Przemytnczy z Selsey sterroryzowali ich i zmusili, by sprzedawali wełnę tylko im. Trzeba przyznać, że ceny płacili przyzwoite. Jeśli natomiast znaleźli wełnę u hodowcy, który im powiedział, że już więcej wełny nie ma, podpalali mu stodołę, nierzadko i dom, a połowę owiec zabierali.

Jadąc z powrotem do Chichesteru powiedziałem do ojca:

— Czy musimy tutaj zostać? Ci ludzie nie są podobni do naszych towarzyszy z Mevagissey i z Boscastle.

Odrzekł wymijająco:

— Jutro zadecydujemy. Musimy z czegoś żyć.

— Nie bardzo mi się chce żyć z rzezimieszkami.

Tym razem jego odpowiedź obudziła we mnie nadzieję. Rzekł:

— A myślisz, że ja chcę?

Palilem się do każdej przygody, im bardziej była ryzykowna, tym więcej miałem satysfakcji. Ale zawsze słyszałem, że nasz zawód uprawiamy z korzyścią dla ludności. Nie chciałem, by mnie uważano za wroga. Jako przemytnik, lubilem uważać się za jednego z tych, których głoszone strażnikami swobód angielskich. Mój przyjaciel prawnik powiedziałby, że to był tylko pretekst, by łamać prawo. Ale nie wiem, czy się trochę jednak nie mylił.

Następnego dnia wypadła niedziela. Poszedłem z matką na nabożeństwo. Co za rozkosz! Po raz pierwszy znalazłem się w starej przepięknej katedrze. Już przedtem ją podziwiałem, jej wdzięczne, wysmukłe wieże widać było nawet z Selsey. Powiadają, że katedra w Chichesterze jest jedyną w Anglii, której wieże widać z morza. Ale wewnątrz! Dech mi zaparło z zachwytu. Zapomniałem o pacierzach. Matka kilkakroć szturchała mnie łokciem, upominając szeptem, bym się tak nie gapił.

Nawy, kolumny, kaplice, bajeczne witraże, malowidła, płaskorzeźby, brązowe płyty nagrobne. Nie umiem tego wszystkiego opisać. Stary zakrystian oprowadził mnie po nabożeństwie, pokazując wszystko. Matka została w ławce. Używał różnych słów, których nie rozumiałem dobrze. Pamiętam tylko jeden zwrot — kamienne sklepienie, wysoko, wysoko pod dachem. W głowie mi się kręciło, gdy tak patrzyłem do góry. Pomyśleć, że ludzie potrafili tworzyć takie cuda! Katedrę w Chichesterze wybudowali Normanowie. Później oczywiście dużo zmieniano i dobudowywano. Jak z tą pocziwą starą siekierą: trzy razy nowe ostrze zakładałem, pięć razy nowy trzonek, ale to wciąż ta sama pocziwa, dobra, stara siekiera. No, może niezupełnie, jak z tą siekierą. Pierwotna konstrukcja katedry, jej mury, wzniesione przed siedmiuset laty, pozostały te same. A dodatki dorzucano w ciągu wieków — przyjemnie pomyśleć, że każde pokolenie coś swojego tu dokładało. Ogniwa, wciąż ogniwa, łączące dzień dzisiejszy z wczorajszym i przedwczorajszym. Te ogniwa rzuciły na mnie urok.

W poniedziałek rano wybraliśmy się znowu do Selsey. Matka mruknęła, że nie widzi celu tej wyprawy. Moglibyśmy po prostu jechać dalej. Ale ojciec odrzekł, że teraz, kiedyśmy wszyscy zgodzili się na jedno, trzeba jeszcze tym ludziom z Selsey parę rzeczy

powiedzieć. Matka ostrzegała, żeby był ostrożny. Z takimi rzeźmieszkami nigdy nic nie wiadomo. Ojciec zaśmiał się i pogłaskał ją po policzku.

Herszt największej bandy w Selsey — tęgi, brutalnie wyglądający mężczyzna — rzekł:

— Postanowiliśmy wam zaproponować... Ojciec przeciął krótko:

— Nie podobają się nam wasze metody.

Tęgi herszt zerwał się na równe nogi i wałnął pięścią w stół:

— Nasze metody to nasza sprawa! — krzyknął.

Ojciec uśmiechnął się do niego, ale w tym uśmiechu była chłodna pogarda.

— Najzupełniej — rzekł spokojnie. — I nie zamierzamy do waszych spraw *się* wtrącać ani ich podzielać. Przywykliśmy pracować tak, aby wszyscy mieszkańcy odnosili się do nas przyjaźnie i popierali nas. Wy nastawiliście wrogo mieszkańców. Boją się was. Samiście mi to powiedzieli.

— Potrzebujemy ich wełny! — krzyknął znowu herszt. — A jeśli nie chcą nam jej sprzedawać...

Ojciec znowu mu przerwał, ze świadomym wyzwaniem w głosie:

— Nie będę współpracować z mordercami.

Drgnąłem. Mocne słowa. Słuszne, oczywiście.

Reszta ludzi z Selsey porwała się na nogi. Jeden wbił sztylet w stół. Wszyscy krzyczeli:

— Nie będziecie nam tu ubliżać...!

— Precz z nimi!

Jim, który siedział między mną a Ryszardem, wstał i stanął za krzesłem. Krzesło jest nie najgorszą bronią. Ryszard i ja wstaliśmy również. Ale ojciec siedział, ani drgnął.

— Czasem celnika... — warczał herszt. — Kto się troszczy, czy jest o jednego celnika mniej czy więcej?

— Zamordowany człowiek jest oskarżeniem — powiedział ojciec. — Mord zawiązuje stryczek na waszej szyi. Łapówka, wsunięta celnikowi, zostawia nam swobodę. Przekupiony celnik słowa nie piśnie. Sam by się narażał. Prócz tego, morderstwo zwraca ludzi przeciwko wam, a dobre stosunki z ludnością zawsze się

opłacają. Dają zabezpieczenie. Kiedy żołnierze nadciągają, jest gdzie się schować samemu i ukryć kontrabandę. Jeden z ich bandy krzyknął:

— Gadanie! A znaczy tylko, że śmierdzi tchórzem!

To wreszcie rozzłościło ojca. Twarz mu poczerwieniała, oczy zabłyśły. Ale nic nie odpowiedział. Było nas czterech, a ich dziesięciu. Ojciec wstał, dał nam znak, byśmy wychodzili pierwsi. Ociągałem się. Popchnął mnie do drzwi. Ludzie z Selsey z rękoma na broni otaczali nas. Ojciec zagroził im drogę wyzywająco.

Jeden krzyknął:

— To szpiedzy!

— A drugi:

— Lepiej z nimi zrobić porządek.

Przytrzymałem otwarte drzwi. Ojciec odwrócił się do izby:

— Strzelajcie, jeśli macie ochotę! Tylko nie dotykajcie mnie waszymi łapami. Nigdy bym się potem nie domył do czysta.

Zatrzasnął drzwi. Skoczyliśmy na konie. Tamci wybiegli za nami, krzycząc i wymyślając. Po raz drugi, od kiedy wyjechaliśmy z Boscastle, konie nasze gnały, popędzane strzałami. Przekonywałem się, że żyjemy w czasach, w których życie człowieka jest w niewielkiej cenie. Ale ludzie z Selsey nie mieli szans, by nas dogonić. Musieliby najpierw wyprowadzić konie ze stajni.

Podjeżdżając do Chichesteru, zwolniliśmy. Nikt nas nie ścigał. A jeśli nawet próbowali, byliśmy już blisko miasta, więc bezpieczni. Rozmyślałem nad tą kłótnią. Powiedziałem do ojca:

— Żeby tobie powiedzieć, że się boisz!

— W pewnym sensie mieli słuszość — odrzekł spokojnie ojciec. — Trzeba być wielkim świętym albo wielkim łajdakiem, żeby się nie bać szubienicy. Kiedy powiem świętemu Piotrowi, że byłem przemytnikiem, myślę, że mrugnie do mnie i zrozumie. Ale gdybym był mordercą...?

Opowiadałem o tym kiedyś naszemu pastorowi, tutaj, we wsi. Śmiał się z tej rozmowy ze świętym Piotrem, ale sam sądził, że niebieski klucznik nie byłby tak pobłażliwy w sprawie przekupstwa. Pastor twierdzi, że przekupstwo jest antyspołeczne. Demoralizuje zarówno dającego łapówkę, jak i biorącego. Jeden dochodzi do przekonania, że może sobie kpić z prawa, jeśli ma tylko dość

pieniędzy, drugi nie widzi powodu, dla którego miałby pracować jako przyzwoity urzędnik, skoro lepiej zarobi za to tylko, że nie będzie wykonywał swoich obowiązków. Dzisiaj dostrzegam słuszność tego argumentu. Ale w moich przemytniczych czasach nie dostrzegałem tego. Może nie chciałem. Ani inni. Wszyscy, którzy od nas kupowali kontrabandę — lordowie i rycerze, biskupi i zakonnicy, urzędnicy królewscy — wiedzieli o łapówkach, tak samo jak o przemycie.

Pod pewnym względem Selsey było dla mnie wstrząsem. Do tej pory byłem dumny, że jestem przemytnikiem. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę — a później lepiej to rozumiałem — że dla niektórych ludzi słowo „przemytnik” może być odrażające.

— Szkoda — powiedziałem do ojca — że musimy nazywać się przemytnikami tak samo jak te rzezimieszki!

Ojciec uśmiechnął się:

— Więc możemy się zwać poławiaczami księżyca.

I od tej pory tak siebie nazywaliśmy.

Ojciec miał jeszcze jeden list, który mu dał nasz szyper ze złamaną nogą, tym razem do pewnej grupy przemytników w Folkestone. Podkuliśmy nasze konie i wyjechaliśmy tam następnego ranka. Matka nie chciała więcej słyszeć o żadnej karcie. Jechała wierzchem razem ze mną, Zuzia zaś czasem na koniu Jima, czasem Ryszarda. Podróż minęła gładko. Nocowaliśmy w pobliżu Brighton, modnego uzdrowiska, a Zuzia usiłowała nas namówić, żebyśmy tam spędzili kilka dni. Następnego nocleg wypadł w Hastings, gdzie, o czym dobrze wie każde dziecko, przeszło siedemset lat temu wylądowali Normanowie, by podbić Anglię.

Folkestone jest starożytnym miasteczkiem z ruchliwym portem i prosperującymi przedsiębiorstwami rybackimi. Odnaleźliśmy bandę przemytników, do których mieliśmy list, i od pierwszego spojrzenia przypadliśmy sobie nawzajem do serca. To byli poławiacze księżyca na naszą modłę. Weseli, przyjacielscy, nigdy nie spoglądali spode łba.

Główną kryjówkę, właściwie sztab, dzielili z przemytnikami z innych band. Mieścił się ten sztab w dużym domu zwanym „The Warren”, położonym na wschód od miasta. Wznosił się wysoko na wapiennej skarpie nad morzem. Stamtąd sygnalizowano do stat-

ków z kontrabandą, gdzie i kiedy lądować. Między domem a piaszczystym wybrzeżem ciągnęła się przestrzeń wapiennych skał, urywających się ostrą krawędzią wysokiej skarpy. Szły stąd wykute w wapieniu głębokie korytarze, miejscami szerokie jak gościńce,, gdzie mogli się kryć poławiacze księżycy razem z końmi i ładunkami. Prowadziły do dużych gospodarstw w pobliżu morza. Tędy wieziono kontrabandę do klientów albo wprost ze statków, albo z ogromnych składów w piwnicach „The Warren”. Nie było potrzeby przekazywać ładunków w głąb ładu. Cała okolica sprzyjała poławiaczom księżycy, których traktowano jako szanowanych członków społeczności, na równi z pastorem, lekarzem, dziedzicem,, prawnikiem i piekarzem.

Główny nadzorca urzędu celnego był łatwym w pożyciu człowiekiem. Miał piękny dom z bladuróżowej cegły, otoczony uroczym ogrodem. Nie kupił sobie tego z poborów urzędnika. Wolał też zajmować się pielęgnowaniem swego ślicznego ogrodu niż uganianiem się za poławiaczami księżycy, których by i tak nie schwycił, nie mając do tego dość sprytu.

Banda chętnie powitała nowych towarzyszy, powiększających ich liczbę, a doświadczonych w zawodzie. Poszczególne wyładunki nie były tu większe niż nasze w Kornwalii, były natomiast duża częstsze. Bywało, że wartość towaru wyładowanego w ciągu jednego tygodnia w Folkestone — jedwabiu, koniaku, herbaty — sięgała kilku tysięcy funtów szterlingów. Ale oczywiście ojciec nie był tu przywódcą. Nie można było tego oczekiwać.

Wzięliśmy w dzierżawę małą gospodarkę na północ od miasteczka, z ziemią pastwiskową, rozciągającą się na łagodnych pagórkach u stóp North Downs. Ojciec kupił dwie krowy i parę tuzinów owiec. Maskowało to korzystnie nasz właściwy zawód, pozwalało przyjaźnić się z celnikami. Tam nauczyłem się gospodarować, polubiłem zwierzęta. Jim Derriman i Ryszard Seamore wynajęli mały domek w pobliżu.

Ryszard i Zuzia pobraли się. Od tej pory Zuzia zaczęła się robić coraz bardziej przykra i nieznośna. Chciała koniecznie zamieszkać w mieście. Podróż z Kornwalii obudziła w niej upodobanie do „wielkiego świata”. Rankami wyglądała bardzo ponętnie. Trochę jeszcze senna, przeciągała się w krześle jak kot, który właśnie wyliział do czysta pełną miseczkę śmietanki.

Czekałem niemal, czy nie zobaczę, jak myje sobie twarz łapkami. Rozumiałem wtedy, dlaczego tak pociągała mężczyzn. Ale w miarę jak dzień upływał, humor jej się psuł, zaczynała się irytować i złościć. Narzekała na robotę domową.

Matka nieraz jej ostro przymówiła. Nie było to przyjemne dla nikogo. Oczywiście nic nie wskórała. Jim niby śmiał się z siostry i szwagra, ale martwił go charakter Zuzi.

Ale wybiegam naprzód z moim opowiadaniem. Jeszcze zanim małżeństwo młodej pary zaczęło nam przyczyniać zmartwień, pracowaliśmy regularnie, odbierając towar w różnych punktach wzdłuż wapiennych skarp nadbrzeżnych między Folkestone a Dover, który leżał na północnym wschodzie, a także w kierunku południowo-zachodnim, aż do Hythe. Zanim przybyliśmy do Folkestone, wydaliśmy mnóstwo pieniędzy, trzeba było więc znowu coś uskładać. Nasi nowi towarzysze polubili nas, a zwłaszcza cenili rozum ojca i energię Jima.

Wkrótce wybraliśmy się na robotę do bardziej oddalonego punktu. Około siedem mil na południowy zachód od Folkestone, za Hythe, zaczynały się tak zwane Błota Romnejskie. Te puste, dzikie przestrzenie, porośłe szorstką trawą, ciągnęły się w głąb lądu na zachód, na jakieś osiem mil, a od północy do południa liczą ponad dziesięć mil długości. Był to raj dla poławiaczy księżycy. Był to również raj dla owiec. W każdym gospodarstwie w okolicy hodowano owce. Mówiono mi, że na Błotach Romnejskich były owce jeszcze wcześniej, nim się rozpoczęła oficjalna historia Anglii. Te owce przydawały się bardzo i poławiaczom księżycy, jak się dowiedzie.

Banda z Błot Romnejskich poprosiła nas o pomoc. Oczekiwali pewnego bardzo specjalnego ładunku, tak dużego, że nie mogliby sobie sami poradzić. Wybierałem się tam z ciekawością. Dużo słyszałem o Błotach Romnejskich, chciałem je sam zobaczyć. Kiedyśmy tam dotarli, niewiele było do oglądania. Zimny, wilgotny kraj, w żadnym miejscu nie wznoszący się wyżej jak o kilkanaście stóp nad poziom morza, zielony nawet zimą. W dniu naszej wyprawy całą okolicę spowijała mgła, pełzająca znad morza, przenikająca wilgotnym zimmem do szpiku kości. Tutejsi gospodarze musieli wyhodować specjalną rasę owiec, odporną na taki klimat. Mówiono mi, że bywało tu czasem jeszcze gorzej, wtedy gdy wiały ostre wiatry znad Kanału.

Owczarski charakter kraju odzwierciedla się nawet w nazwach tutejszych oberż: „Pod Worem Welny”, „Pod Runem”, „Pod Jagnięciem”, „Pod Pasterzem z Laską”.

Statki z kontrabandą — oczekiwano sześciu — miały przybić nocą. Spotkaliśmy się z towarzyszami z tamtej bandy wczesnym wieczorem. Robota wydawała się dosyć prosta, taka, jaką dobrze znaliśmy.

Nasz przywódca, George Lambton, wysoki i chudy, o błyszczących, trochę jakby wytrzeszczonych oczach, spytał:

— Co z tą zarazą, celnikami? Nie będą nam włązić w paradę?

Przywódca bandy, która nas wezwała na pomoc, William Casey, uśmiechnął się tylko. Stanowił zabawny kontrast z Lambtonem. Był niski, muskularny, wesoły, nosił podkręcone wąsiska, które sterczały mu na parę cali z obu stron śniadej twarzy.

— Racja, wszyscy celnicy to zaraza — powiedział. — Nic dziwnego. Porządny człowiek rzadko przyjmie tę posadę. Ja bym też nie przyjął. Nikt ich nie szanuje. Tylko donosiciele i męty im pomagają. Więcej niebezpieczeństwa im grozi od mieszkańców niż od nas.

— Dobrze, ale dziś? — nalegał Lambton.

— Wszyscy z urzędu celnego mieszkają w Rye — odparł Casey, zdając się unikać prostej odpowiedzi. — O piętnaście mil stąd. Nikt na Błotach Romnejskich nie wynajmie im domu ani izby.

— Choćby i piętnaście mil, łatwo tu dojadą, jeśli posłyszają o tym wyładunku — upierał się Lambton.

Casey przyłożył palec do swego małego, czerwonego nosa i przymknął jedno oko. Widzę go, jakby to było wczoraj.

— Nie ma strachu. Sędziowie są naszymi dobrymi przyjaciółmi. Lubią wolne od cła trunki i jedwabie, jak każdy. W Rye jest dzisiaj sesja wyjazdowa trybunału. Trzej urzędnicy celni zostali wezwani na sędziów przysięgłych i siedzą tam cały dzień.

Wybuchnęliśmy śmiechem, ojciec śmiał się najgłośniej ze wszystkich. To był nowy fortel, nawet dla niego. Casey przerwał:

— I będą musieli nocować w Rye. Nie, celnicy nam nie wleżą w paradę. Bardziej mnie martwi ta mgła. Statkom trudno będzie przybijać.

Jednakże późnym wieczorem i ta trudność się rozwiązała wraz z ostrą bryzą od morza. Była dość jasna noc.

Nasza banda przyprowadziła czterdzieści koni jucznych. Ci z Błot Romnejskich mieli drugie tyle. Mieli też — czego dotychczas nigdy nie widziałem u poławiaczy księżycy — ogromne platformy konne. Było ich z tuzin, każda zaprzężona w parę mocnych, ciężkich, dobrze wypasionych perszeronów, a powożona przez miejscowych gospodarzy, którzy je wypożyczyli.

— Ależ te wozy wytłoczą ślady na mokrym gruncie — zaprotestował ojciec, zwracając się do Lambtona. — Koleiny pozostaną przez wiele dni!

Casey dosłyszał to. Z chytrą miną znowu przyłożył palec do nosa.

— Wszystko się załatwi! — powiedział. — Zobaczycie.

— Czy mamy owinąć koniom kopyta szmatami? — spytał ojciec.

— Nie potrzeba — odparł Casey i powtórzył: — Zobaczycie! Ojciec wrzucił ramionami i odchodząc, powiedział do mnie z cicha:

— Wydaje się, że ci ludzie znają się na swojej robocie. Ale ja nie lubię zostawiać takich wyraźnych śladów na otwartych przestrzeniach.

Wybrzeże Błot Romnejskich pocięte jest setkami wpadających do morza strumieni i wąskich zatok. Trzy takie zatoki wybrano na lądowiska. Wywieszono światła, by skierować we właściwe miejsca statki, które wciąż nie nadpływały. Musiała je opóźnić wieczorna mgła.

Dopiero po północy zawinęły do oznaczonych światłem zatok pierwsze trzy statki. Przemaraliśmy do tego czasu na kość. Zabraliśmy się do wyładowywania. Trzeba było się spieszyć. Celnicy czy nie, lepiej załatwić się z robotą przed brzaskiem. Pracowaliśmy z energią także dlatego, żeby się rozgrzać. Najpierw załadowaliśmy wozy, by gospodarze mogli odjechać.

Kiedy w końcu pojawiły się pozostałe trzy statki, odbieraliśmy towar jeszcze szybciej, pakując ładunki na konie. Ostatni statek odpływał, gdy z niepokojem dostrzegliśmy bielejące na wschodzie niebo.

Ruszyliśmy w drogę z jucznymi końmi. Wozy, jak ojciec przewidział, pozostawiły w grząskim gruncie głębokie koleiny. Obok kolein zagłębiały się w grunt kopyta osiemdziesięciu obiadowa-

nych koni. Ojciec spoglądał na te zdradzieckie ślady i marszczył czoło. I właśnie wtedy zobaczyliśmy w bladym świetle brzasku olbrzymie stado owiec, idące ku nam.

— A cóż te owce? — zdumiał się ojciec. — W morze idą czy co?

Nieprzeliczone stado szło na nas, przez nas, koło nas. Owce schylały łby, podszczypując krótką trawę. Białe runa falowały. Szły, wciąż szły. Za nimi ukazało się kilku pasterzy z psami, oganiającymi stado. Obróciliśmy się, by popatrzeć za nimi. Pędzono je w stronę najdalszej z zatok, w której wyładowywaliśmy kontrabandę. Kierowane przez psy, zeszły aż na wąską plażę, tuż przy morzu, potem wzdłuż wybrzeża do następnej zatoki i jeszcze do następnej. Wreszcie zaczęły zawracać z powrotem ku nam, rozdzielone na mniejsze grupy, każda idąca innym traktem. Ojciec podrapał się w głowę i pytająco wzruszył ramionami. Przez cały ten czas jechaliśmy naprzód, w tę stronę Błot, skąd przyszły owce.

— Ojcze, spójrz na grunt za nami — powiedziałem.

Ani śladu wyżłobionych kolein czy odcisków kopyt. Nic, tylko ziemia, równiutko zdeptana setkami owczych racic! Nawet najbystrzejszy celnik nie zdołałby tu znaleźć dowodów oskarżenia.

Jak powiedziałem na początku, czasem owce, jak i ich właściciele, bywali najlepszymi przyjaciółmi poławiaczy księżycy.

Rozdział IX

„Nabijaj w butelkę, jeżeli się da...”

Wróciłem wczoraj z Londynu. Musiałem pojechać do banku na Lombard Street. Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w pobliżu Folkestone, ojciec złożył do banku pieniądze, które zarobił na naszym poławianiu księżycy. Teraz ten sam bank ma w swojej pieczy resztę mojej fortunki.

Londyn — to nie miejsce dla mnie. Za dużo tu oszustów i włóczęgów. Trzeba przyznać, że sporo się poprawiło od czasów, kiedy pierwszy raz przyjechałem tam z ojcem. Strażnicy i urzędnicy energiczniej tropią przestępców, ale wciąż jeszcze złodziejstwo się panoszy. Boję się, że mi wyciągną z kieszeni pieniądze, jak to! się zdarza codziennie setkom ludzi. Póki jest jeszcze jasno, chodzę po mieście i oglądam piękne budynki. Natomiast po zapadnięciu ciemności krokiem nie ruszę się z oberży, w której się zatrzymałem, niedaleko katedry Świętego Pawła. Ulice nocą nie są bezpieczne. Bywa, że spokojnego przechodnia napastnicy uderzą pałką w głowę, a kiedy się ocknie, będzie bez pieniędzy, a i bez ubrania. Nie uważam się za tchórza, ale nie lubię niebezpieczeństwa, które się z tyłu, po ciemku skrada za mną. Zawsze jestem rad znaleźć się z powrotem w zaciszu i bezpieczeństwie własnego domostwa. I żona też z ulgą wita mnie wjeżdżającego na dziedziniec.

Muszę podjąć wątek mego opowiadania. Na czym stanąłem? Trzeba przeczytać, co napisałem poprzednio...

Blisko dwa lata pracowaliśmy z bandą Lambtona. Zarobiliśmy sporo pieniędzy. Życie upływało przyjemnie, zwłaszcza że wracało się za każdym razem do domu, do gospodarstwa. Ale mnie się chciało czegoś więcej, jakichś przygód, podniecenia. Nadzorca u-rzędu celnego nadal spokojnie uprawiał swój ogród. My odbiera-

liśmy, magazynowaliśmy, sprzedawaliśmy herbatę i jedwabie z Francji. Nie przeszkadzaliśmy nadzorcy w pielęgnowaniu ogrodu, a on nam nie przeszkadzał w uprawianiu naszego zawodu. Kiedy przechodziliśmy obok jego pięknej posiadłości z ciągiem jucznych koni, dotykał ręką czapki — jak każdy żebrak, dopraszający się o swój zwyczajny datek.

Niecierpliwiłem się. Często narzekałem. Moglibyśmy być zwykłymi wozakami, mówiłem, którzy wożą oficjalny, ocłony towar z wybrzeży w głąb kraju. Ojciec się uśmiechnął:

— Z tą różnicą, że więcej zarabiamy.

Z właściwym młodym ludziom niezadowoleniem wobec decyzji starszych wybuchnąłem arogancko:

— Ojciec nie myśli o niczym innym tylko o pieniądzach! Ja chcę żyć, zaznać przygód, zobaczyć świat. Pieniądże, pieniądze! Idą do ojcowskiej sakiewki — i co komu z nich przyjdzie?

Ojciec nie tracił cierpliwości.

— Kiedyśmy musieli uciekać z Boscastle, kiepsko byśmy wyglądali, gdybym nie miał trochę odłożonej gotówki.

Nie byłem w nastroju do chłodnego rozumowania. Powiedziałem:

— Nie wydaje się, abyśmy kiedykolwiek musieli stąd uciekać!

Matka, jak to zwykle matki, wytłumaczyła sobie moje niepokoje tym, że się jeszcze nie ożeniłem. Kiedy ojciec wyszedł, zauważyła:

— Powinieneś założyć rodzinę, mieć własny dom, synku. Nie możesz dłużej być sam. Masz dwadzieścia trzy lata.

Nie myślałem o żeniacze. Wydawało mi się, że rodzina paraliżuje możliwości młodego mężczyzny, podcina mu skrzydła. Chciałem być swobodny, by móc zobaczyć świat i rzeczy, które ludzie na świecie pobudowali.

— Czy przykład Zuzi to nie dość, by odstraszyć od żeniaczki? — zapytałem z pogardą.

W rok po ślubie Zuzia uciekła z tak zwanym „gentlemanem”, którego poznała w Folkestone. Jim i Ryszard pojechali za nimi, ale zgubili ich ślad w Londynie. Obydwaj potrzebowali kobiety, by im prowadziła dom, więc Jim ożenił się z córką drobnego gospodarza z sąsiedztwa. Traktował ją dosyć obojętnie, ale Dolly ado-

rowała go ze ślepym uwielbieniem, jak poprzednio Ryszard adorował Zuzię.

Dowiedzieliśmy się później, że „gentleman” był hulaką i rozrzutnikiem bez grosza przy duszy. Pochodził z dobrej rodziny, która zobowiązała się wypłacać mu niewielką sumkę miesięcznie pod warunkiem, że będzie się od niej trzymał z daleka. Zuzia przysłała Ryszardowi swój adres wraz z pełnym rozpacz i skruchy listem. Rozczarowania każą egoistom żałować przez chwilę popełnionych błędów. Pisała, że spodziewa się dziecka. Brat i mąż popędzili znowu do Londynu. Znaleźli ją w okropnej dzielnicy ubogich. Zuzia zmarła poprzedniego dnia, wydawszy przedwcześnie na świat martwe dziecko, chłopca.

Jim po powrocie nie chciał w ogóle o siostrze mówić, zabronił w swojej obecności wymawiać jej imienia. Ryszard tak cierpiał nad jej stratą, jakby była najlepszą żoną na świecie. On ją rzeczywiście ślepo kochał. Złego słowa na nią nie powiedział i nikomu nie pozwolił tego uczynić. Prawie nie rozmawiał z Jimem przez wiele tygodni.

— Ten przeklęty fircyk — powtarzał Ryszard, kiedy był u nas.

— To wszystko jego wina. Ona nic nie zawiniła. Była wesoła, lu biła się pośmiać, pobawić. Gdyby jej ze sobą nie zabrał, nasz syn żyłby dzisiaj.

Zapomniał, jak źle Zuzia go traktowała, zanim „fircyk” się pojawił. I zawsze się upierał, że ten chłopiec był jego dzieckiem. Mógł być, chociaż było to wątpliwe. Urodził się w pół roku po ucieczce Zuzi. A Zuzia spotykała się z „fircykiem” w Folkestone jeszcze przed wyjazdem do Londynu.

Na moją wzdurliwą uwagę matka odparła:

— Nie powinienes sądzić wszystkich kobiet według tej jednej. Spójrz na żonę Jima. I wiele jest innych, jeszcze niezamężnych, równie pocziwych jak ona.

— Ale dziewczyny takie jak Zuzia odstraszą od wszystkich — upierałem się.

— No, nie odstraszyły cię od tych latawic, z którymi się zabawiasz w Folkestone — odparła matka.

— To tylko dla zabicia czasu — mruknąłem. — Łatwo je złapać i łatwo się ich pozbyć. Trochę pieniędzy...

— A jak nie będziesz ostrożny, to złapiesz od nich coś, czego

się nie pozbędziesz i za tysiąc funtów — powiedziała matka na wpół z gniewem, na wpół z wyrzutem.

Nie wiem, czy to mój niespokojny duch wpłynął na ojca czy nie. Ojciec niełatwo ulegał czyjemuś wpływowi albo namowom, chociaż zawsze każdego wysłuchał. Bądź co bądź, wkrótce po tej naszej rozmowie, ojciec rzekł pewnego dnia:

— Chciałbym być znowu na swoim. Lambton to zacny chłop. Ale zawsze najlepiej być panem samego siebie.

Postanowiłem wykorzystać nastrój i chwilę.

— Moglibyśmy założyć własną bandę — powiedziałem. — Od Lambtona sporo towarzyszy do nas przejdzie. A i w innych bandach niejeden pisałby się na zmianę. Pod twoim kierownictwem bylibyśmy wkrótce najlepszą bandą w całej okolicy.

Ledwie wymówiłem te słowa, już sobie zdałem sprawę, że źle zrobiłem. Ojciec skarcił mnie surowo:

— Istnieje taka rzecz jak lojalność, mój chłopcze, a i wdzięczność także. Jeśliś się do tej pory tego nie dowiedział, to już jest najwyższy czas. Lambton i jego banda to przyzwoici ludzie. Wiesz o tym równie dobrze jak i ja. Przyjęli nas, kiedyśmy byli w potrzebie...

— Oni też nas potrzebowali — przerwałem. Trudno mi się było przyznać do błędu. Usiłowałem się wykręcić i tylko naraziłem się na następną wymówkę.

— Myśmy ich o wiele bardziej potrzebowali — rzekł ostro ojciec. — O tym sam wiesz. Postępowali z nami przyzwoicie. Nigdy nie miałem starć w sprawie udziałów. Mówisz, że ja tylko myślę o pieniądzach. A ja ci mogę powiedzieć, że myślę również o naszym dobrym imieniu. W tej okolicy dobre imię zależy od tego, czy zachowamy się uczciwie wobec Lambtona. Każdy go szanuje. Wolno opuścić bandę, ale ja nie będę rywalizował z Lambtonem i podbierał mu ludzi.

— W tej okolicy! — powtórzyłem szyderczo. — Jak mamy zostać w tej okolicy, jeśli nie z nimi i nie z własną bandą? Może mamy resztę życia spędzić na przrzucaniu obornika?

Ojciec wreszcie się rozłościł.

— Gdybyś przestał gadać głupstwa i posłuchał, to może byś się czegoś dowiedział. A jeśli nie przestaniesz gadać głupstw, to

przerzucanie obornika, bez przemytu i pieniędzy z przemytu, doskonale ci zrobi.

Tego już było dość. Ojciec miał piekielny zwyczaj dotrzymywania pogrózek.

W końcu ojciec przedstawił swój plan. Byłem w siódmym niebie, zapomniałem o wszystkich moich irytacjach i złych humorach. Nowe życie dla mnie! Odwiedzanie różnych miejsc, na wybrzeżach Anglii, po drugiej stronie Kanału i Morza Północnego. A ile najcudowniejszych budynków mógłbym sobie obejrzeć we Francji i w Niderlandach! Własny statek!

Gospodarka miała pozostać jako nasza stała przystań. Matka wynajmie kogoś do pomocy przy obrządzaniu zwierząt na okres, kiedy nas nie będzie, a żona Jima, Dolly — w pierwszych miesiącach ciąży — będzie mamie dotrzymywała towarzystwa. Jim i Ryszard przyłączą się oczywiście do nas. Obaj mieli pewne doświadczenie w żeglarskim. Matka nie była zachwycona. Nie ufała słonej wodzie. Dawno już temu, zaraz po ich ślubie, rodzice płynęli statkiem, który się rozbił podczas burzy. Jeden z członków załogi utonął. Od tej pory matka nigdy nie postawiła stopy na pokładzie, nawet łodzi rybackiej. I jeszcze jeden powód, dla którego matka niechętnie odnosiła się do tego planu: było coraz mniej prawdopodobne, że się niebawem ożenię. Nigdzie na lądzie nie będę dość długo, by się poważnie zająć zalotami. Jednakże matka nie sprzeciwiała się w sposób zasadniczy. Zawsze tylko przedstawiała swój punkt widzenia, przyjmowała decyzję ojca i lojalnie ją później popierała.

— Nie zawsze masz słuszość — zwykła mawiać, krzywiąc się półzartem do ojca — ale w rodzinie musi być jedna osoba, która decyduje, a reszta powinna jej słuchać albo odejść.

Zuzia odeszła — i wszyscy wiedzieliśmy, co się z nią stało.

W wyniku tych narad ojciec kupił mały zgrabny sloop, prawie nowy, z grotzagle, topslem, fokiem sztakslowym i kliwrem. Idealny stateczek dla naszej roboty. Płytkie zanurzenie pozwalało mu podpływać blisko brzegu. Miał dużą prędkość, co przy spotkaniu z kutrem straży celnej mogło się bardzo przydać. Był w stanie wejść do prawie każdej zatoczki przy niemal każdym wietrze, wyładować i wracać nawet z tym samym wiatrem. Pod pokładem było sporo miejsca na towar i jedna kajuta, przeznaczona dla ojca.

Reszta z nas miała sypiać w hamakach. Cztery¹, mosiężne armatki były w moich oczach tym ostatecznym wykończeniem, które decydowało o idealnej doskonałości naszego stateczku. Przydadzą się, gdy natkniemy się na piratów, buszujących często w Kanale.

Tego dnia, kiedy pojechaliśmy zabrać słup, byłem chyba bardziej podniecony niż kiedykolwiek w życiu, przedtem czy potem. W Kornwalii wchodziłem na pokład niejednego statku z kontrabandą. Ale posiadać statek na własność! Żeglować pod zwierzchnictwem ojca jako kapitana! Przycumowaliśmy słup po stronie Dovru od Folkestone, tam, gdzie stały łodzie rybackie. Mieliśmy kolejno spędzać noc na pokładzie, kiedy nie żeglowaliśmy. Prosiłem ojca, żebym mógł jako pierwszy spędzić noc na statku, ale wyznaczony został Ryszard Seamore, który miał więcej doświadczenia marynarskiego ode mnie, a nawet od Jima. Ryszarda mianował ojciec podszyprem. Kiedy wróciliśmy do domu, skoczyłem do matki.

— Znalazłem kobietę, z którą się chcę ożenić! — wołałem, ściskając ją — a na imię jej „Emma”!

Matka udawała, że mnie odpycha.

— O czym ty mówisz, głuptasie? Dwa dni raptem cię nie było i już zdążyłeś się zakochać?

— Tak — śmiałem się — tak! Zakochałem się w „Emmie”!

— Kto to? Gdzie... Ojczy, co to za historia?

— Nie daj się nabierać, matko — powiedział ojciec. — „Emma” to imię, które nadaliśmy statkowi.

Nurknąłem za stół, żeby uniknąć żartobliwego, ale ciężkiego ciosu matczynej ręki.

Ojciec wybrał się do Londynu, aby złożyć do banku pieniądze, które mu pozostały po kupieniu „Emmy”. Spora to była sumka, więc zabrał ze sobą Ryszarda i mnie dla bezpieczeństwa w drodze. W samym Londynie trudno było się czuć bezpiecznym, dopóki pieniądze nie znalazły się w banku. Na wszystkich ulicach, z wyjątkiem paru najgłówniejszych, roiło się od bandytów. Zorganizowane szajki włamywały się do sklepów i składów, w biały dzień porywały biżuterię przechodzącym damom, wartościowe cacka dzieciom. Czasem urzędnik państwowy, wysoko postawiony w hierarchii służbowej, dorabiał do pensji, kierując bandą rzezimieszków. Napadano na ludzi, a nawet ich mordowano, gdy wychodzili

za próg własnego domu, by odpowiedzieć na dzwonek u drzwi. W porównaniu do życia londyńskiego sklepikarza poławianie księżycy jest cichym, domatorskim zajęciem, a londyńscy bandyci sprawiają, że szmuglerzy z Selsey mogli uchodzić za świętych. Było bardziej prawdopodobne, że po zapadnięciu ciemności człowiek się spotka z nożownikiem na ulicach Londynu niż z rozbójnikami na gościńcu wśród lasów. Jak już mówiłem, dzisiaj w Londynie stosunki się trochę poprawiły, ale jeszcze nie ze wszystkim.

Głównym towarem, który mieliśmy podówczas wozić „Emma”, była herbata. Holendrzy, Francuzi i inne morskie narody europejskie przywoziły w tym czasie z Indii ponad piętnaście milionów ton herbaty rocznie. Konsumowały z tego tylko jedną trzecią, a dwie trzecie szło do Anglii. Ale cło na herbatę przewyższało sto procent jej ceny sprzedażnej. W rezultacie była tak droga, że stała się niedostępna dla większości biedniejszych mieszkańców. Niemniej jednak powiadano, że dziewięćdziesiąt procent rodzin angielskich piło herbatę. Nawet robotnik rolny odkładał narzędzia dwa razy dziennie i szedł na posiłek, z reguły popijany herbatą. Sklepy sprzedawały herbatę po cenie o parę pensów wyższej od samego cła. Herbata importowana oficjalną drogą była dwa razy droższa. Nie ulegało wątpliwości, że herbata, którą ludzie pili, pochodziła z kontrabandy. Wartość herbaty, szmuglowanej rocznie do Anglii, dwa-kroć przewyższała łączną wartość szmuglowanego tytoniu i trunków. Dzięki poławiaczom księżycy herbata stała się narodowym napojem Anglików.

Do tego właśnie dochodowego przedsięwzięcia mieliśmy się przyłączyć. Ci, którzy przywozili kontrabandę z kontynentu do Anglii, zwykle zarabiali więcej od poławiaczy księżycy. Załoga statku liczyła mniej osób niż banda przemytników. Kapitan oczywiście sprzedawał herbatę po niższej cenie, ale zysk dzielono tylko na kilka części. Poza tym ci, którzy pracowali na łądzie, mieli zawsze na karku celników i żołnierzy. Żeglarzom trudniącym się przemytem podobne utrapienia dokuczały tylko wtedy, kiedy znajdowali się na terytorialnych wodach angielskich. Nie ograniczano wywozu herbaty z portów kontynentalnych.

Te argumenty ojciec przedstawił matce, Jimowi i Ryszardowi. Mnie nie trzeba było przekonywać. Głosowałbym za morzem, nawet gdyby zyski były niższe, a ryzyko większe niż na łądzie.

Banda Lambtona była tylko jedną z wielu w tej części wybrzeża, która chętnie podjęła się brać od nas towar.

W pierwszą wyprawę pożeglowaliśmy do Cherbourga. Była wiosna, pogoda sprzyjała. Prędko uwinęliśmy się w obie strony. Ojciec tak samo doskonale umiał manewrować słupem, jak i prowadzić bandę poławiaczy księżycy na brzegu. Jim i Ryszard, a zwłaszcza Ryszard, okazali się dobrymi żeglarzami. Ja musiałem się dopiero uczyć. Jim nieraz tracił cierpliwość z powodu mojej niezdarności i ignorancji, ale ojciec uczył mnie niestrudzenie.

W Cherbourgu nie miałem czasu, by pofolgować swojej pasji „gapienia się na mury”, jak to nazywał ojciec.

Lambton proponował jako miejsce lądowania zakątek na wybrzeżu między Folkestone a Dovrem. Ojciec odparł:

— Nie. Zabierzemy się do lądowania innym sposobem. — Serce mi rosło, gdy widziałem, jak znowu obejmował kierownictwo. — Moją zasadą jest — ciągnął ojciec — nabijać ich w butelkę, jeśli można, a przekupywać, jeśli się nie da inaczej. Ale jeśli już przekupywać, to nie wyrzucać pieniędzy na darmo.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi — odrzekł Lambton, marszcząc nos i czoło. — Wy tłumacz.

— Oplacasz nadzorcę urzędu celnego — rzekł ojciec. — Niech więc zapracuje na te pieniądze. Ma nas wpuścić frontowymi drzwiami. Wyładujemy herbatę w porcie w Folkestone.

I tak zrobiliśmy. Nadzorca opuścił swój ogród na parę godzin, by przyjąć nasz ładunek. Lambton i jego ludzie przyszli w charakterze agentów handlowych, którzy mieli zakupić herbatę. Wszystko wyglądało nadzwyczaj prawidłowo. Nadzorca kazał zważyć worki z herbatą, obliczył „całość” naszego ładunku. Lambton wręczył mu nawet pewną sumę tytułem cła. Poławiacze księżycy opłacający cło? Tak...

Zabawa opierała się na następującym fortelu. W Cherbourgu załadowaliśmy dwustupięćdziesięciofuntowe wory z herbatą na dno ładowni. Natomiast na wierzchu leżały worki zawierające tylko po pięćdziesiąt funtów każdy. Armatorzy w Cherbourgu dali nam kwit na sto worków pięćdziesięciofuntowych. W Folkestone nadzorca przyjął w prezencie od nas jeden worek pięćdziesięciofuntowy. Potem kazał celnikom przeważać parę worków z wierzchniej

warstwy. Waga się zgadzała. Nadzorca wypisał kwit za pobrane cło zgodnie z kwitem załadunku. Tymczasem później wyładowaliśmy tylko dwadzieścia pięć worków pięćdziesięciofuntowych, a pięćdziesiąt dwustupięćdziesięciofuntowych, łącznie ponad sześć ton. Lambtona bardzo to ubawiło.

— Prosta kalkulacja — rzekł ojciec. — Nadzorca pobrał swoją część, ty masz kwit celny, którym możesz powiewać, pewno ku zdziwieniu twoich przyjaciół, zabierając towar w biały dzień i wte dy, kiedy ci dogodnie, bez żadnych ograniczeń. Jak się czujesz, posiadając w tym kwicie namacalny, rzeczowy dowód, że jesteś przestrzegającym prawa obywatelem?

Stary przemysłnik potrząsał głową.

— Nie wiedziałem, jaki z ciebie chytry lis! — powiedział.

— Kiedyśmy pracowali razem, ty byłeś prowadzącym nas lisem — odrzekł ojciec. — Nauczyłem się od ciebie niejednej sztuczki. A teraz ja mogę nauczyć ciebie fortelów kapitańskich.

Nawiązaliśmy kontakty z bandami w Dovrze, Deal i Ramsgate, w górę wybrzeża, ale zawsze poniżej ujścia Tamizy. Ładowaliśmy również na południowym wybrzeżu, koło Hastings. Ojciec był we wspaniałej formie. Kochał morze, statki, cieszyła go samodzielność.

Nabij w butelkę, jeśli możesz, przekup, jeśli się nie da inaczej. Niebawem „nabijaliśmy w butelkę” na całego.

Banda, której mieliśmy dostarczyć herbatę w Deal, miała kłopoty z tamtejszym nadzorcą urzędu celnego. A nadzorca miał swoje kłopoty. W Deal znajdował się port wojenny. Kręciło się tam mnóstwo oficerów marynarki wojennej, którzy zawsze mieli oko na urząd celny. Niełatwo było nadzorcy powiększyć swoje skromne pobory zazwyczaj praktykowanymi sposobami.

Trzeba, żeby nas bał się więcej, niż się boi oficerów z marynarki wojennej — zdecydował ojciec.

Pożeglowaliśmy do Saint Mało na północnych brzegach Bretanii. Mieliśmy trudną, burzliwą przeprawę. Pokład nam zalewało, woda przedostawała się do ładowni. Musiałem pompować. W Saint Mało trzeba było wybrać wodę przed rozpoczęciem ładowania, chociaż worki na herbatę były nieprzemakalne. Co prawda, worki sporządzano z nieprzemakalnego materiału nie dlate-

go, żeby nie zamokły w ładowni. Niektórzy kapitanowie, dostarczając herbatę do wybrzeży, do których nie mogli blisko podpłynąć, wyrzucali podczas przyływu wory z herbatą za burtę, a poławiacze księżycy zabierali je z brzegów, dokąd unosił je prąd.

W Saint Mało urwałem sobie godzinkę czy dwie, by „pogapić się na mury”. Jest to miasteczko pocięte labiryntem wąskich uliczek i małych, kwadratowych placów. Wszystko zabudowane wysokimi kamienicami, często starymi i malowniczymi. Ale naprawdę oczarował mnie zamek z czternastego wieku, z czterema ogromnymi wieżami.

Podczas powrotnej przeprawy mieliśmy lepszą pogodę. Zawinęliśmy do Folkestone i dostaliśmy nasz kwit za opłacone cło. Lambton zabrał dwustu pięćdziesięciofuntowe wory, ale zatrzymaliśmy na pokładzie wory pięćdziesięciofuntowe, w ilości ściśle odpowiadającej kwitowi. Wymknęliśmy się znów na morze, razem z pięćdziesięciofuntowymi worami i pięknym kwitem urzędu celnego.

Jakieś sześć mil w głąb morza od Deal znajdują się niebezpieczne mielizny, zwane Goodwin Sands. Między mielizną a łądem jest dogodny kanał głębokiej wody. W ten kanał ojciec wprowadził statek podczas nocy. Przesygnalizowaliśmy światłami w kierunku łądu. Dwie łodzie wypłynęły ku nam z małej zatoki na północ od Deal, wioząc ludzi z bandy, dla której mieliśmy herbatę. Przez burtę zaczęliśmy wyładowywać worki na łodzie, bacznie śledząc wybrzeże. Jak oczekiwaliśmy, niebawem ukazał się kuter, lawirujący ku nam pod wiatr. Dwie łodzie z Deal, już załadowane, ruszyły do brzegu. Z kutra kazano im zawrócić w kierunku „Emmy”.

W parę minut później nadzorca celny i sześciu uzbrojonych celników weszło na nasz pokład. Nie zaczęli żadnych pertraktacji. Po prostu wymierzili w nas broń i rozkazali załadować worki z powrotem na „Emmę”. Nic nam nie pozostało, jak posłuchać rozkazu. Robiliśmy to z twarzami niechętnymi, posępnymi. Kiedy jedną z łodzi rozładowywaliśmy, druga próbowała się wysliznąć. Strażnicy strzelili w powietrze. Nadzorca surowo rozkazał załogom łodzi pozostać na miejscu. Nie miał już teraz wątpliwości, że przychwycił łup, z którego zadowoleni będą jego zwierzchnicy, wścibs-

cy oficerowie z marynarki wojennej. Kazał ojcu wziąć kurs do portu. Dwaj ludzie stali przy nim z wycelowanymi pistoletami.

— Pan jest w błędzie — mówił nieśmiało ojciec. — Ja przecież mam... mogę panu pokazać...

Ale nadzorca zbyt był pewien swego, żeby go wysłuchać.

— Już mi pokazaliście wszystko, co potrzebuję widzieć — odparł. — Robić, co powiedziałem!

Ojciec wzruszył ramionami.

— Proszę mi nie brać za złe, jeśli będzie pan tego żałował, to wszystko — powiedział.

— To wy będziecie żalowali, nie ja! — warknął nadzorca. My wszyscy w głębi ducha pękaliśmy ze śmiechu. Prawdopodobnie szarżowaliśmy, odgrywając posępne niezadowolenie.

Nadzorca kazał nam wyładować worki. Właśnie świtało. Ładunek wniesiono do budynku urzędu celnego. Obok mieścił się pusty skład. Tam nas zamknięto, gdyż było nas zbyt wielu — załoga i tuzin poławiaczy księżycy z łodzi — byśmy mogli się zmieścić w małej celce więziennej. Kiedy klucz obrócił się za nami, nie mogliśmy powstrzymać wybuchu śmiechu.

— Poczekajcie, dopiero jutro będziecie się śmiać! — krzyknął przez drzwi nadzorca.

Gdy jego kroki się oddaliły, ojciec rzekł do nas:

— Wszystko według planu. Załóż właściwą przynętę, a złapiesz każdego zwierza. Teraz spróbujmy się przespać parę godzin.

Rozłożyliśmy się na jakichś workach i słomie, którą znaleźliśmy w kącie składu. Pomyślałem, że tej nocy matka nie zazna snu — ani też żona Jima, Dolly. Wiedziały o całym planie. Nie czuły się spokojne wiedząc, że ich mężowie dobrowolnie leżą w łapy stróżów prawa. Paru poławiaczy księżycy też się kręciło dość niespokojnie, niepewni wyników fortelu mego ojca.

Rankiem przyprowadzono nas przed sędziego. Tylu nas było, że już dla publiczności niewiele zostało miejsca w ciasnym pomieszczeniu tutejszego sądu. Ale każda sprawa dotycząca przemytników budziła powszechną ciekawość, toteż ulica przed budynkiem zapełniła się tłumem gapiów. Odpowiedzieliśmy, że nie popełniliśmy zarzucanego nam przestępstwa przemykania towarów bez opłacenia cła. Sędzia przekazał sprawę sądowi przysięgłych na najbliższą sesję. Jak było poprzednio uzgodnione, dwóch sza- *

nowanych kupców — naszych stałych klientów — wystąpiło naprzód i podjęło się opłacić kaucję, by nas wypuszczono aż do czasu (rozprawy). Sędzia, który również nieraz kupował szmuglowaną herbatę i koniak, zgodził się bez trudności, chociaż nie był wtajemniczony w nasz plan. Mieliśmy prawo zabrać nasz statek i łodzie i zobowiązaliśmy się stawić za miesiąc na rozprawę.

W ciągu tego miesiąca dwukrotnie przeprowaliśmy się przez Kanał do Boulogne i do Brestu. Wyładowaliśmy kontrabandę raz na przystani w Folkestone, a drugi raz na wybrzeżach Błot Romnejskich, dla naszego starego druha, Billa Caseya. Na tydzień przed terminem rozprawy nie wypływaliśmy już na morze. Ojciec powiedział, że nie chce ryzykować, bo jeszcze jakaś zwłoka z powodu złej pogody przeszkodzi nam przyjechać na rozprawę.

W wyznaczonym dniu stawiliśmy się posłusznie przed sądem i znowu odpowiedzieliśmy, że nie jesteśmy winni. Nadzorca urzędu celnego w Deal wystąpił i opowiedział swoją historię:

— Przyłapałem ich na gorącym uczynku, jak jeszcze nikogo... Statek „Emma” na głębiny koło Goodwin Sands... Sygnalizowali światłami. Dwie łodzie wypłynęły z zatoki... worki z herbatą w ładowano ze statku na łodzie...

Sędzia, niemłody, dobrze odżywiony jegomość, odsuwał wciąż na bok swoją perukę, by się podrapać w głowę. Sędziami przysięgłymi byli kupcy i sklepikarze, wszyscy bezpośrednio albo pośrednio otrzymujący kontrabandę do sprzedaży. Było nawet dwóch, o których wiedzieliśmy, że się dodatkowo zatrudniają przemysłem. Trudno było w tych stronach znaleźć dwunastu ludzi, nawet gdyby szukać tylko wśród ziemian i pastorów, którzy by nie mieli powiązań z przemysłem.

Kiedy nasz adwokat wstał, trzymał w ręku kwit celny, wystawiony przez nadzorcę urzędu celnego w Folkestone, owego zamiłowanego ogrodnika.

— Wysoki Sądzie, moi klienci doprawdy nie mogą zrozumieć, na jakiej podstawie wystąpiono z tym oskarżeniem. Opłacili cło za całkowity ładunek znajdujący się na ich statku. Wysoki Sąd bez wątpienia zechce zobaczyć ten dowód...

Podał kwit. Sędzia z przekrzywioną peruką dokładnie przeczytał dokument. Sędziowie przysięgli uśmiechali się ukradkiem. Wśród nielicznej publiczności, która wcisnęła się na salę, rozległy

się chichoty, a gdy wiadomość dotarła na ulicę, chichoty zmieniły się w coraz głośniejszy śmiech.

— Ile skonfiskował pan herbaty, panie nadzorco? — pytał sędzia nadzorcę z Deal.

— Sto worków po pięćdziesiąt funtów każdy.

Sędzia podał mu dokument.

— Czy ten kwit pokrywa całość skonfiskowanej herbaty?

Nadzorca mało się nie zakrzusił.

— Musieli ten kwit ukraść albo sfałszować! A może odnosi się do innego ładunku...

Nasz adwokat wezwał nadzorcę urzędu celnego z Folkestone jako świadka, który stwierdził, że kwit wystawił osobiście w dniu oznaczonym na dokumencie.

— Wysoki Sądzie — rzekł nasz adwokat — ów załączony do akt certyfikat nie może się odnosić do innego ładunku. Agenci zatrzymują u siebie dowód na opłacenie cła, aby wyegzekwować należność za to cło od nabywcy.

Sędzia przerzucał kartki opasłego tomu, oprawnego w skórę.

— Dlaczego zapłacili za cło w Folkestone, a wyładowali towar gdzie indziej? — wybuchnął nadzorca z Deal.

— Prawo nie wymaga, aby towar wyładowano w tym samym porcie i miejscu, w którym opłacono cło — oznajmił sędzia. — W tej chwili jeszcze raz sprawdzałem ten paragraf. Prawo wymaga tylko, aby cło opłacić i aby opłata była potwierdzona pokwitowaniem. Jeśli towar zostanie następnie wyładowany w innym porcie, urzędnicy celni zobowiązani są tylko sprawdzić, czy ilość się zgadza z ilością na pokwitowaniu. Sędziowie przysięgli mogą obecnie ocenić, czy mamy dosyć dowodów do stwierdzenia, że herbata, która jest obiektem niniejszego oskarżenia, wcale nie stanowiła kontrabandy.

Sędziowie wycofali oskarżenie, nawet nie opuszczając sali sądowej. Wówczas nasz adwokat oznajmił:

— Moi klienci, jak mnie poinformowano, usiłowali ostrzec nadzorcę urzędu celnego w Deal, że popełnia błąd. Ale nie chciał ich w ogóle wysłuchać. W tych okolicznościach moi klienci życzą sobie wnieść powództwo do sądu o wynagrodzenie im strat materialnych za niesłuszne skonfiskowanie ich mienia — które, o ile wiem, zostało już sprzedane przez nadzorcę — oraz strat moral-

nych, wyrządzonych przez uwłaczające ich dobremu imieniu posądzenie. — Ostatnie słowa wymówił z pompacyjną solennością. Wreszcie zakończył: — Moi klienci, Wysoki Sądzie, są przestrzegającymi prawa obywatelami w stopniu nie mniejszym niż ktokolwiek z obecnych tu na sali sądowej!

Wszyscy pojęli ironię tych ostatnich słów. Sędziowie przysięgli się roześmieli. Sędzia poprawił perukę i udając surowość, skarcił ich za niewłaściwe zachowanie. Wątpliwe, czy ktokolwiek na sali, łącznie z samym sędzią, skrupulatnie przestrzegał prawa. Nie było chyba nikogo, kto by — kupując herbatę, tytoń, koniak lub jedwab — nie orientował się po cenie, że towar pochodzi z kontrabandy.

W rezultacie sąd przyznał nam tysiąc dwieście funtów szterlingów odszkodowania — mniej więcej tyle, ile zapłaciliśmy za ten ładunek herbaty we Francji.

W całej Anglii nawet ci celnicy, którzy usiłowali sumiennie wypełniać swoje obowiązki, kapitulowali i przyjmowali łapówki, ponieważ tak niewiele było sądów, które by skazały poławiaczy księżyca.

Gdy wychodziliśmy z budynku sądu, powitały nas wiwaty rozweselonego tłumu. Zapewne ludzie ci po powrocie do domu ciągle jeszcze śmiali się, popijając filiżankę przemycanej herbaty lub kieliszek przemycanego rumu.

Przyznane nam odszkodowanie, rozdzielone wśród członków załogi „Emmy” i bandy z Deal, nie przyniosło w rezultacie żadnego zysku. Ojcu chodziło głównie o nadanie rozprawie i wyrokowi rozgłosu. Zwierzchnicy nadzorcy z Deal zapłacili połowę kosztów odszkodowania, ale połowę on sam musiał zapłacić, a ponadto wysłuchał surowej nagany i pogróżek zapowiadających zwolnienie, jeśliby podobna afery się powtórzyła. Może by i wolał zwolnienie. Ze skąpych poborów będzie przez lata całe spłacał swoją część odszkodowania.

Mogliśmy być pewni, że nikt nas teraz nie będzie molestował na wybrzeżach w okręgu Deal. Co więcej, wieści o odszkodowaniu rozeszły się szybko po południowej i wschodniej Anglii. Szczegóły naszego fortelu przedostały się do wiadomości publicznej. Fala śmiechu poszła przez hrabstwo Kent, od ujścia Tamizy aż do Kanału Angielskiego.

Sama nazwa „Emma” stała się postrachem dla urzędników celnych. Gdy słup nasz pojawiał się na horyzoncie, nadzorcy i strażnicy, jakby na dany sygnał, kładli się do łóżek z objawami silnego przeziębienia. Było to do tego stopnia nagminne, że szyprowie innych statków pytali o daty, kiedy ojciec zamierza lądować i organizowali własne wyładunki tego samego dnia, pewni, że nie natkną się na żadnych celników.

Nabijaj ich w butelkę, jeśli się da...

Rozdział X

„Uczciwie i honorowo”

Dzisiaj nawiedziło mnie widmo przeszłości. Obrządziałem krowy, kiedy Cromwell zaczął wściekle ujadać. Ktoś obcy wszedł na podwórze. Właściwie nie wszedł, tylko się wśliznął chyłkiem, oglądając się nieufnie przez ramię. Był lichy odziany, nie ogolony, obszarpany. Spojrzał na mnie niespokojnie, jak człowiek niepewny, czy go przyjmą. Miał rozdartą jedną nogawkę spodni.

— Czego sobie życzyacie? — spytałem.

— Może by pan zechciał kupić baryłeczkę koniaku?

— Gdy mi potrzeba koniaku, co się rzadko zdarza, to kupuję w oberży.

— Ale płaci pan więcej, niż ja bym od pana zażądał.

— Skąd go dostajecie, jeśli taki tani?

Obcy — dobrze zbudowany, tylko zabiedzony, o chytrym wyrazie małej i jakby zwiędłej twarzy — mrugnął do mnie porozumiewawczo.

— Podróżuję do wybrzeży — powiedział. — Southampton, Portsmouth, Chichester. Trafiają mi się okazje.

— Szmugiel? — zapytałem wręcz.

— Niektórych słów lepiej głośno nie mówić. — Znowu się rozejrzył nieufnie.

— Tu nikogo nie ma oprócz mnie — zapewniłem go.

Muszę przyznać, że czułem dreszczyk podniecenia. Wspominam moje przemytnicze czasy, jak żołnierz wspomina wojny. Wiele zdarzeń wolałbym może zapomnieć. Ale wyprawy, przygody, ryzyko, dalekie kraje...

Wymieniłem kilka sąsiadów, oberżę we wsi i zapytałem, czy dostarcza im towar.

— Tam to mnie psami szczują — rzekł płaczkliwie, wskazując na rozdarte spodnie. — W oberży nie chcą mi podać trunku, a cóż dopiero ode mnie kupować!

Nie był właściwie przemytnikiem. Po prostu agentem przemytników. Ale w myślach porównywałem go z nami, z czasów gdy ładowaliśmy albo sprzedawaliśmy kontrabandę. Zawsze byliśmy ubrani jak z igły. Głowy nosiliśmy wysoko. Nikt by nie śmiał poszczuć nas psami. Nie wsuwaliśmy się chyłkiem na niczyje podwórze. Ten człowiek robił raczej wrażenie pasera, sprzedającego kradziony towar. Przemyt i kontrabanda zaiste nisko upadły w opinii publicznej. Moja żona miała rację, gdy przed dziesięciu laty orzekła, że czas się z tego wycofać.

— Baryłeczkę? — zapytał znowu.

— Niech pan wejdzie na chwilę do domu — zaproponowałem. — Wygląda pan na zziębniętego.

Żonie przybysz nie przypadł do gustu, gdy się zorientowała, z czym przyszedł. Ale postawiła przed nim na stole talerz gorącej, dobrej zupy. Gościnność jest dla niej świętym obowiązkiem. Ktokolwiek by zawitał do nas, zawsze mu daje coś do zjedzenia. Dokuczam jej czasem i mówię, że czyni to tylko po to, by pokazać, iż gotuje najsmaczniej ze wszystkich gospodyń na południu Anglii.

Kręciła się przy kuchni. Byłbym wziął od niego tę baryłeczkę, aby biedaczysko mógł jadać porządnie przez parę dni, lecz żona odwróciła się do mnie gwałtownie i rzekła ostro:

— Nie, Ralfie. Nie wyrzucaj pieniędzy. Nie będę tego trzymać w domu!

Obcy popatrzył na mnie.

— Phu! — prychnął pogardliwie. — Spódniczka tu rządzi, co?

Żona obróciła się ku niemu gniewnie:

— Rządzą wtedy, kiedy to jest dla jego własnego dobra!

Przybysz wyskrobał talerz do ostatniej kropli. Głodny był. Tak myślałem. Otarł usta wierzchem dłoni, wstał i poszedł do drzwi bez jednego słowa, ani podziękowania, ani pożegnania. Patrzyłem za nim przez okno. Cromwell szalał, szarpiąc się na łańcuchu. Pomyślałem, że muszę dobrze zamknąć kurnik na noc.

— Jeśli mamy przestrzegać prawa, będziemy przestrzegać —

powiedziała moja żona. — Wszystko jedno, czy dlatego, że mamy takie zasady, czy też dlatego, że uczciwość popłaca!

— Dobrze, dobrze, moja droga — łagodziłem. — Będzie, jak chcesz. Nędza tego biedaka trochę mnie poruszyła, przyznaję. Bo widzisz, gdyby nie ty, to kto wie, czy ja bym dzisiaj nie chodził po świecie w jego butach?

Ojciec dopilnował, aby nadzorca urzędu celnego w Deal otrzymywał pewne sumy na zapłacenie odszkodowania. W następnym roku po naszej rozprawie sądowej pobory za cło na całym południowo-wschodnim wybrzeżu zmalowały prawie do zera. Władze postanowiły coś przedsięwziąć. Zakupiły „The Warren”. Jak łatwo odgadnąć, bandy Lambtona i innych przywódców nie czekały, by ich z tego domu eksmitowano. Zakwaterowano tam oddziały żołnierzy, sprowadzone przeciw przemytnikom.

Przemyt szedł nadal, chociaż z zachowaniem większej ostrożności. Używano nawet korytarzy na terenie posiadłości „The Warren”, by transportować kontrabandę w głąb łądu. Oficerów nie było trudniej okpić niż urzędników celnych.

Dobrze nam było na „Emmie”. Nie byliśmy ograniczeni do tej części wybrzeża ani do żadnej innej. Nawiązywaliśmy kontakty z kupcami i przemytnikami na północ od ujścia Tamizy, aż do Hull, i wzdłuż południowego wybrzeża do Weymouth i Portland Bill. Tylko nigdy nie zaglądaliśmy do Selsey. Byli to chyba jedyni przemytnicy, z którymi nie prowadziliśmy interesów.

Dolly Derriman szczęśliwie powiła zdrowe dziecko — moja matka występowała w charakterze położnej. Dobra dziewczyna była z tej Dolly, wszyscyśmy ją lubili. Prawda, że nie grzeszyła urodą, bladawa, o perkatym nosie i za dużych ustach. Ale miała miłe usposobienie. Kochała Jima z nadzwyczajnym oddaniem i dbała o niego jak kwoka o kurczę. Matka lubiła ją ogromnie. Dziecko urodziło się chyba od razu uśmiechnięte. Był to chłopiec. Widać mu się wydawało, że świat jest wielkim, żartem, ale może to i nie najgorsze podejście. Kiedyśmy byli w domu, spędzałem dużo czasu u Derrimanów, zafascynowany ich dzieckiem. Matka twierdziła, że to też oznaka, iż powinienem się ożenić. Ja sam myślałem,

że chyba coś w tym jest. Ale nigdzie w pobliżu nie widziałem dziewczyny, z którą chciałbym spędzić życie.

Ryszard nigdy nawet nie spojrzął na żadną kobietę. Dolly odnosiła się do niego jak najlepsza siostra. Nie zwracał na to uwagi i nie odwzajemniał się jej przywiązaniem. Zdawało się, że wszelkie uczucia w nim wygasły. Ledwie dostrzegał dziecko. Myślę, że widok malca przypominał mu jego własną stratę. Całe swoje serce oddał teraz „Emmie”. Robota nigdy go nie męczyła. Dla ojca był prawdziwą podporą.

Przemycaliśmy podówczas sporo jedwabii. Przeprowadzaliśmy się przez Morze Północne do Rotterdamu po jedwab, który Holendrzy przywozili do kraju ze Wschodu. W czasie pierwszej przeprawy dostaliśmy się w silny sztorm i trzeba było zawinąć do Ostendy. „Emma” dobrze się spisowała w sztormową pogodę. Jednak tak się niefortunnie zdarzyło, że Jimem rzuciło przy wysokiej fali o pokład i złamał sobie rękę. Zaokrętowaliśmy więc w Ostendzie dodatkowo dwóch marynarzy, Anglików, którzy już pływali na przemytniczych statkach. Trochę zrobiło się ciasno w hamakach, ale za to ulżyło nam w pracy, której naprawdę było za dużo dla nas czterech. Ojciec nawiązał kontakty z kupcami, które mogły być użyteczne w przyszłości.

W Rotterdamie chodziłem trochę „gapić się na mury”. Na rynku stała statua człowieka, który zwał się Erazm. Dowiedziałem się, że był kimś w rodzaju filozofa i przyczynił się do ustanowienia protestantyzmu w Anglii za panowania króla Henryka Ósmego, który miał sześć żon. Spotkałem tam w oberży pewnego jegomościa, mówiącego po angielsku. Opowiedział mi coś, co jakoś powiązało tego Erazma, który żył przed dwustu laty, ze mną i z moim zawodem.

Otóż Erazm z Rotterdamu wykladał przez jakiś czas na angielskim uniwersytecie. Lubił podobno Anglię, dopóki nie przyszło mu wyjechać. Przyjechał bez szeląga w kieszeni i odłożył sobie ładną sumkę. Ale celnik w porcie, w którym wsiadał na statek, oznajmił, że nie wolno wywozić angielskiej monety z kraju. Zabrali mu wszystkie oszczędności i wrócił do domu tak samo ubogi, jak wyjechał.

Zabawiło mnie, kiedy sobie pomyślałem, jakie ogniwa łączą mnie za pośrednictwem celników z człowiekiem, któremu wystawiono

statuę z brązu. Gdy opowiedziałem ojcu, że Erazm, tak jak my, miał powody, aby nienawidzić celników, ojciec odrzekł:

— Nie masz powodów, żeby nienawidzić celników. Gdyby nie oni i gdyby nie cła, które oni rzekomo powinni pobierać, nie po wodziłoby ci się tak dobrze. Byłbyś najemnikiem rolnym albo zwykłym marynarzem i liczyłbyś szylingi, nie setki funtów.

Ojciec zawsze miał umysł praktyczny. Oblewał zimną wodą mnie i moje wysoki wyobraźni. Tym razem miał oczywiście rację. Skąd bym wziął pieniądze na kupno mego pięknego gospodarstwa, gdybym nie był w swoim czasie poławiaczem księżycy? W naszym kraju i w naszych czasach jeśli się zaczyna na dole i nie zdoła przełamać bariery, to się na dole kończy.

Wieżliśmy jedwabie z Rotterdamu do przystani koło Southampton. Celnicy na wybrzeżach siedzieli w kieszeniach poławiaczy księżycy i kupców. Przeważnie wiedzieli, kiedy im się opłaca przymykać oczy. Ale o zmierzchu, niedaleko miejsca, gdzie mieliśmy wyładować jedwabie, napotkaliśmy kuter morskiej straży celnej. Jego szyper kazał nam się zatrzymać i oznajmił, że wchodzi na pokład, by przeszukać statek. Ojciec mu odpowiedział, że i owszem, jeśli mu nie żal straconego czasu, i dorzucił, zwracając się do mnie:

— A wszystko, czego chce, to kieska ze złotem!

Szyper wszedł na pokład z trzema uzbrojonymi ludźmi, zostawiając jeszcze jednego na kutrze. Ojciec przywitał go grzecznie i zaprosił do kajuty.

— Może byśmy doszli do porozumienia? — zaczął szyper.

— Oczywiście — odparł ojciec. — Ale najpierw wypijemy, żebyśmy mieli odpowiedni humor.

Zwrócony plecami do nieproszonego gościa, ojciec nalał dwie szklaneczki dobrego francuskiego koniaku. Wypili i gadali o tym i owym, aż głowa szypra opadła na stół. Zasnął. Ojciec dolał mu gościnnie do koniaku kilka kropli czegoś, czego nie uważał za potrzebne dolewać do własnego kieliszka.

Z trzema ludźmi na pokładzie „Emmy” nie było większych trudności. Ryszard powiedział im, że szyper wzywa ich do ładowni. Wpuściliśmy ich do małego pustego pomieszczenia pod kubrykiem i zamknęliśmy ich tam. Jim, chociaż miał rękę na temblaku, przełazi przez burtę i zeskoczył na pokład kutra. Zapadł już zmrok. Strażnik na kutrze znalazł się nieoczekiwanie nos w nos z wymię-

rzonym w niego pistoletem. Zrobił, co mu kazano — odłączył się od „Emmy” i rzucił kotwicę. Jim kazał mu czekać, dopóki nie wrócimy. Można było liczyć na to, że sam w ciemnościach nie da rady żeglować kutrem. A nawet, gdyby próbował, ucieklibyśmy, zanim zdołałby sprowadzić pomoc.

Pożeglowaliśmy na umówione miejsce. Zamknięci w ładowni strażnicy hałasowali. Uchyliłem luk o parę cali i wsunąłem lufę rusznicy, zresztą wcale nie nabitej. Uznali, że bezpieczniej będzie się uspokoić.

Wyładowaliśmy wszystko na juczne konie, podprowadzone po płytkiej wodzie aż do burty, i wróciliśmy do kutra. Pozostawiony strażnik okazał się rozsądny, a może w ogóle nie umiał żeglować. Kuter stał na miejscu.

Ojciec otworzył drzwi kajuty. Szyper spał snem sprawiedliwego. Ojciec potrząsnął nim. Bez skutku. Potrząsnął energiczniej. Szyper poruszył się, zatoczył głową. Opierając się dłońmi o stół, wstał wreszcie i zamrugał nieprzytomnie oczyma.

— Gdzie jestem? — wymruczał. Nogi się pod nim ugięły i siadł znowu.

— Wszystko w porządku — powiedział ojciec. — Musiał pan niedosypiać ostatnio. Ciężkie noce na służbie. Zasnął pan.

Szyper jeszcze niezupełnie otrzeźwiał. Powieki mu opadały. Spojrzał na ojca, na Ryszarda, na mnie. Ojciec nalał — otwarcie tym razem — dwa kieliszki koniaku. Sam wychylił jeden. Szyper machnięciem ręki strącił swój kieliszek, który rozbił się o ścianę kajuty, chwycił flaszkę i przyłożył ją do ust. Pociągnął długi łyk. Otrząsnął się i wstał znowu. Tym razem trzymał się jakoś na nogach, tylko podniósł ręce do czoła.

— Łupie mnie w głowie, jakby ją miało rozwalić — jęknął. Opuścił ręce i powiedział przez zaciśnięte zęby, prawie wypluwał słowa: — Wy sukusyny! Zaprawiliście mi tamtego kielicha!

— Głupstwa — odparł ojciec. — Dobry koniak. Gdy człowiek zmęczony, czasem go tak zmoże. Gdy wypoczęty — trunek ożywia.

— Gdzie moi ludzie? — krzyknął szyper. Skrzywił się znowu i podniósł ręce do głowy.

— Czekają na pana — odparł Ryszard.

— Pójdę do nich.

Ruszył do drzwi. Nie odstępiliśmy.

— Chwileczkę — rzek ojciec. — Mamy jeszcze do pogadania. Wyładowaliśmy nasz towar. — Położył pięć złotych gwinei na stole, popchnął je w stronę szypra, dodając: — Nowe ubranie na zimę dla żony i dzieci. Każdemu się trafi pośliznięcie. Nie będziemy tego wspominać, bo jeszcze by kto na durnia wyszedł.

Szyper chciwie chwycił złoto. I znowu rzekł:

— Sukinsyny! Liczyłem na czterokroć więcej!

Ojciec potrząsnął głową i ściągnął usta.

— Nie powinien pan zasypiać takim głębokim snem. Lepiej wziąć, co dają. Gdy ta historyjka się rozejdzie po ludziach, na całym wybrzeżu będą się z pana śmiali. Oczywiście, my będziemy trzymać język za zębami, jeśli wy będziecie.

Szyper widział, że przegrał.

— Moi ludzie mają długie języki — rzekł.

— I puste kieszenie — dokończył ojciec. — Powiedzmy, że po dwa funty na głowę?

Szyper patrzył na ojca, jakby chciał się jeszcze potargować. Ojciec ani drgnął.

— Idziemy — oznajmił szyper.

Ojciec podsunął mu butelkę. Szyper opróżnił ją do końca. Ojciec dał znak Ryszardowi i mnie, byśmy szli na pokład. Podprowadziliśmy go do przedniej ładowni.

— Niech im pan powie, żeby wyszli spokojnie — polecił ojciec szyprowi.

Nasi trzej więźniowie byli uszczęśliwieni widokiem złotych monet. Przypuszczali, że ich wysadzimy gdzieś na francuskim wybrzeżu. Gdy wsiadali na kuter, szyper rzekł po raz trzeci:

— Sukinsyny!

Ojciec się roześmiał i wskazał kciukiem na mnie:

— To mój syn. Niech pan przestanie obrażać moją matkę i moją żonę!

Szyper pogroził nam pięścią i kuter odplynął.

— Nikczemny typ — mruknął ojciec. — Ale te moje kropelki dolane do jego koniaku oszczędziły nam sporo grosza.

Co do mnie, uczyłem się, jak mogłem, metod i forteli ojca. Zdrowy rozsądek nakazywał mi pochłaniać wszelkie doświadczenia, wszelką możliwą wiedzę o słabościach celników i o taktyce przemytników w różnych stronach wybrzeży.

W Bristolu zetknęliśmy się z innym gatunkiem urzędników celnych. Przywieźliśmy do tego zachodniego portu kraju nasz następny ładunek jedwabii. Zanim tam zawinęliśmy, ojciec rozpytywał się innych kapitanów o różne użyteczne szczegóły. Wiedział więc, jak się zachować. Wpłynęliśmy śmiało, przycumowaliśmy u nabrzeża. Nadzorca wszedł na pokład i razem z ojcem znalazł się w kajucie. Ojciec zapytał go:

— Pan woli rum niż koniak, o ile wiem?

Było to swego rodzaju hasłem. Nadzorca ocenił nasz ładunek tak, że zapłaciliśmy mniej więcej dwadzieścia procent tego, co się właściwie należało, z czego rząd otrzymał dziesięć procent, a drugie dziesięć zainkasował nadzorca do własnej kieszeni. Gładko poszło. Oceniano, że rząd tracił po dwieście funtów szterlingów na każdym stutonowym statku, który zawinął do Bristolu. Następnie sprzedaliśmy jedwabie, ale już bezpośrednio kupcom. Żadni przemytnicy nie pośredniczyli, by obcinać nasz zysk.

Cały port w Bristolu, z kupcami, rajcami miejskimi i sędziami, zarabiał na kontrabandzie, głównie na tytoniu. Każdy szyper, który się nie posłużył umówionym hasłem i nie chciał się włączyć do g'ry» był narażony na pobicie w ciemnym zakątku portowej ulicy. W tej sytuacji nie można było winić celników. Musieli współdziałać, inaczej straciliby posady.

Oczywiście, nie stanowiło nowości natknięcie się na okolice, gdzie, praktycznie rzecz biorąc, cała ludność dorabiała szmuglem. Do Północnej Walii właściwie nie zaglądaliśmy, ale w oberży w Bristolu ojciec spotkał raz kapitana, który miał zamówienie na większą ilość herbaty, niż mógł zabrać jego słupek. Zaproponował, byśmy razem z nim pozełgowali do Północnej Walii. Towar wzięliśmy w Breście i pozełgowaliśmy na niespokojne wody Kanału Św. Jerzego, oddzielającego Południową Walię od Irlandii. Mieliśmy zawinąć do Conway, leżącego mniej więcej w połowie drogi w górę północnego wybrzeża Walii. Na fali wysokiego przyływu wpłynęliśmy, nie molestowani przez nikogo, do głębokiej zatoki.

Na brzegu czekał długi sznur wozów. Ludzie mówili po walijsku, językiem tak niepodobnym do angielskiego, że mogliby mówić z równym skutkiem po holendersku. Wyroili się na pokładach obu słupek i zabrali do wyładunku. Ryszard został z ojcem na pokładzie, Jim i ja zeszliśmy na ląd, by sprawdzać liczbę worków. Wy-

dawało się, że cała okolica zgromadziła się tutaj. Niektórzy mówili po angielsku. Zauważyłem krępego, silnie zbudowanego mężczyznę w średnim wieku, ubranego inaczej i bardziej dostatnio niż pozostali mieszkańcy, który dosiadał gniadej klaczy i trzymał się nieco z dala.

— Kto to taki? — spytałem. — Wygląda po pańsku!

— No chyba! To nasz miejscowy sędzia, Sir Griffith Williams — powiedział mimochodem jeden z poławiaczy księżycy, rachujący razem ze mną worki.

— Co? — wykrzyknął Jim zaniepokojony. — Sędzia? A cóż on tu robi?

— Kieruje przemycem w tych stronach — odrzekł nasz towarzysz tak obojętnie, jakby mówił, że jest ładna pogoda.

— Sędzia uprawia przemyt! — zawołałem.

— Czemu nie? Jestem Walijczykiem. Jakie macie prawo, by przekłęci Anglicy, ściągać cła od nas?

— Nie obwiniaj Jima ani mnie — powiedziałem, a Jim dorzucił:

— Znałem sędziów, którzy pomagali przemycnikom po cichu, ale nigdy nie spotkałem żadnego, który by jawnie kierował całym interesem!

— Nie znasz Walii — odrzekł nasz towarzysz.

Liczyliśmy dalej, aż znowu wypadła chwila przerwy. Zapytałem:

— Mało ludzi w tych stronach mieszka, o ile wiem? Taki ładunek kontrabandy musi być nie lada wydarzeniem.

— To niewiele wiesz — odrzekł Walijczyk. — Dostarczamy herbatę, tytoń, płótna, koniak na całe wybrzeże po angielskiej stronie, od Bangoru do Birkenhead.

W tym momencie wybuchło jakieś zamieszanie. Trzech mężczyzn, wykrzykując coś po walijsku, przywlokło czwarte go prosto do jegomościa na gniadej klaczy. Nie rozumiałem, co mu powiedzieli. Sir Griffith spojrział tylko przelotnie na przyprowadzonego człowieka. Wskazał ręką w stronę jakichś budynków położonych na wysokiej skarpie nadmorskiej, o kilkaset jardów dalej. Trzej mężczyźni odprowadzili tam czwarte go i wrócili. Dowiedziałem się wtedy, że przyłapali celnika, który z ukry-

cia za wydmami przyglądał się naszej robocie. Sir Griffith kazał go zamknąć w swoim kurniku.

— Pewno tu przylazł aż z Bangoru — objaśnił nasz towarzysz.
— Żaden celnik nie mieszka w Conway.

— Ale gdy go wypuszczą, czy nie złożą doniesienia na tego sędziego? — pytał Jim.

— A niechby! — brzmiała odpowiedź. — Trzech parów, pięciu szlachciców i poseł do parlamentu mieszkają w tych stronach. Wszyscy zaprzysięgną, że celnik kłamie, by zasłużyć na awans.

— I wszystkie te grube ryby uprawiają przemysł?

— W każdym razie wszyscy kupują kontrabandę. A ich służba i dzierżawcy dorabiają sobie szmugłem.

Z tak jawnym lekceważeniem przepisów celnych jeszcze się nie spotkałem. Kiedy opowiedziałem o tym ojcu, tylko się roześmiał.

— To zaleta naszej profesji — rzekł — że nigdy nie bywa nudna. W całym kraju każda okolica nadmorska ma różne od innych zwyczaje. Ale szmuglują wszyscy, metodami najlepiej dostosowanymi do lokalnych warunków.

Po skończonym wylądunku poławiacze z Conway zaprosili nas na poczęstunek. Gościnni ludzie. Jedzenia i trunków było w bród. Sir Griffith zajął do nas w ciągu wieczoru. Piliśmy jego zdrowie, a on sam zaśpiewał walijską piosenkę głębokim, pięknym barytonem. Nasi gospodarze powiedzieli, że to on płacił za trunki, któreśmy wszyscy wspólnie pili.

Rankiem, rozłączywszy się z tamtym słupem, pożeglowaliśmy z powrotem na południe. Umówieni byliśmy z kupcem z Cherbourga. Obiecaliśmy zabrać od niego ładunek koniaku do Newcastle, wysoko na wybrzeżu angielskim, tuż koło szkockiej granicy. Na ogół nie braliśmy nigdy koniaku. Tak się ustaliło, że przemysł trunków miał złą opinię, a ludzi, którzy się trudnili tego rodzaju przemysłem, uważano za gwałtowników. Trochę było w tym winy francuskich kupców. Mieli własne statki i płacili marynarzom trunkami. Powiadali, że dzięki temu w wypadku utarczki marynarze walczyli z większą zaciętością. Jeśli ładunek przepadł, załoga ani kapitan nic nie dostawali. Oczywiście, my byśmy nie podjęli się pracy na takich warunkach, nawet gdybyśmy się zdecydowali na wożenie koniaku. Robilibyśmy tak jak zawsze: kupowalibyśmy od francuskiego hurtownika, a sprzedawali angielskiej bandzie albo

importerowi. Jednakże pirackie obyczaje francuskich załóg wyrobiły złe imię wszystkim przemytnikom koniaku. I jeśli wydawano wyrok za szmugiel koniaku, winnych traktowano o wiele surowiej niż przemytników herbaty, tytoniu albo jedwabi. Prawie zawsze skazywano ich na deportację i ciężkie roboty.

Ten armator z Cherbourga był naszym wypróbowanym przyjacielem, a metoda dostarczania koniaku specjalna i bezpieczna. Tak, bezpieczna, pomimo tego że na północno-wschodnich wybrzeżach celnicy byli uczciwsi i bystrzejsi niż gdziekolwiek indziej. Wymyślono jednak prostą a skuteczną metodę uspienia ich czujności. Nigdy nawet nie widzieliśmy miejsca, z którego nasz ładunek brano na ład.

Między Londynem a Newcastle kursowały regularnie flotylle węglowców. Zaopatrywały stolicę w węgiel. Mając brudne ładownie, trudno im było znaleźć ładunki na powrotną drogę. Trochę czarnego pyłu nie szkodziło jednak beczułce z koniakiem.

Podczas któregoś dawniejszego rejsu do ujścia Tamizy spotkaliśmy kapitana jednego z węglowców. Podał nam z grubsza rozkład żeglugi flotylli węglowej. Powiedział również, że chętnie się zgodzi, by od czasu do czasu beczułka koniaku zarobiła dla niego parę sztuk złota. Ojciec mu wtedy odparł, że nie zanoszą się na to, ale nigdy nie wiadomo. Teraz mieliśmy sposobność go wypróbować. Ojciec posłał mu wiadomość do londyńskiej oberży, do której zawsze zaglądał.

Zatrzymaliśmy się jakieś pięćdziesiąt mil na południe od Newcastle, a przeszło pięć mil od angielskiego wybrzeża. Gdy nadciągnęły węglowce, ojciec przesygnalizował im wezwanie flagami. Jeden ze statków odłączył się od flotylli i podszedł do nas. Kumpel z londyńskiej oberży wszedł na pokład „Emmy”. Niebawem przeładowaliśmy na jego statek sto beczulek koniaku.

— Już trzy statki z naszej flotylli wzięły na pokład kontrabandę, od kiedy opuściliśmy Londyn — powiedział nam.

Ojciec zapłacił mu za transport. Kapitan postawił wszystkie żagle i pospiesznie dołączył się do flotylli. Nasze zadanie było skończone, jego — nie przedstawiało trudności. Węglowce, wpływające regularnie do ujścia rzeki Tyne po drodze do nabrzeży węglowych, płynęły nie podejrzewane i nie rewidowane. Kupiec nocą zabierał beczułki ze statku, następnie kupcowi z Cherbourga płacił za

koniak przekazem bankowym, jak zwykle w stosunkach handlowych, a kupiec z Cherbourga wypłacał ojcu nasz procent od tej sumy.

Dawno nie zaglądaliśmy do domu, nadszedł więc czas, by zawinąć do Folkestone. Dokonaliśmy ostatnio bardzo zyskownych przedsięwzięć, teraz zaś postanowiliśmy posiedzieć na gospodarce przez cały miesiąc. Matka i Dolly stęskniły się za nami. Narzekały trochę, mówiąc, że wołałyby, gdybyśmy znowu jak dawniej pracowali na łądzie. Ale wiedziały, że taki jest zwykły los żon marynarzy. Mężczyźni, którzy żeglowali do Ameryki i Zachodnich Indii, przebywali poza domem o wiele dłużej niż my.

Jim przesiadywał w domu, porządkując ogród i zajmując się dostarczeniem siostrzyczki swemu małemu synkowi. Ryszard i ja zajęliśmy się gospodarką. Matka z przyjemnością oddała robotę w nasze ręce, a sama trochę odpoczywała. Ryszard równie sumiennie zajmował się gospodarstwem jak poprzednio „Emma”. Ale ojcu to nie wystarczało. Już po tygodniu zaczął się niecierpliwić. I zaraz wyjechał w objazd różnych portów, by zawierać użyteczne znajomości z kupcami i szyprami handlowych statków. Wrócił z wiadomością, że ma dla nas nowy rodzaj zajęcia.

Tak więc jesienią, w dwudziestym siódmym roku mego życia, rozpoczęliśmy regularne rejsy, wożąc herbatę z Cherbourga przez Kanał do południowo-wschodnich wybrzeży Anglii. Cały czas wypatrywaliśmy pilnie wielkich statków Kompanii Wschodnioindyjskiej. Wozily one herbatę z Chin do Southampton. Wszyscy członkowie ich załóg, każdy oficer i marynarz, mieli określony udział w ładunku — pewną ilość herbaty, którą mogli sprzedać na własną rękę. Ten system wprowadzono po to, by przeciwdziałać zwyczajnej kradzieży herbaty z ładunków, co poprzednio praktykowano nagminnie.

Dlatego to po drodze z Cherbourga wypatrywaliśmy każdego statku Kompanii, który wpływał do Kanału. Na tych statkach również wypatrywano małych żaglowców, które by się nimi zainteresowały. Oficerowie i marynarze bardzo chętnie sprzedawali swój udział — nazywano to „przywilejem” — przemytnikom. Dostawali od razu żywą gotówkę i zaoszczędzali sobie kłopotu wędrowania z towarem, jak domokrażcy, od sklepu do sklepu, gdzie bez entu-

zjazmu brano od nich herbatę po cenach oficjalnych, po opłaceniu cła.

Wreszcie dostrześliśmy to, czegośmy tak pilnie wypatrywali. Wielki żaglowiec znajdował się w odległości pięciu mil od najbardziej na południe wysuniętego cypla wyspy Wight. Piękna fregata, około dziewięćset ton. Przesygnalizowaliśmy i otrzymaliśmy odpowiedź, że możemy wejść na pokład. Na szczęście, morze było dość spokojne.

Transakcję załatwiono szybko. Kapitan — nazwiskiem Wadell — sprzedał nam sześćdziesiąt skrzynek najlepszej chińskiej herbaty po osiemnaście funtów szterlingów za skrzynkę, zgadzając się przyjąć od nas czek wystawiony na bank przy ulicy Lombard w Londynie. Wszyscy inni oficerowie i marynarze kolejno sprzedawali nam swoje „przywileje”, w mniejszych ilościach, zależnie od rangi. Kiedy przyszło do chłopca okrętowego, miał zaledwie dwa funty herbaty do sprzedania. Następnie przelałowaliśmy wszystko na „Emmę”.

Transakcja była przeprowadzona poza zasięgiem terytorialnych wód angielskich. Żaden kuter straży celnej nie miał prawa się wtrącać. Opowiedziałem o tej metodzie nabywania herbaty po prostu z próżności, a raczej z dumy zawodowej. Byłem dumny ze swego zawodu i z większości towarzyszy, którzy podówczas ten zawód praktykowali.

Na fregacie było parę kabin pasażerskich. Podczas długiej podróży jeden z pasażerów zaprzyjaźnił się z oficerami. Jest to rzecz naturalna. Młodszym oficerom i marynarzom ojciec wypłacał należność w złotych gwineach. Następnie wręczył kapitanowi za jego „przywilej” czek na tysiąc osiemdziesiąt funtów szterlingów. Pasażer, który stał obok, zauważył:

— Czy jest pan pewny, kapitanie, że to bezpieczna rzecz, brać ten czek? Na pana miejscu wołałbym złoto.

Kapitan był wielkim, jowialnym, ogorzałym mężczyzną o oczach koloru morza. Położył ciężką rękę na ramieniu mego ojca i powiedział do pasażera:

— Niejeden interes ubiłem z ludźmi z zawodu naszego przyjaciela. Zawsze postępują uczciwie i honorowo. Gdyby było inaczej, zabiliby kure, która im znosi złote jajka!

Zapamiętałem jego słowa. Oczywiście, to tylko inna wersja po-

rzekadła, że uczciwość popłaca, nieprawdaż? Ale bądź co bądź uczciwość chyba popłaca i w innych zawodach, o wyższej randze społecznej od naszego. A nie o wszystkich można powiedzieć, jak kapitan Waddel powiedział o poławiaczach księżycy:

— Zawsze postępują uczciwie i honorowo.

Nie dotarłem jeszcze do tej części mego opowiadania, której nie chcę wspominać i opisywać. Prawdę mówiąc, odkładałem to wciąż. Przypominałem sobie wszelkie metody i fortele mego ojca, opisywałem, jak je praktykowaliśmy, bo chciałem sobie zaoszczędzić odświeżania wspomnień, które zagrzebałem jak najgłębiej. Oczywiście, to tylko z powodu mego braku doświadczenia. Prawdziwy pisarz zrobiłby co innego: poukładałby wydarzenia w takim porządku, by osiągnąć największy efekt dramatyczny. Ale on by wymyślał swoją opowieść. Ja nie. To, co bolesne w mojej historii, boli, bo zdarzyło się właśnie mnie. Prawdziwy pisarz wyobraża sobie, co się przytrafiło komu innemu — komuś, kto istnieje tylko w jego wyobraźni. A to jest opowieść o moim własnym życiu, jako przemytnika, bez dodatków, i, mam nadzieję, bez wielu opuszczeń, moim życiu takim, jakie zaczęło się pod kierunkiem mego ojca, najlepszego z ludzi. I o tym, co było później, już po... po...

Rozdział XI

Ostatnia podróż ojca

Wicher hula po wzgórzach. Uderza w dom, pobrząkuje oknami, wciska się do środka szczelinami przy drzwiach. Musiałem zostawić otwarte bramy od podwórza, inaczej by je wichura zdruzgotała. U naszych najbliższych sąsiadów porwało dziś rankiem dach ze stodoły. Myślałem, że może wiatr ustanie z zachodem słońca. Ale nie. Od wieczora dmie chyba jeszcze silniej. Rzadko miewamy takie wichury w tych stronach, pięćdziesiąt mil od morza. Oczywiście, widziałem w życiu gwałtowniejsze sztormy. I musiałem je przetrzymać, choć nie było kamiennych murów dookoła i solidnych fundamentów pod nogami, tylko drewniane burty szkunera o płytkim zanurzeniu. Tak, powinienem był przywyknąć do wichrów i sztormów. I do pewnego stopnia przywykłem. Ale naprawdę silny huragan przywodzi mi znowu na myśl tamte dni... tamte dni, o których nie będzie mi łatwo pisać. No cóż, nie ma sensu dłużej odkładać. Chciałbym, żeby można było się z tym rozprawić jednym krótkim, bolesnym szarpnięciem, jak wyrwanie zęba. Na nieszczęście, tak się nie da. Muszę zacząć od początku, opowiedzieć wszystko, co się zdarzyło w ciągu tych dwudziestu czterech godzin. Inaczej nie zrozumiecie, jak straszne to było...

Matka starała się przekonać ojca, że uzbierał już wystarczającą fortunę. Namawiała, żeby sprzedał „Emmę” Ryszardowi i Jimowi albo oddał mnie, jeśli bym chciał dalej poławiać księżyc. A ojciec powinien się teraz osiedlić na gospodarce. Już mija mu wiek męski. Miał dobre życie jako poławiacz księżycy, bez złych przygód i zbyt dotkliwych katastrof finansowych. Lepiej się wycofać, póki

ma całą skórę i szacunek przyzwoitych ludzi, rozumiejących się na jego profesji.

Zdrowy rozsądek dyktował te rady. Żadnego rzeczowego argumentu nie można im było przeciwstawić. Tylko że zdrowy rozsądek nie brał pod uwagę umiłowania morza ani namiętnej rozkoszy, jaką sprawiało ojcu przechytrzenie i wyprowadzenie w pole przeciwnika. Ogólnie biorąc, ojciec zgodził się z dobrymi radami matki, ale...

— W tę podróż muszę się jeszcze wyprawić — rzekł. — Przyrzekłem to moim zacnym przyjaciółom, kupcom w Dunkierce. Jeden z nich ma duży ładunek. Pożeglują z nami jeszcze dwa statki, większe od „Emmy”. Muszę być w Dunkierce przed czternastym następnego miesiąca. Słowa zawsze dotrzymuję. Wiecie o tym. Załatwię ten transport. I obiecuję ci, że to będzie moja ostatnia podróż...

— Przyrzekasz? — przerwała mu matka.

— I dotrzymam, tak jak muszę dotrzymać teraz obietnicy, że będę w Dunkierce.

Matka przywołała uśmiech na twarz, objęła go ramionami, przytuliła się mocno, kładąc mu głowę na piersi. Była dużo niższa od niego.

— Więc dobrze — rzekła. — Nie będę się upierała. Ale pamiętaj: twoja ostatnia podróż!

Zawinęliśmy do portu w Dunkierce na dwa dni przed umówioną datą. Największy ze statków, które miały z nami pożeglować, „Harry”, już stał w porcie i brał ładunek. Drugi — prawie dwa razy większy od „Emmy”, szczycący się romantycznym imieniem „Sokoli Lot” — wszedł do portu następnego dnia.

Kupiec dostarczył na wszystkie trzy statki zapasu kul i prochu, odpowiedniego do dział.

— A to na co? — pytał ojciec. — Czy chodzą jakieś słuchy o piratach?

— E, co tam piraci! — odrzekł kupiec. — Nie słyszał pan o kutrach straży celnej? Gotowi was zacepić. Będziecie wieźli cenny ładunek. Nie możecie pozwolić, by wam ten ładunek skonfiskowano.

— Jeszcze nigdy nie strzelałem do nikogo, z wyjątkiem piratów

— odparł stanowczo ojciec — i nie będę takiej praktyki zaczynał na pana życzenie.

— Tamci dwaj kapitanowie się zgodzili — krzyknął z irytacją kupiec. — Pan także...

— To ich sprawa — przerwał mu ojciec. — Ja postępuję według takiej zasady. Jeżeli mnie zaczepi statek piracki, a ja wystrzelę do niego i zabiję lub zranię kogoś — no, to mają, na co zasłużyli. Ale celnik, który mnie zatrzymuje, wypełnia tylko swój obowiązek. Okpię go, jeśli potrafię, zapłacę, jeśli inaczej się nie da. Ale ryzykować zabicia go albo zranienia nie będę. Jeśli panu moje warunki nie odpowiadają, każę wyładowywać towar z powrotem.

— Niech to lichy porwie! — wykrzyknął kupiec. — Przecież nie znajduję teraz innego statku. Niech pan robi, co chce, ale jeśli mój ładunek przepadnie, to nie dostanie pan ani szeląga.

Tym razem nie kupowaliśmy towaru, tylko otrzymywaliśmy procent od przewożonego ładunku.

— Nie martwię się o mój procent, a pan może być spokojny o swój towar — odparł ojciec. — Nie ma kutra straży celnej na całym wybrzeżu, który by potrafił rozwinąć taką prędkość, by dogonić „Emmę” na odległość armatniego wystrzału. Szybkość le piej chroni ładunek niż wymiana strzałów.

Mieliśmy odplłynąć tego wieczoru. Na przystani w Dunkierce siedziało kilku starych żeglarzy, prawdziwych „wilków morskich”. Śledzili horyzont, przypatrywali się falom, sprawdzali wiatr — i potrząsali głowami.

— Nie opuszczajcie przystani — ostrzegali. — Idzie sztorm. Ciężki sztorm.

Trzej kapitanowie i kupiec zaczęli się naradzać. Kapitan „Sokolego Lotu” chciał usłuchać ostrzeżeń wilków morskich. Kupiec się złościł. Dowodził, że musimy pożegłować, bo ładunek jest pilny, a banda przemytników na wybrzeżu narazi się na niebezpieczeństwo, jeśli będą musieli długo wyczekiwać.

— Czy żaden z was nigdy nie powąchał sztormu? — pytał. — Czy się boicie słonej wody? Nazywacie się ponoć żeglarzami!

Gdy ojciec mógł decydować samodzielnie, wykazywał zdrowy rozsądek. Ale nie umiał się oprzeć wyzwaniu. Dlatego czasem popełniał błąd, który mu zwykle uchodził płazem, ponieważ jego

pomysłowość i wyborna znajomość kunsztu żeglarskiego pozwalały uniknąć konsekwencji, zgubnych dla gorszego szypra.

— Ja odpłynę o zachodzie, jak było umówione — rzekł ojciec.
— Inni niech robią, co zechcą.

Szyper „Harry'ego” wykręcał się, ale wreszcie powiedział:

— Mój statek największy. Nie mogę zostać, kiedy mniejszy statek pójdzie!

— Dwóch przeciw jednemu — rzekł kupiec, kiwając ręką na trzeciego kapitana.

Szyper „Sokolego Lotu” wrzucił ramionami i rzekł:

— Jeśli mamy dwóch głupców, to ja muszę zostać trzecim. Sta wiam żagle. Ale coś wam powiem: gdybym był żonatym człowiekiem, nie pożeglowałbym.

Ojciec wziął na siebie straszliwą odpowiedzialność. Żaden z tamtych dwóch nie zlekceważyłby ostrzeżeń wilków morskich, gdyby nie on. Wywarł na nich coś w rodzaju moralnego przymusu.

Mieliśmy wylądować na wybrzeżach hrabstwa Hampshire, w pobliżu Milford-on-Sea, na wschodnim krańcu zatoki Christchurch. Wyruszyliśmy z ostrą południowo-wschodnią bryzą w żaglach. Fale szły urywane, zmienne, ale żeglowaliśmy doskonale przez cieśninę Dover. Widać było jeszcze przylądek Beachy koło Eastbourne, a dzień się kończył, kiedy żagle na „Emmie” zwisły. Zapanowała martwa cisza.

— Wiatr się zmienia — rzekł ojciec. — Refować żagle. Coś mi się tu nie podoba. Te stare wilki morskie miały jednak słuszność.

Ciszy starczyło na tyle, byśmy zdążyli zwinąć wszystkie płótna, prócz grotu. Spieszono się również na „Harry'm”, znajdującym się jakieś dwie mile na południe od nas, i na „Sokolim Locie”, oddalonym jeszcze bardziej. Żaden z trzech statków nie był przygotowany na uderzenie wichru, które runęło od północnego wschodu. Huragan gnał z rykiem, wzburzając morze. Przyłgnęliśmy do masztów. Ryszard tkwił za sterem.

— Grot precz! Na pokładzie umocować wszystko mocno! Działa! — krzyknął ojciec.

Statek kołysał się i zataczał, zanurzał i unosił na szczycie gór wodnych, by znowu ześliznąć się w dół, jak w przepaść. Ale nasze kłopoty dopiero się zaczęły.

Rzuciliśmy się wykonać rozkazy ojca. Wicher powstrzymywał

nas jak niewidzialną ręką albo też ciskał nami na burty. Jeden ojciec utrzymywał się jakoś na nogach, my wszyscy leżliśmy na czworakach. Beczulki z wodą, stojące na pokładzie, roztrzaskało od razu. Lina, zwinięta i przywiązana jednym końcem do pachotka, uniosła się w górę, rozwinęła i spadła do morza. Z Bridgemanem, jednym z naszych dwóch marynarzy, z trudem ściągnęliśmy ją z powrotem. Działa poleciały do morza, zanim mogliśmy cokolwiek z nimi zrobić.

Nie nieśliśmy teraz żadnego żagla. Statek szedł, gdzie go niosły fale. Wystarczyłby kawałek płótna, a przewróciłoby nas do góry nogami, jak żółwia na brzegu.

Trzymałem się obok ojca pod prawą burtą, przywarłszy do żelaznego pierścienia. Ojciec wrzasnął mi do ucha, że to będzie huragan, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętają. Miałem nadzieję, że stanie się coś naprawdę niezwykłego, coś, o czym by można później wnukom opowiadać. Spojrzałem na maszt. Wydawał się napięty, ale tkwił. Nic nie robi takiego wrażenia, jak złamany grotmaszt.

Huk burzy przemienił się teraz w nieustający grzmot.

— Niech dmie! — krzyknął ojciec. — Może prędzej minie.

W powietrzu dookoła nas unosiła się biała piana, zdarta przez wiatr z powierzchni morza. Fale załamywały się nad nami. „Emma” miała płytkie zanurzenie. Dygotała pod naporem fal. Woda spływała po pokładzie, statek jakby się otrząsnął i przez chwilę zdawał się być w porządku.

Po zawiętrznej nie dostrzegłem dobrze znanego widoku morza, lecz góry wodne, z których wiatr zdierał pianę i wyrzucał w powietrze. Powierzchnia wody pieniała się, stała się zupełnie biała, jak wełna owcza. To było piękne. Ogarnęło mnie uniesienie. Co za przygoda!

Nagle moje wnętrzości wywinęły jakby koziołka i zacząłem gwałtownie wymiotować. Uniesienie, podniecenie, zachwyty — znikły od razu. Ogarnęło mnie uczucie potwornej bezsilności. Nie mogliśmy nic poradzić, nie mogliśmy odeprzeć ani jednego ciosu.

Wichura jeszcze się wzmogła. Próbowałem zwrócić się twarzą do wiatru, wciąż kurczowo uczepony żelaznego pierścienia. Pęd zamykał mi oczy, rozwierał usta. Fale wysokości kamienic pędziły z niepowstrzymaną szybkością. Jak mała „Emma” mogła im

sprościć? Walily jedna o druga, wyskakiwały w górę, jak w tańcu. Uderzały w ten koreczek, którym był nasz statek, zasypywały go chmurą białej piany. Tamte dwa statki znikły nam sprzed oczu, jakby się pograżały w najgęstszej mgłę.

Ogłuszający huk. Nie pozostawało nam nic innego, tylko czekać, przywarłszy do czegoś. Każdy przemoczony był do nitki. Ojciec przybliżył usta do ucha Jima i coś mu wrzasnął. „Emma” przechyliła się, przez co odsunął się od Jima. Spróbował znowu, i znowu. Wreszcie Jim kiwnął głową. Popelznął do steru, by zastąpić Ryszarda. Zazdrościłem mu, czekałem z utęsknieniem na swoją kolej. Trzymanie steru dawało jakieś poczucie władzy. Chodziło o to, by utrzymywać dziób prosto do wiatru. To było tylko złudzenie. Pióro steru połowę czasu było nad wodą.

Przerażający ryk tak mnie ogłuszał, że zacząłem się bać. Trochę było tego za wiele jak na upragnioną przygodę. Nie widziałem już bukszprytu „Emmy”. Powietrze zamieniło się w białą, lecącą pianę. Fale bezustannie uderzały w nas. Nie wiedziałem, że „Emma” jest tak solidnie zbudowana i nie uwierzyłbym, że tyle potrafi znieść. Dobry szkutnik ją budował.

Ojciec uznał, że trzeba nas czymś zająć. Najgorszym naszym wrogiem był strach. Człowiek przywiedziony strachem do desperacji popelnia szaleństwa, jest gotów nawet skoczyć za burłę, wprost w te wyjące czeluście, żeby prędzej ze wszystkim skończyć. Lekarstwem na strach jest działanie. Ojciec wrzasnął najpierw w ucho Ryszarda, potem moje. Usłyszałem tylko oderwane wyrazy:

- ...ładownia... zobacz... towar...
- Boję się! — odwrzasnąłem.
- Ja też! — odpowiedział ojciec ze śmiechem. Pewno się nie bał, ale mnie jego słowa dobrze zrobiły.

Ryszard na czworakach przeszedł po pokładzie w stronę kubryku. Później się dowiedziałem, że szukał naszych dwóch marynarzy, Bridgema i Heale'a. Zlazłem jakoś do ładowni. Przez środek ładowni prowadził wąziutki korytarzyk. Siadłem na podłodze. „Emma” przechyliła się. Ześliznąłem się z jednego końca korytarzyka na drugi, wbijając sobie drzazgi w ciało. Uderzyłem o drzwi na drugim końcu korytarzyka. Deski na szczęście ustąpiły, bo był-

bym sobie połamał nogi. Moje stopy znalazły się w małym kam-buzie, gdzie gotowaliśmy jedzenie.

Ładunek był mocno opakowany. Wydawał się być w porządku. Postanowiłem przez dziurę, którą wybiłem w drzwiach, przeleźć do kambuza. Przyszło mi do głowy, że znajdę tu coś do zjedzenia. Huk, rzuciło mną o podłogę. Ta fala przeszła. Znowu podniosłem się na klęczki. Pociągnąłem za drzwi. Były wąskie, korytarzyk również. Trudno było otworzyć. Uchyliłem je. Zatrzasnęły się znowu. Uchyliły się... zatrzasnęły... jeszcze raz. Wreszcie przecisnąłem się między drzwiami a framugą. W mroku dostrzegłem dwie postacie. Na czworakach, skuleni, ramionami osłaniali głowy. Dwaj marynarze, których Ryszard poszedł szukać w kubryku.

Krzyknąłem. Próbowałem ciągnąć ich za ręce. Nie ruszali się, byli zupełnie sparaliżowani strachem. Może nie powinienem się przyznawać, ale cudzy strach dobrze mi zrobił. Bałem się, to prawda, ale popędzany przez ojca, jakoś się poruszałem i robiłem, co mi kazano. Wrzasnąłem do tych dwóch, że będą bezpieczniejsi na pokładzie. Nie słyszeli mnie. Nie chcieli słyszeć.

Popelznałem z powrotem korytarzykiem między ładunkiem. To zjeżdżałem do drzwi kambuza, to znowu padałem na nos. Coś spływało mi do ust — krew z nosa. Dostałem się w końcu na pokład. Muszę powiedzieć ojcu o tych dwóch, tam na dole.

Walczyłem o dojście do steru. Czarna masa na pokładzie poruszyła się przerażająco. Myślałem, że moce piekielne przyszły już po nas. Ale zobaczyłem ramię, wyłaniające się z tej ciemnej masy. Ktoś znalazł się pod ciężkim, sztywnym płótnem żaglowym, które powinno było okrywać zejście do ładowni. Nowy poryw wichury przeleciał po pokładzie „Emmy”. Rzucił mnie na burtę. Zobaczyłem, że płótno skacze do góry, jakby było czarną ścianą. Pod nim leżał Ryszard. Oczywiście, pozrywały się liny, którymi było umocowane. Ryszard, wracając z kubryku, spróbował je znowu umocować. Teraz chciał wypełznąć spod niego. Ale wichura na sekundę ucichła. Ciężkie płótno opadło. Ryszard znowu był uwięziony.

Próbowałem popelznąć mu na pomoc. Kłąłem na tych dwóch w kambuzie. Gdyby oni pomogli! Fala rozbiła się z hukiem nade mną, zalewając pokład. Nie widziałem już płótna. Byłem potłuczony i nie całkiem przytomny. Przyszło mi na myśl, że dziób „Em-

my" wygląda jakoś goło. Bukszpryt poleciał. Część mego mózgu jeszcze pracowała. Ojciec obwiązywał maszt linami, by go wzmocnić. Doczołgałem się w stronę uwięzionego Ryszarda. Wichur u-niósł odrobinę grube płótno. Pomogłem Ryszardowi wydostać się spod niego. Poszedł pomóc ojcu. Ja byłem tak wyczerpany, że przez chwilę nie mogłem się w ogóle ruszyć. Leżałem na płask, woda przelewała się nade mną.

Na chwilę wichura jakby się zmniejszyła. Ojciec i Ryszard wzmocnili maszt, ile się tylko dało. Ryszard wskazał na morze. Tuż przy „Emmie” skakały na falach jakieś deski.

— ... jeden z tamtych statków? — krzyknął.

Ojciec odpowiedział:

— Na Boga, nie! To pokrywa z luku do naszej ładowni... mu simy go zakryć!

Głos brzmiał rozkazująco. Wydało mi się, że tylko jego siła woli powstrzymuje „Emmę” od zatonięcia.

Huragan znowu objął rządy. Nie słyszeliśmy siebie nawzajem. Rozumiałem, dlaczego głos ojca brzmiał tak nagłaćco. Woda w ładowni, dostająca się przez luk, stawała się groźna. Ale dopóki byli jeszcze na statku żywi ludzie, gotowi pompować, można sobie było z tym poradzić. Natomiast ładunek jedwabiu, przesiąknięty wodą, stałby się kilkakrotnie cięższy. Mógł nas zatopić swoim ciężarem. Albo, ponieważ mieliśmy płytkie zanurzenie, jego ciężar mógł nas przewrócić w chwili silnego przechylenia statku na wielkiej fali.

Beznadziejne byłoby próbowanie zrobienia nowej pokrywy na luk. To nie ulegało wątpliwości. Ojciec ryknął coś Ryszardowi, który popełnił do steru, by zastąpić Jima. Nie można było nikogo zostawić przy sterze na dłużej — wyczerpany sternik mógł stracić panowanie nad kołem. Ojciec i ja zaczęliśmy naciągać płótno. Było sztywne, ciężkie. Pracowaliśmy na czworakach, co ograniczało naszą siłę. Zasłoniliśmy luk do połowy. Wichura wyrwała nam płótno z rąk. Drugi raz... trzeci. Legliśmy na chwilę na płask, próbując złapać oddech.

Kiwnąłem na ojca i ruszyliśmy w stronę ładowni. Woda rzeczywiście zalewała strumieniami nasze wory, chlupotała w korytarzyku pośrodku. Po jednej stronie belki i poręcze, odgradzające korytarzyk, z wolna się wyginały. Musieliśmy to zignorować. Nagle, wrzuceni siłą rozpędu, znaleźliśmy się w kambuzie, w masie spłą-

tanych rąk i nóg. Wraz z potężnym strumieniem wody wpadliśmy prosto na przykucniętych Bridgeman i Heale'a.

Chciałem koniecznie wyciągnąć tych dwóch marynarzy z kam-buza. Pomogliby nam uporać się z płótnem. Ten strumień wody, który zalał kambuz, wygnał ich stamtąd bardzo skutecznie. Chcieli uniknąć bezpośredniego niebezpieczeństwa. Wydostali się z ładowni prędzej niż ojciec i ja. Ale Bridgeman, gdy tylko wychylił nosa na pokład, rzucił się znowu na dół. Ojciec chwycił go za kołnierz — i tylko mu kawałek oddartego płótna został w ręku. Heale'a wydostaliśmy na pokład. Skomlał, że zagnaliśmy go do roboty. Jim leżał na brzuchu koło luku.

We czterech poradziłem sobie z grubym płótnem, naciągnęliśmy je na otwór, umocowaliśmy. Heale jakoś się opanował. Gdy skończyliśmy tę robotę, nowa olbrzymia fala przewaliła się przez statek. Nawet w tym ryku dosłyszeliśmy trzask pod pokładem. Wiedzieliśmy, co to znaczy. Nie było już przejścia przez ładownię. Cały ładunek zsunął się na jedną burtę. Gdyby Bridgeman i Heale zostali w kambuzie, znaleźliby się w pułapce. „Emma” żeglowała teraz silnie przechylona. Wydawało mi się, że już nie unikniemy przewrócenia. A naszą szalupę zniosło za burtę.

Przy dziobie znowu się załamałem. Ryszard przywarł do koła sterowego. Wiedziałem, że powinienem teraz iść na ster i zastąpić go. Ale nie mogłem. Jim zrozumiał mój stan. Wziął ster. Ojciec przesunął się do mnie.

— Nie mogę tego dłużej znieść — powiedziałem.

Przypuszczam, że mnie usłyszał, a w każdym razie zrozumiał, bo gdzieś w ryku sztormu doleciały mnie jego słowa:

— To już długo nie potrwa.

Co miał na myśli? Koniec sztormu czy koniec „Emmy”?

Myśli zaczęły się wikłać. Obląkańczy wir piany, wiatru i wody oszołomił mnie... chwila przytomności, byłem pewny, że umrę... jakim głupcem byłem, że poszedłem na morze... jakim głupcem był ojciec, że nie posłuchał prośb matki... zmarnować nasze życie dla paru worów jedwabiu!

Jest jakaś luka w moich wspomnieniach. Musiałem stracić przytomność. Może to było po prostu poddanie się śmiertelnemu znużeniu. Instynktownie przywarłem do żelaznego pierścienia. Kiedy

się ocknąłem, ojca nie było. Jim stał za sterem. Ryszard był obok mnie.

— Ojciec? — wrzasnąłem mu do ucha. Przeląknąłem się, że może go zmyło za burzę.

— Pompuje! — odwrzasnął Ryszard.

Myśli zmaciły mi się znowu... oderwane obrazy... statua z brązu na rynku w Rotterdamie... stado owiec na Błotach Romnejskich... ucieczka konno przed rozbójnikami... dziewczyna, której zapłaciłem za noc w niezbyt przyzwoitym domu w Folkestone... więzienie w Padstow... duch Tintagel... mój dziadek, siedzący na piasku pod łodzią w Mevagissey...

Otrzeźwiawszy na chwilę, zdałem sobie sprawę, że leżę na żelaznym pierścieniu i przygniatam własną rękę. Fala, która wydawała mi się większa od wszystkich dotychczasowych, uderzyła w nas. Okropny trzask. Maszt złamał się w połowie wysokości.

Oprzytomniałem. Na chwilę jakby się trochę uciszyło. Ryszard krzyczał:

— Dobra nasza! — Jak burza minie, będziemy mogli umocować żagiel do tego kikuta!

Pyszny chłop z tego Ryszarda. On postanowił żyć. Więc i ja postanowiłem żyć. Wydało mi się teraz, że my wszyscy postanowiliśmy żyć, że „Emma” ocaleje... Ojciec — tak, Ryszard — tak, Jim — miał żonę i dom, dokąd chciał wrócić — z pewnością tak, Heale — chyba tak, i ja — och, tak! Diabli nadali tego Bridgema, który nie wyłaził na pokład. On na pewno uznał, że zginie. To mogło być fatalne dla nas wszystkich...

Głupie myśli przychodzą do głowy w chwilach napięcia.

Ryszard znowu wrzasnął mi do ucha:

— Twoja kolejka... ster!

Zwlokłem się do Jima. Zawisłem na sterze. Teraz to się wydawało najważniejsze, jak jedna z rzeczy ostatecznych... pokrywa luku poszła, maszt przepadł... ster nie może przepaść... dopóki mieliśmy ster, mieliśmy statek... musimy ocalić „Emmę”... musimy żyć.

Ryszard i Jim odpłynęli gdzieś. Wichura szalała. Fale waliły w nas. „Emma” utrzymywała się w takiej pozycji, jak taca z zasta-

wą, postawiona na schodach. Nagle pojawił się ojciec i Heale. Ojciec poklepał mnie po ramieniu.

— Jesteś żyw... i ja... i my wszyscy... to jedno ma znaczenie...

Urywane zdania, powtarzał je po kilka razy. Czasem usłyszałem od razu, czasem za drugim razem, za trzecim, za szóstym. Dochodziły do mojej świadomości w oderwaniu. Więc i ojciec także koncentrował myśl i wolę, by utrzymać się przy życiu. Znowu usłyszałem:

— Głodny?

Potrząsnąłem głową.

— Nie, pić mi się chce.

Ojciec wydobyl z kieszeni płaską metalową flaszkę. Łyknąłem rumu. Nie gasił pragnienia, ale mnie pokrzepił.

Wicher ryknął znowu. Ojciec wziął ode mnie ster. Otwierał usta. Wreszcie dosłyszałem:

— Pompuj!

Popelznałem. Heale został z ojcem. Na każdego z nas ruch i jakiś cel tego ruchu działał zbawiennie. Zdałem sobie sprawę, że nie spisywałem się szczególnie dobrze do tej pory. Byłem o tyle w porządku, że, chociaż opanowany strachem, nie uległem panice i trzymałem się w garści. Ale chwilami traciłem poczucie rzeczywistości. Zabrałem się teraz do pompowania na zmianę z Ryszardem i Bridgemanem. I dobrze mi to zrobiło.

Niespodziewanie zdałem sobie sprawę, że coś się dzieje dziwnego, coś jest nie w porządku, coś nie tak, jak dotąd. Zapanowała cisza. Ujrzałem, że usta Ryszarda się poruszają. Ale nic nie usłyszałem. Ryszard przemówił zwyczajnym głosem. A myśmy byli wszyscy kompletnie ogłuszeni. Trzeba było nadal krzyżeć, by się wzajemnie słyszeć, jakby ciągle jeszcze trwał huragan.

Z powodu przechyłu nadal trudno było się poruszać. Ale po raz pierwszy od ośmiu godzin mogliśmy spojrzeć na cały nasz statek, od końca do końca. Czy powiedziałem: cały? Kadłub trzymał się jeszcze jakimś cudem, to prawda. I tkwił na nim żaloszny kikut masztu. Ster ocalał. Ale na całym pokładzie nie było już niczego poza tym. „Emma” była naga! I ten przechył! Wydawało się, że horyzont jest ukośny. Pomyślałem, że w każdej chwili możemy zatonać.

I jeszcze coś. Ptaki! Setki ptaków. Siadały na kikucie masztu,

na resztkach burt, wprost na pokładzie. Były nieruchome, jak ptaki wypchane. Sięgnąłem ręką, by dotknąć jednego. Spadł na pokład i leżał tak bez ruchu. Mniejsze ptaki siadały nam na głowach. Były wyczerpane, oszołomione. Znalazły miejsce, by usiąść i już nie mogły uczynić nic więcej: ani lecieć dalej, ani się ruszyć.

— Do roboty! — zawołał ojciec. — Ryszard i Ralf: zabierajcie się do postawienia żagla i sporządzenia bukszprytu. Później razem z Heale'em musicie przesunąć ładunek, żeby ten przechył zlikwidować. I zmieniajcie się z Bridgemanem przy pompie. Fale jeszcze są wysokie. Statek nabiera wody.

Gdy mówił, wielka fala wdarła się na pokład i zmyła cały statek. Zabrała wszystkie ptaki, prócz tych, które siedziały na kikucie masztu albo na naszych głowach. Aż mnie to zabolalo. Tylko, że one zginęłyby i tak. Nie mogliśmy chodzić po pokładzie, nie rozgniatając stopami tych drobnych kosteczek i nieruchomych kłębków pierza. Ojciec dorzucił:

— Jim! Coś do zjedzenia.

Jim najlepiej z nas potrafił wyczarować z niczego jakiś posiłek. Ale skąd teraz weźmie suchego drewna, by rozпалиć ogień? Ojciec został za sterem.

— Dokąd? — zapytał Ryszard, zanim odeszliśmy od wyznaczonej roboty.

— Milford, oczywiście — odparł ostro ojciec.

— Lepiej przybić do najbliższego wybrzeża — radził Jim.

Ojciec utkwiał wzrok przed siebie.

— Milford — powtórzył. — Mamy ładunek, który musimy dostarczyć. Nie zyskał wprawdzie na przemoknięciu, ale jeśli to rzeczywiście dobry jedwab, nie powinno mu zaszkodzić.

Co za człowiek! Przyrzekł. Musi dotrzymać słowa.

Nadciągnęła południowo-zachodnia bryza. Nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy. Ojciec wziął kurs na północny wschód. Jeśli nie trafimy na wybrzeże angielskie, to musimy dobić do walijskiego albo irlandzkiego. Szła teraz po morzu martwa fala.

Prawie tak wyczerpani jak te ptaki postawiliśmy jakoś żagiel. Wyrównaliśmy z grubsza ładunek. Jim miał najtrudniejsze zadanie. Wszystko było mokre. Udało mu się jednak powyciągać skądś suche drzazgi i przygotował nam gorącą zupę z ryżem. Był to

przydymiony cienkusz, ale połykaliśmy go jak wilki. Nigdy w życiu nie mi tak nie smakowało. Jedząc, rozprawialiśmy o zamiarach ojca. Heale i Bridgeman dowodzili, że powinniśmy przybić jak najprędzej do jakiegokolwiek brzegu. „Emma” może zatonać każdej chwili. Jim dodał, że żaden poławiacz księżycy nie będzie na nas czekał po takiej burzy. Ojciec nie ustąpił.

— Mamy umówione spotkanie. I będziemy tam, gdzieśmy się umówili. Jeżeli tamci zawiodą, to ich sprawa. Gdybym ja był z nimi, czekaliiby.

Wiedziałem, że ojciec popełnił błąd, wypływając z Dunkierki.

I pomyślałem, że teraz popełnia drugi błąd. Jednak poparłem go, oczywiście. Ryszard także. To była ostatnia przemytnicza wyprawa ojca. Dostarczy kontrabandę, choćby go to nie wiem ile miało kosztować.

Po gorącym posiłku ogarnęła nas wszystkich nieprzewyciężona senność. Mieliśmy kłaść się spać po dwóch, każda para na dwie godziny. Kłopot był dopiero wtedy, gdy trzeba było nas budzić. Kiedy mnie potrząsaniem przywołano do rzeczywistości, byłem jak pijany. Niebo było teraz czyste, świecił księżyc. Nadal szły wielkie, ciężkie fale. To, co pozostało z „Emmy”, pomykało naprzód zdumiewająco sprawnie. Był to najlepszy stateczek, na jakim kiedykolwiek żeglowałem.

Wreszcie dostrzeżliśmy dobrze znane zarysy wyspy Wight. Chciałbym powiedzieć, że to dzięki ojcu wzięliśmy tak trafny kurs na Milford. Ojciec jednak nie miał złudzeń.

— Tylko szczęście — powiedział. — Ale zasłużyliśmy w tej wyprawie na łaskawszy los. I będzie tak, jak chciał Jim. Przybijemy bardzo blisko miejsca, gdzie zobaczyliśmy ląd po raz pierwszy. Milford jest nie dalej jak dziesięć mil.

O świcie następnego dnia po burzy podpłynęliśmy tak blisko Milford, jak tylko mogliśmy. Sygnalizowaliśmy, ale bez odpowiedzi. Tym razem ojciec się mylił, rację miał Jim. Poławiacze księżycy nie czekali na nas.

Wróciliśmy na wyspę Wight, by wyposażyć „Emmę” w nowy bukszpryt, maszt i żagle. Szkutnik, który naprawiał nam statek, ledwie mógł uwierzyć, żeśmy wyszli cało z tego sztormu. Opowiedział, że statki rozbijały się wzdłuż całego wybrzeża. Wiele za-

tonęło w Kanale. Baliśmy się myśleć o losie „Harry'ego” i „Sokolego Lotu”. Porty i wioski rybackie na południowym wybrzeżu Anglii znacznie ucierpiały. Domy bez dachów, nawet wieże kościelne wichura pozrywała. Statki na kotwicach w przystaniach zrywały się i rozбивały o przystań.

Rybaczy dali nam sienniki i ułożyli na podłodze w swoich chatkach. Ich żony nakarmiły nas. Dobrze było kłaść się na pewnym gruncie. Spałem bez przerwy przez blisko czterdzieści osiem godzin.

„Emma” miała maszt i żagle, ale jej kadłub był już w beznadziejnym stanie. Jednakże do domu, do Folkestone, będzie mogła nas dowieźć, a teraz wszyscy już tylko tego pragnęliśmy. Chodziliśmy po statku na ołowianych nogach, z trudem się ruszając.

Żeglowaliśmy wzdłuż Solentu. Ponieważ wiał sprzyjający wiatr, szliśmy prędko, choć morze było nadal dość burzliwe. Po południu, naprzeciw Southampton Water, zauważył nas kuter straży celnej. Nie mogliśmy usłyszeć, czego chciał od nas jego szyper, ale spuściliśmy żagle.

— Przy takich falach nie będzie mógł wejść na nasz pokład — zauważył ojciec.

Szyper stał na dziobie swego kutra, krzycząc i wymachując rękoma. Doprawdy, aż strach było patrzeć. Kuter kołysał się gwałtownie i skakał po falach.

— Chyba pijany — zawyrokował ojciec.

Kuter zatoczył się. Szyper niepewną nogą szukał podparcia, przewrócił się przez burtę. Wpadł do morza. Zanurzył się, wychylił na powierzchnię, krztusząc się wyrzucał w górę ręce.

Wysokie morskie buty ojca i jego płaszcz leżały już na pokładzie. Skoczył przez burtę „Emmy”. Ja za nim. Woda w pierwszej chwili paraliżowała zimnem. Obaj byliśmy wyśmienitymi pływakami. Ojciec przede mną dotarł do tonącego człowieka. Szyper rzucał się, krzyczał, chwycił wodę w wielkie, obłąkane usta, pluł i charczał. Znikł. Wypłynął znowu. Ojciec uchwycił go. Tonący łapał go kurczowo za ręce. Ojciec uderzył go silnym ciosem w głowę. Szyper przestał się zmagać.

W miarę jak płynąłem, zimno przestało mi dokuczać. Wręcz przeciwnie, orzeźwiało mnie i dodawało więcej siły niż poprzednio

odpoczynek i jedzenie. Byłem znowu silnym, młodym mężczyzną. Ojciec zawołał:

— Dobrze, że jesteś! Jak się czujesz?

Odkrzyknąłem:

— Wspaniale!

— Możesz go zabrać?

— Oczywiście!

Chwyliłem szypra, oszołomionego uderzeniem. Teraz można było sobie z nim łatwo poradzić.

Zaniepokoiło mnie tylko, że ojciec oddawał uratowanego przez siebie człowieka.

— Jak ojciec? W porządku? — zapytałem.

— Dam sobie radę — odparł, rytmicznie uderzając ramionami w wodę. — Bierz go na jego własny kuter.

Głos ojca brzmiał słabo, jakby przyduszony. Zabrakło mu sił młodości do takich wyczynów, zwłaszcza po wyczerpujących przeżyciach tego strasznego sztormu.

— Dostaniesz się na „Emmę”? — zapytałem. Pływałem w kółko na plecach, przytrzymując szypra nad sobą, również na plecach.

— Dam sobie radę — powtórzył ojciec.

Nie byłem tego taki pewny. Znalazłem się w kłopotach. Oczywiście, ojciec powinien dać sobie radę. Doskonały pływak. Jeślibym natomiast puścił szypra, nie miałby on żadnej szansy. Kuter był teraz całkiem blisko. Pomyślałem, że mogę wydobyć tonącego na pokład i jeszcze zdążyć, by pomóc ojcu dostać się na „Emmę”. Celnicy przechylali się przez burtę kutra z linami i hakami. Ale morze było wciąż wzburzone. Bałem się, że walnę i rozbiję głowę własną albo szypra. Z wysiłkiem podźwignąłem go. Hak zaczepił o spodnie. Jego twarz znalazła się nad moją — widziałem już gdzieś tę twarz!

Przekręciłem się na brzuch. Byłem zmęczony. Uderzenia gwałtownych fal... ciężar tonącego człowieka... Ojciec był mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie go zostawiłem. To źle. Na „Emmie” starano się przybliżyć do niego. Ale znajdował się po nawietrznej. Nie mieliśmy na pokładzie szalupy. Popłynąłem, jak mogłem najszybciej, porządnie wystraszony. Płynąłem pod prąd. Ojciec chwycił powietrze. Kiedy byłem o pół tuzina rzutów ra-

mion od niego, jego ręce uniosły się do góry. Znikł pod wodą. Nurknąłem. Nie mogłem go znaleźć. Była głębia. Pływałem wkoło i wkoło, czekając, by się wynurzył. Zebrałem uciekające siły i nurkowałem znowu i znowu. Dołem prąd był jeszcze silniejszy. Musiał znieść ojca po dnie. Dzięki swojemu spokojowi, energii i sile woli wyprowadził nas i nasz statek, uszkodzony, ale pływający, z najgorszej w Kanale burzy, jaką pamiętano od stulecia. A teraz utonął, ratując celnika!

Ledwie mogłem się utrzymać. Ryszard i Jim — żaden z nich nie pływał dość dobrze — wymanewrowali wreszcie „Emmę” blisko mnie. Wołali, żebym włąził na pokład. Nie mogłem zostawić ojca. Mięśnie bolały. Z trudem chwytałem oddech...

Ciemność... Nicość...

Następnie pamiętam tylko to, że leżałem na koi w kajucie ojca. Poszedłem podobno na dno, ale gdy się wynurzyłem na chwilę, Ryszard i Jim wyłowili mnie hakami.

Twarz człowieka, którego uratowaliśmy, pływała nade mną w jakimś zielonawym świetle, jak w morzu. Poznałem ją wreszcie. To był ten szyper straży celnej, któremu ojciec dał środek nasenny w koniaku. Znowu ogarnęła mnie ciemność. Ryszard powiedział mi później, że usiadłem na koi i krzyknąłem:

— Ojciec nie może utonąć, ratując tego pijanego łajdaka!

Sądzę, że powinienem był to powiedzieć w chwili, kiedy zdecydowałem, że jestem w stanie ich obu wyratować.

Ojciec utonął, może z mojej winy... z mojej winy. Mówiłem, że nie potrafię opisać swoich uczuć. To mi za bardzo przypomina publiczne rozbieranie się do naga. Ale jednego pytania nigdy nie rozstrzygnąłem ostatecznie.

Czy powinienem był zostawić celnika, by utonął?

Do dzisiejszego dnia, gdy jestem chory lub zmęczony, to pytanie nawiedza mnie jak upiór. Co wy byście zrobili na moim miejscu?

Rozdział XII

Walczę o swoją przyszłość

Rozmyślałem o śmierci ojca, czytając jeszcze raz to, co napisałem. Próbowałem odpowiedzieć na pytanie, na które nie ma odpowiedzi. Kiedy rozmawiam o tym z moją żoną, pociesza mnie:

— Zrobiłeś, co ci się wówczas wydało słuszne. Nie masz sobie nic do zarzucenia.

Ale czy to, co zrobiłem, było w owej chwili najszluszniejsze? No cóż, zostawmy to. Nie przywrócimy go do życia.

Była jeszcze inna strona tej sprawy. Muszę o tym wspomnieć, zanim wrócę do dalszego ciągu mego opowiadania.

Ojciec zawsze przeciwstawiał się temu, by stać się sprawcą cudzej śmierci. Powiecie, że to nic nadzwyczajnego. Nie jestem tego pewny. Może dzisiaj, roku pańskiego 1791, życie ludzkie jest w większej cenie, niż było przed trzydziestu laty. Może. Ale wówczas rozbójnicy na gościńcach, piraci na morzu, nożownicy w londyńskich zaułkach, nikczemniejszy rodzaj przemytników i sami celnicy — wszyscy oni tanio szacowali życie. Także nisko cenili ludzkie życie ci, którzy posyłali żołnierzy, by, zabijając i ginąc, zajmowali nowe i wciąż nowe terytoria dla wzbogacenia garstki wybrańców. A król Dawid ze Starego Testamentu, Juliusz Cezar, normandzki Wilhelm Zdobywca, angielski Ryszard Lwie Serce, azjatycki Dżyngis Chan (właśnie czytałem o podróżach Marka Polo), wszyscy „wielcy ludzie”? Czy zaznaliby sławy, gdyby nie byli zabójcami? A dzisiaj ci, co skazują na śmierć przez powieszenie za popełnienie jednego z dwustu różnych przestępstw, włącznie z kradzieżą, najwidoczniej wyżej cenią własność od życia. Ojciec traktował ich wszystkich jednakowo i zwał „krwio pijcami”.

I tu właśnie muszę wspomnieć o tej drugiej stronie medalu, związanej z tragedią śmierci ojca. Parę dni wcześniej zależała od

niego decyzja, która w rezultacie przyniosła śmierć kilku ludziom. „Sokoli Lot”, jego kapitan i załoga, zginęli w burzy. Statek „Harry” wrócił do Brestu na wpół zdruzgotany, straciwszy trzech ludzi z załogi. Gdyby ojciec żył, śmierć tych ludzi przyniotłaby go nieznośnym ciężarem.

A on sam zginął najpiękniejszą śmiercią, jaka jest dana człowiekowi: ratując życie innego.

Nie ma potrzeby opisywać rozpaczyny mojej matki. Był równie dobrym mężem i ojcem, jak jednym z najlepszych przywódców. A co ważniejsze i co może leżało u podstaw wszystkiego — był dobrym człowiekiem. Matka nigdy nie robiła mi wyrzutów za to, że uratowałem szypra straży celnej, a pozwoliłem ojcu utonąć. I nigdy nie słyszałem, by schlebiała samej sobie, przypominając nam, jak prosiła ojca, by zaprzestał poławiania księżycy, póki ma jeszcze całą skórę.

Na pogrzeb przyjechali moi dwaj bracia i rozpoczęły się narady rodzinne. Matka zatrzymała gospodarkę. To było oczywiste. Pieniądzy, które leżały w banku, nie chciała nawet dotknąć. Nietrudno było zgadnąć czemu. Sposób, w jaki je zgromadzono, doprowadził w rezultacie do śmierci ojca. Co prawda, to samo można było powiedzieć o sumie, za którą zakupiono gospodarkę. Ale matka to jakoś przeoczyła — na szczęście.

Pieniądze, włącznie z ubezpieczeniem, które nam wypłacono za „Emmę”, zostały podzielone między trzech synów. Nasz statek nigdy już nie będzie mógł żeglować po Kanale i Morzu Północnym. Sprzedaliśmy go za czwartą część sumy, jaką ojciec za niego zapłacił, pewnemu człowiekowi, który zamierzał na tyle doprowadzić go do ład, by się nadawał do rejsów po Tamizie. Byłem zdania, że równy podział nie był sprawiedliwy. Ja swoją pracą pomagałem ojcu zebrać te pieniądze. Bracia gromadzili sobie fortunki na własną rękę i obu dobrze się powodziło. Powiedziałem, że powinienem otrzymać połowę, a oni po jednej czwartej. Ale bracia się uparli, a matka ich jeszcze poparła, mówiąc, że gospodarstwo zostawi tylko mnie. Przegłosowano mnie, ale zażądałem, żeby wobec tego matka spisała testament, zgodnie ze swoją obietnicą, bez żadnej zwłoki. Bracia zaczęli mi zarzucać, że chcę ją prę-

dziej wyprawić na tamten świat. Odpowiedziałem, że nic podobnego, że chciałbym, aby żyła do stu lat, ale ponieważ raz mnie braciszkwowie obrabowali, więc się zabezpieczam przed powtórzeniem.

Bracia już zbyt długo znajdowali się poza zasięgiem ojcowskich wpływów. Każdy z nich miał na sumieniu śmierć niejednego celnika. Nic sobie z tego nie robili. Mówili, że zamierzają porzucić praktykowanie zawodu i zostać londyńskimi „gentlemenami” — mieć własne domy na przedmieściach i powozy dla żon. Wiele zawiniły te żony właśnie. Były to siostry, córki pewnego armatora, właściciela kilku niewielkich statków. Chciało im się brylować w londyńskim towarzystwie dzięki pieniądзом swych mężów.

Kiedy ta cała kompania opuściła wreszcie Folkestone, zaczęły się inne narady. Co miałem począć bez statku? Co z Ryszardem i Jimem? Ze względu na matkę, ale bez wielkiego entuzjazmu, zaproponowałem, że skończę z przemytnictwem. Może też przyczynił się tu odstraszący przykład moich braci. Czy bez surowej i szlachetnej ręki mego ojca nie stanę się taki jak oni? Ale ku mojemu zdumieniu właśnie matka nie chciała się zgodzić na tę propozycję.

— W głębi serca nie chcesz się wyrzec przemytu — powiedziała. — I twój ojciec na pewno życzyłby sobie, żebyś wykonywał za wód przynajmniej przez parę lat jeszcze.

Przypuszczam, że miała rację. Zawsze byłem dumny z naszego zawodu. Jeśli czułem się zbity z tropu, to dlatego że uprawianie profesji łączyło się dla mnie dotąd zawsze z pracą pod kierownictwem ojca. I gdybym się teraz wycofał, mogłoby się wydawać, że zląkłem się burz i morza.

— Jeślibym kupił nowy statek — zapytałem Ryszarda Seamore'a — czy zostałbyś jego kapitanem?

Ryszard potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Wolę robić, co mi inni każą.

Rzeczywiście, był jakby urodzony do tego, by wykonywać rozkazy, a nie, by je wydawać.

— Ale znasz się na żeglowaniu lepiej ode mnie — nalegałem.

Uśmiechnął się tym powolnym, trochę smutnym uśmiechem,

charakterystycznym dla niego od czasu, kiedy utracił Zuzię i „swego” syna.

— Wszystko, co umiem, oddam na usługi syna Dawida Eddy'ego — powiedział.

Klepnąłem go po ramieniu.

— Zaczaj z siebie druh! Ale ja nie mam takiego doświadczenia w żegludze, bym mógł zostać kapitanem.

Postanowiłem zebrać bandę poławiaczy księżycy na lądzie. Jim podchwycił tę myśl:

— A ja będę przywódcą! — rzekł bez ogródek.

To mi jednak też nie odpowiadało. Nie miałem zamiaru pracować pod wodzą Jima i nie sądzę, by Ryszard przystał na to. O przemyślnictwie na lądzie wiedziałem nie mniej od nich, Boże odpuść mi zarozumiałość. Jimowi nie brakowało nigdy odwagi, przyznaję. Ale była w nim pewna skłonność do brutalności i okrucieństwa. Gdyby objął dowództwo, banda by się szybko uformowała na podobieństwo ludzi z Selsey.

— Bandę Eddy'ego poprowadzi Eddy — odparłem.

— W takim razie się rozstaniemy, Ralfie — rzekł Jim. — Mam dosyć wysługiwania się innym. W przyszłości ja będę rozkazywał.

Ryszard pokłócił się o to z Jimem i przeprowadził się do nas. Miejsca w domu nie brakło, a matka kochała Ryszarda jak jeszcze jednego syna.

Żałowałem, że dawna kompania się rozdzieliła, ale inaczej musiałbym się wyrzec zasad mojego ojca. Wspólnie z Ryszardem zabraliśmy się do werbowania własnej bandy. Nie w pobliżu Folkestone: tutejsze władze dobrze pilnowały okolicy, a żołnierze nadal stacjonowali w „The Warren”. Sam Lambton przeniósł się na północne wybrzeża hrabstwa Kent. My również postanowiliśmy tam się udać. Lambton był człowiekiem serdecznym, wielkodusznym i nie uważał nas za niepożądanych intruzów. Powiedział, że zapewne nieraz skorzysta z naszej współpracy. Heale przyłączył się do nas. Bridgemana nie chcieliśmy. Zamieszkaliśmy w wiosce Reculver, koło zatoki Herne, skąd do Folkestone było tylko dwadzieścia mil. Mieliśmy konie i mogliśmy wracać do domu za każdym razem, gdy czekał nas okres próżnowania.

W Reculver znalazłem coś, co mnie dodatkowo zainteresowało. Był tam stary fort rzymski i kościół z siódmego wieku, który podobno kazała zbudować pewna przeorysza dla uczczenia śmierci swojej siostry oraz własnego wyratowania się od utonięcia.

Zacząłem nawiązywać kontakty z szyprami i kupcami. Niebawem przekonaliśmy się, że poławianie księżycy w tych okolicach było trudne i związane z wieloma niebezpieczeństwami. Żołnierze wprawdzie tutaj nie kwaterowali, jak w Folkestone, ale jednak byli niezbyt daleko, bo w Whitstable, parę mil wzdłuż wybrzeża w kierunku Londynu. Stamtąd straż celna mogła wezwać ich na pomoc, jeśli wyweszyla większe ładowanie. Nadzorca urzędu celnego i jego ludzie nie byli mniej przekupni niż gdzie indziej, ale musieli jednak dostosowywać się do żądań władz i konfiskować od czasu do czasu kontrabandę. Z drugiej strony, wieśniacy i rybacy byli lojalnymi przyjaciółmi poławiaczy księżycy.

Lambton opłacał nadzorcę. Nasz pierwszy wyładunek przeprowadziliśmy do spółki z Lambtonem bez żadnych przeszkód. Ale tu znowu, jak niegdyś, trzeba było używać długich, białych koszul, czernić twarze, owiązywać nogi. Pełne zamaskowanie. Zwerbowałem siedmiu ludzi, przeważnie synów okolicznych gospodarzy, mieliśmy więc dziesięcioosobową bandę, nieliczną, ale zdecydowaliśmy z Ryszardem, że lepiej zadowolić się na początek małymi wyładunkami jedwabiu i herbaty z niewielkich stateczków, a za to dobierać sobie towarzyszy ostrożnie, niż zgromadzić wielu ludzi, którzy by kradli naszą kontrabandę, zbyt pochopnie brali się do pistoletu i kordelasa albo okazali się donosicielami.

Pewnego dnia przyszedł do nas Jim Derriman.

— Wiecie, przekonałem się, że macie rację — rzekł. — Nie ma sensu zaczynać w Folkestone roboty z jeszcze jedną bandą. Przyłączę się do was.

Mówił tak, jakby nie ulegało wątpliwości, że go przyjmę, a nawet powinienem być zachwycony jego propozycją. Nie znałem całej prawdy. Dopiero później dowiedziałem się od matki, że Jim nie mógł nikogo zwerbować. Nie cieszył się szczególnym mirem wśród poławiaczy księżycy. Zdałem sobie sprawę z tego, że nazwisko Eddy liczyło się na moją korzyść. Ojca wszyscy na wybrzeżach dobrze znali i wysoko cenili jako jednego z najlepszych i najuczciwszych przemysłowców.

Odrzekłem Jimowi, że mu dam odpowiedź następnego dnia. Miałem zamiar go przyjąć, ale uważałem, że muszę to najpierw spokojnie obgadać z Ryszardem.

— Jestem temu przeciwny — powiedział Ryszard. — Jim uważał się za lepszego od ciebie i nie chciał pod twoim kierownictwem chodzić na wyprawę. Teraz mu się odmieniło. Boję się jednak, że będziesz miał z nim kłopoty. Nawet za czasów twego ojca mawiał do mnie, że to on powinien być przywódcą. Ale twój ojciec umiał sobie z nim poradzić. Nie wiem, czy ty potrafisz.

— Pod pewnym względem mam w stosunku do niego zobowiązania — odparłem. — Służył nam dobrze za czasów ojca. Nie brak mu zapału i pomysłów. Jest wśród nas sporo nowych towarzyszy. Dobrze by było mieć jeszcze kogoś ze starej, wypróbowanej i doświadczonej bandy.

Wiecie, jak to jest, kiedy się prosi o radę. Właściwie już postanowiliście sami, ale nie jesteście całkiem pewni sw⁷ojej racji. Więc naprawdę, pytając o radę, chcecie się tylko podzielić z kimś ciężarem odpowiedzialności za własną decyzję.

— Ty jesteś przywódcą — odrzekł Ryszard. — Chodziłem z ojcem, będąc chodząc z tobą. Kiedy mnie pytasz, to mówię, co myślę. Wcale nie sądzę, że moja rada najlepsza. Właśnie dlatego, że mi brak pewności siebie, nigdy bym nie był dobrym przywódcą. Ty zadecydujesz. Ja przy tobie zostanę i będę cię popierał nawet w sprawach, w których się z tobą nie zgadzam.

Dobry przyjaciel. Ale ja się uparłem. Byłem jeszcze stosunkowo młody, chciałem utrwalić własną pozycję, nabrać pewności siebie, podejmując samodzielne decyzje. Przyjąłem Jima. Niebawem przyprowadził on kogoś, kogo nazywał swoim przyjacielem. Później się okazało, że to był po prostu jedyny rekrut, jakiego zwerbował, gdy chciał zebrać własną bandę. Jim namawiał mnie, żebym przyjął również tego człowieka. Zwał się Robert Grindley.

Nie podobał mi się ten nowy. Był niski, chudy i jakby koślawy. Miał małe usta, ostry nos i rozbiegane oczy. Były to oczy złodziejaska.

— Nie chcę go — powiedziałem.

— Więc i mnie nie będziesz miał — odparł Jim. Jakby był mi niezbędnie potrzebny.

Bardziej doświadczony przywódca kazałby mu iść do diabła, ale mnie się wciąż jeszcze wydawało, że Jim będzie użytecznym nabytkiem. A Grindley wydawał się taki mało znaczący — nie mógł nic przecież zaszkodzić. Zgodziłem się przyjąć obu.

Tej nocy przyjmowaliśmy po raz pierwszy kontrabandę zupełnie samodzielnie. Nie opłaciłem nadzorczy. Chciałem wypraktykować zasadę ojca: „Oszukuj ich, jeśli potrafisz, opłacaj, jeśli inaczej się nie da”. Banda Lambtona, trzykrotnie od nas liczniejsza, tej samej nocy przyjmowała wielki ładunek w pobliżu zatoki Herne. Na nasz wyładunek wybrałem miejsce oddalone od nich mniej więcej cztery mile. Liczyłem, że jeżeli przypadkiem celnicy znajdą się gdzieś w pobliżu, może nawet z żołnierzami z Whitstable, to z pewnością zajmą się poważniejszym łupem. Lambton śmiał się, gdy mu powiedziałem, że chcę się nim posłużyć do odwrócenia uwagi od siebie.

— Wal na całego, Ralfie! — rzekł wesoło. — My już potrafimy o własne skóry zadbać. Ale żadnych kłopotów nie będzie. Nadzorca i ja trzymamy sztamę, o, tak... — i szepił dwa wskazujące palce obu rąk.

Do miejsca lądowania prowadziła w dół wąska dróżka o nawierzchni suchej i twardej, ponieważ był ostatnio dłuższy okres bez deszczów. Po jednej stronie rósł dość gęsty las. Tam ukrywaliśmy nasze konie z jukami aż do chwili, kiedy dostrzegliśmy światło sygnałowe małego słupa — mniejszego od „Emmy” — który wiozł dla nas ładunek herbaty. Noc była ciemna, bezksiężycowa, ale niebo czyste. Było to pierwsze moje przedsięwzięcie jako przywódcy bez współdziałania i opieki Lambtona. Niepokoilem się, czy wszystko dobrze pójdzie. Seamore mówił do mnie cicho:

— Spokojnie, spokojnie. Pamiętaj, co twój ojciec zwykł ma wiać: podniecenie szerzy się prędzej od góry niż od dołu!

Mały słup podszedł blisko. Brzeg nachylał się łagodnie ku morzu, co sprawdziłem dokładnie, wybierając miejsce do lądowania. Wprowadziliśmy konie do wody. Wyładunek odbył się szybko. Paru naszych ludzi rozmawiało głośno. Jim uważał za stosowne skarcić ich.

— Pouczanie innych zostaw mnie i Ryszardowi — powiedziałem do niego. — Ja jestem przywódcą, a on moim zastępcą.

— Chciałem, żeby to raz na zawsze ustalić. Jim zachichotał.

— A ja to niby co? Psi ogon?

Odwrociłem się od niego, a odchodząc, dosłyszałem, że Grindley coś mu naszeptuje do ucha. Spojrzałem przez ramię. Obaj śmieli się w kulak. Zirykowało mnie to i wytrąciło z równowagi.

Rozliczyłem się z kapitanem słupu. Wybrał kotwicę. W tej samej chwili rozległ się donośny wystrzał. Jeden z naszych koni jucznych padł, kwicząc przeraźliwie. Spiesznie odwróciłem się ku morzu. Mogłem dostrzec, choć niewyraźnie, zarysy statku, który był z całą pewnością kutrem straży celnej. Jego szyper musiał śledzić słup i teraz się pewno spodziewał, że nas przyłapie na gorącym uczynku. Słup wymknął się pospiesznie ku wschodowi. Kuter nie mógł go doścignąć, a nawet gdyby mu się to udało, ładownie słupu były już puste. Przechwytyjąc nas na wybrzeżu z kontrabandą, strażnicy mogli się spodziewać korzystnego dla siebie wyroku, zwłaszcza jeśliby sąd okazał się nieprzychylny dla poławiaczy księżycy. Myśli te błyskawicą przemknęły mi przez głowę.

Drugi wystrzał, druga kula armatnia. Ta na szczęście żadnej szkody nie uczyniła.

— Szybko, wyprowadźcie konie drogą! — zawołałem. — Musi my jak najszybciej przedostać się w głąb lądu.

Rozkaz był idiotyczny, to jasne. Byłem jeszcze podenerwowany szyderstwami Jima. Nie zorientowałem się w sytuacji. Osądziłem, że wystrzały armatnie miały zabijać, siać zniszczenie i zamęt. A to, oczywiście, nie było ich głównym celem. Ryszard o tym wiedział i szepnął mi prędko do ucha, ale Jim już krzyknął głośno tonem rozkazu:

— Nie drogą! Do lasu! — I sam poprowadził. Grindley tuż za nim.

Banda pojęła trafność jego rozkazu. Usłuchali jego, nie mnie. Konie, z kopytami owiązanymi szmatami, prędko skryły się w lesie. Zamykałem pochód, klnąc siebie w duchu i wściekły na Jima. Mógł tak, jak Ryszard, powiedzieć mnie, żebym zmienił rozkaz. Ale to się miało z jego celem. Jim dostrzegł sposobność objęcia władzy w bandzie i nie pominął jej.

Ledwie znalazłem się między drzewami, gdy cała kawalkada jeźdźców pogalopowała drogą w dół. Było ich ponad dwudziestu, przeważnie żołnierzy. Słyszeliśmy jeszcze głosy celników i żołnierzy, krzyczących i przeklinających na wybrzeżu. Wymknął im się łup. Znaleźli tylko jeden ładunek herbaty, ten, który był na postrzelonym koniu. Rozległ się pojedynczy strzał z pistoletu. Jakiś miłosierny żołnierz położył kres cierpieniom biednego zwierzęcia. Wszystko to dało nam czas, by się oddalić w bezpieczną głębię lasu.

Mało było prawdopodobne, aby żołnierze zapuścili się po ciemku w las. Za każdym drzewem mógł się ukrywać człowiek z bronią. Przeszedłem wzdłuż kawalkady.

— Czy nikogo z naszych nie brakuje? — zapytałem.

Nikt mi nie odpowiedział. Co za upokorzenie! I nie wiem, czy bardziej złościłem się na siebie, czy na Jima.

Kiedy doszedłem do niego i do Grindleya, Jim powiedział:

— Zatrzymamy się po przejściu lasu, na skraju. Niech żołnierze sobie pójda.

— Powinieneś mi to zaproponować — odrzekłem — a nie rozkazywać!

— Jeśli nie umiesz dowodzić z sensem — rzekł pogardliwie — to lepiej zostaw mnie tę robotę. Gdyby ludzie posłuchali twojego głupiego rozkazu tam na brzegu, to byśmy już wszyscy mieli powiązane z tyłu ręce!

Miał słusność, ale to mnie wcale nie usposobiło do niego przychylniej. Jesteśmy tylko ludźmi, nieprawdaż?

— Wszystko jedno, nie miałeś prawa sprzeciwiać się mojemu rozkazowi — odparłem. — Powinieneś być mnie powiedzieć, że lepiej będzie, jeśli pójdziemy w las. Wcale nie przeczę, że to było słuszne i byłbym ten rozkaz wydał. Ty celowo wykorzystasteś sposobność, żeby podważyć mój autorytet!

— Jestem lepszym dowódcą od ciebie — rąbnął Jim bez żadnych ceremonii. — Zapytaj, którego chcesz z bandy, co o tym myślą. Jeden Ryszard może stanąć za tobą, bo jest mazgajem. Ale nikt więcej.

- Grindley podsunął się do mnie z tyłu.

— Głosuję za Jimem — powiedział.

Musieli w ciągu marszu do wybrzeża przygotowywać grunt, wychwalając Jima, a pomniejszając mnie.

Dotarliśmy do skraju lasu. Nie zwracając na mnie żadnej uwagi, Jim rozkazał:

— Zatrzymamy się tutaj.

Od tej chwili byłem już pewny, że Jim, przyłączając się do mojej bandy, od początku zamierzał wyrzucić mnie z siodła. A ja, głupiec, dałem mu do ręki sposobność w czasie naszej pierwszej wyprawy!

Nie była to chwila ani miejsce, w tych ciemnościach, aby się z nim rozprawić. Ale nie zamierzałem mu tego puścić płazem. Popelnilem błąd i to poważny. Mógł mieć jak najgorsze następstwa. Nie sprawiałem się tak dobrze, jak miałem nadzieję. Ryszard i Jim, obaj szybciej i słuszniej ocenili sytuację ode mnie. Jeden zachował się lojalnie, drugi wykorzystał sposobność, by podważyć, i to skutecznie, mój autorytet. Nie takiego postępowania spodziewałem się po kimś, kto się zwał moim przyjacielem. Ale mogłem się uczyć na własnych błędach. Zamierzałem prowadzić bandę albo w ogóle się wycofać z przemytu. Byłem synem mego ojca — upartym i zawsze przyjmującym wyzwanie.

Odpoczywając, jedliśmy przyniesioną ze sobą żywność. Kiedy uznałem, że już dość czasu upłynęło, wstałem i powiedziałem:

— Idziemy dalej. Musimy być przed świtem u kupca koło Canterbury.

Tylko Ryszard i Heale wstali. Tamci wszyscy zwrócili głowy ku Jimowi. My we trzech nie mogliśmy iść sami. Zapłaciłem kapitanowi slupu za herbatę. Musiałem ją odstawić i dostać za nią z kolei zapłatę. Stałem, czując się jak dureń. To nie wpłynęło korzystnie na moje uczucia wobec Jima.

W dziesięć minut później Jim wstał, ujął za uzdę jucznego konia i poprowadził kawalkadę pełną drogą w kierunku Canterbury. Ryszard i ja znowu zamykaliśmy pochód. Heale trzymał się z nami. Rad byłem z ich kompanii. Nie wiadomo, na co mógł się ważyć Jim w tej sytuacji. Mogła mu krew zapachnieć.

W czasie marszu regułą było zupełne milczenie. Doświadczenie dowodziło, że ludzie, którym wolno rozmawiać po cichu, stopniowo podnoszą głos, a wówczas już trudno ich uciszyć. Ryszard przełamał tę zasadę. Przycisnął moje ramię i szepnął:

— Nie ustępuj. Ja bym nigdy nie chodził pod jego wodzą.

Jego słowa utwierdziły mnie w powziętym zamiarze. Wiedziałem, że muszę dowieść swojej wyższości nad Jimem, muszę wykazać się wobec bandy jako lepszy od niego i to w sposób, który byłby decydujący. Był tylko jeden taki sposób. Nie będę się uchylał. Poczekam — może tylko parę godzin.

Przed domem kupca wyszedłem naprzód. Jim musiał ustąpić. Człowiek, który kupował herbatę, znał mnie osobiście — z twarzą białą czy uczernioną, poznałby mnie zawsze. Nawiązałem z nim kontakt, współpracując z Lambtonem, a Jima nigdy nie widział. Wyładowaliśmy kontrabandę, wziąłem pieniądze. Trzydzieści ton herbaty po siedem szylingów za funt. Kapitan holenderskiego slupu dostał za tę herbatę czterysta funtów, a kosztowała go nie więcej jak sto. Myśmy wzięli za ten ładunek siedemset funtów. Detaliczni nabywcy będą płacili po dziesięć szylingów za funt, czyli że kupiec otrzyma tysiąc sto dwadzieścia funtów. Była to herbata w dobrym gatunku. Holendrzy mogli kupić tańszą, pięćdziesiąt funtów za trzydzieści ton, a ewentualnie angielskiemu konsumentowi sprzedawać po pięć szylingów za funt.

Znaleźliśmy dla siebie i dla koni dobre ukrycie na przeciąg dnia. Malownicze to było miejsce, tuż nad stawem, gdzie pojono owce, a gdzie teraz mogliśmy napić nasze konie. Umyliśmy uczernione twarze, pozdejmowaliśmy wierzchnie okrycia, rozwiązaliśmy szmaty na butach. Znowu podjedliśmy. Heale usiadł obok Ryszarda i mnie. Reszta zgromadziła się wokół Jima i naradzała się pół-szeptem. Wreszcie Jim wstał, podeszedł i stanął przede mną.

— Gdyby nie ja, to byśmy stracili te pieniądze — powiedział. — Ja chcę je rozdzielić i wziąć sobie część należną przywódcy.

Wziąwszy pod uwagę fakty, może i miał pewne podstawy do takiej propozycji. Ale gdybym się zgodził, utraciłbym raz na zawsze możliwość dowodzenia bandą. A teraz właśnie dostrzegłem sposobność odzyskania autorytetu.

— Ja zwerbowałem tę bandę — powiedziałem. — Ty się zgodziłeś służyć pod moim przywództwem. Ja zorganizowałem wyładunek. Ja zapłaciłem za herbatę. I zmieniałbym ten rozkaz na brzegu, gdybyś ty się tak nie spieszył, żeby pode mną dołki kopać. To jest nadal moja banda, czy ci się to podoba czy nie. I ja dokonam po dzieła, kiedy wrócimy do Reculver.

Jim zaczął krzyczeć i wymachiwać rękoma.

— Jeszcze zobaczymy! — Odwrócił się do bandy. — Słyszeliście, co powiedział Eddy. No, i co wy na to?

Odpowiedź była z góry przesądzona. Tylko Ryszard i Heale opowiedzieli się za mną. Nawet się nie spodziewałem po Heale'u takiej lojalności, ale on rzekł:

— Ty i twój ojciec — Panie świeć nad jego duszą — uratowaliście mnie od ostatecznego stchórzenia, a pewno i od śmierci, wyciągając z kambuza wtedy na „Emmie”. Stoję przy tobie.

Przyzwóicie z jego strony. Ale położenie nadal było niewesołe. Dziewięciu na nas trzech! Podniosłem głos i powiedziałem do wszystkich:

— Możecie mnie po skończonej wyprawie opuścić. Nic was nie zatrzymuje. Ale do końca wyprawy pozostaję przywódcą. Ja przeprowadzę podział i ja zabiorę przypadającą zwykle przywódcy część — jedną czwartą.

— Piękne słówka! — szydził Jim. — Ale gadaniem daleko nie zajedziesz. Lepiej oddaj te pieniądze, bo ci je sami zabierzemy. Możesz wspaniale werbować ludzi, ale prowadzić ich nie potrafisz. Ludzie chcą iść za mną.

Więc taki był Jim, prawdziwy Jim. Napomknięcia Ryszarda były nie bez kozery. Tylko silna ręka mego ojca trzymała do tej pory Jima w ryzach. Przypomniałem sobie podejrzenia, jakie miałem, gdy Jim został na gościńcu z rozbójnikami.

Wszyscy wstali z miejsc. Przybliżali się z wolna, okrążając nas.

Był tylko jeden sposób. Nie zawaham się. Pieniądze miałem przy sobie w trzech sakiewkach. Szybko podałem po jednej Ryszardowi i Heale'emu.

— Cofnijcie się! — zawołałem. — Albo wrzucimy pieniądze do stawu.

Nie wiedziałem, jak głęboki był staw, ale oni też nie wiedzieli. Owcze stawy bywały bardzo głębokie, a woda nie należała do takich, w których człowiek chciałby nurkować. Ludzie zawahali się, cofnęli. Jim krzyknął:

— Na nich!

Podniosłem rękę.

— Poczekajcie. Coś wam zaproponuję. Znowu się wstrzymali, spoglądając na Jima.

— Nie dajcie mu gadać! — krzyczał Jim.

Niespodziewanie odezwał się Heale:

— Wysłuchajmy go. On się jednak nazywa Eddy, nie zapominajcie o tym!

— Coś wam zaproponuję — powtórzyłem szybko. — A cokolwiek się stanie, wy wasze pieniądze otrzymacie — pod warunkiem oczywiście, że Jim jest uczciwym człowiekiem.

Ta przymówka mi się udała. Jeśliby pieniądze poszły na dno stawu, mogły zaistnieć trudności z ich wydobyciem. Jeśli weźmie je Jim, też nie wiadomo na pewno, jak to będzie. Ostatecznie, nie znali go właściwie. A ja byłem Eddy'm. Ciągnąłem dalej:

— W dawniejszych czasach ludzie rozstrzygali kłótnie takie, jak ta, walką pojedynczą. Ci dwaj, co się kłócili, walczyli ze sobą. Wyzywam cię na rękę, Jim, i będę bił się z tobą uczciwie. Jeżeli mnie zmusisz, bym zawołał „dosyć!” — ty będziesz rozdzielał pieniądze i prowadził później bandę — o ile zechcą pójść za tobą.

Widziałem głowy potakujące na zgodę. Ale nikt się nie odezwał. Wszyscy patrzyli na Jima. Wiedziałem już, że Jim musi przyjąć moje wyzwanie albo się wynosić. Nie zachowałby autorytetu w bandzie, gdyby mi odmówił. Co do mnie, wygrywając walkę, utrwaliłbym swoją pozycję. Ludzie idą za przywódcą, który umie się bić. Może to nawet niezbyt rozsądne, ale taka jest ludzka natura. Gdybym pobił Jima, baliby się mnie i słuchali. A wtedy ode mnie tylko by zależało zdobycie ich szacunku — oczywiście przy nie-popelnianiu więcej idiotycznych błędów.

Jim wahał się przez chwilę. Chyba nie dlatego, że się mnie bał, ale rozważał sytuację. Grindley szturchnął go łokciem.

— Idź, Jim! — burknął. — Zatlucz tego sukinsyna. Jim zaczął ściągać kaftan.

— Dobra — rzekłem. — Walka zapaśnicza czy na pięści, Jim?

— „Łap, jak się da!” — odparł.

— Jak chcesz — zgodziłem się. — Tylko bez noży.

„Łap, jak się da” znaczyło, że w takiej walce wszystko było dozwolone: gryzienie, kopanie, drapanie. Przywodziło to na myśl bijące się ze sobą dwie ladacznice. Tym wyborem walki Jim ostatecznie się zdemaskował. W zapasach albo walce na pięści nie wyrządzało się zwykle nikomu poważniejszej krzywdy. Ale w „łap,

jak się da" dobrze wymierzonym kopniakiem można było okaleczyć przeciwnika na całe życie, a wciśnięciem kciuków w oczy — oślepić. I w takiej walce Jim miał większe szanse. Wiedział, że w Kornwalii cieszyłem się reputacją dobrego zapaśnika, a i w walkach na pięści też nieraz wychodziłem zwycięsko. Jim był cięższy i bardziej barczysty ode mnie, zapewne też silniejszy, jeśli chodziło o siłę mięśni. Ja byłem o kilka lat młodszy i w lepszej kondycji, choćby dlatego, że piłem mniej i nie używałem tytoniu.

Utworzono koło. Podałem mieszek z pieniędzmi Ryszardowi. Dwaj inni kompani z bandy podeszli bliżej, pewno, żeby go przypilnować w razie próby ucieczki. Mogli sobie zaoszczędzić tego kłopotu. Dla Ryszarda ja, jako syn mego ojca, więcej znaczyłem od wszystkich worów ze złotem z całej ulicy Lombard. Nie opuściłby mnie. Oddałem swój nóż Heale'emu i zaczekałem, aż Jim odda swój.

Zaczęliśmy walkę. Nie pamiętam dobrze jej szczegółów, tylko krytyczne momenty. Trudno obiektywnie oceniać siebie samego w takiej chwili. Ryszard więcej by o naszej walce mógł powiedzieć.

Postanowiłem trzymać się od Jima możliwie z dala. Gdyby doszło do zwarcia na początku walki, mógłby mnie szybko pokonać swoim ciężarem i większą siłą mięśni. A w obecnym usposobieniu nie cofnąłby się przed okaleczeniem mnie, może nawet zabiciem. Natomiast zmuszając go do powtarzania ataków, mogę go zmęczyć.

Na początku kilkakrotnie unikałem jego ataków. Upadł. Nie skoczyłem na leżącego. Był za silny na mnie, bym się poważył na zapasy bez żadnych prawideł gry. Parokrotnie powstrzymałem go lewym sierpowym. Jim coraz bardziej się złościł, atakował z coraz większą pasją. Zrozumiał, że walka nie będzie taka łatwa, jak się spodziewał. Dwukrotnie mnie obalił, raz wymierzył mi ostrego kopniaka, ale się poturlałem dalej w ostatniej chwili. Wreszcie złapał mnie w uścisk i wepchnął mi kciuk w oko. Wywinąłem się. Jednakże po chwili zorientowałem się, że nie widzę na to oko. Jemu nos zaczął krwawić od moich celnych ciosów.

Po jakichś piętnastu minutach walki jego ataki osłabły. Łatwiej mi już było unikać ich i zadawać mu ciosy. Ale musiałem stale

zwracać ku niemu swoje zdrowe oko. Dyszał ciężko. Ja czułem się świeży i silny. Mogłem jeszcze wyczekać i po prostu zadawać ciosy, aż Jim będzie miał dosyć. Ogarnęło mnie przyjemne podniecenie. Myślę, że to okazałem. Gdy mijałem Ryszarda, ten ostrzegł mnie:

— Uważaj na niego! Uważaj!

Jim szedł na mnie. Uskoczyłem w bok, znalazłem się blisko Grindleya. Jim zaatakował. W jego oczach była furia desperata. Zrozumiałem, że jeśli mnie teraz dosięgnie, zabije bez pardonu. Gdy Jim był już blisko, wałnąłem pięścią. Nagle ktoś podciął mi nogi. Mój cios ugodził powietrze. W bandzie rozległ się okrzyk gniewu. To Grindley wetknął swoje trzy grosze do walki. Padłem na wznak. Jim skoczył do góry, by z większym ciężarem wylądować na mnie. I wydał wrzask triumfu.

Teraz miał mnie. Po raz pierwszy w tej walce ogarnął mnie strach. Przemknęło mi to przez głowę w tym ułamku sekundy, kiedy Jim skoczył do góry. Spróbowałem się obrócić. Jim padł częściowo na mnie, częściowo na ziemię. Ale przydusił mnie. Próbowałem go objąć udami. W jakiś sposób dotarło do mojej świadomości, że na skraju koła coś się kotłuje. Jim był za wielki. Nie mogłem objąć go udami. Trzymał mnie za uszy. Walił moją głowę w twardą ziemię.

— Ty sukinsynu! — dyszał. — Zawsze miał przewrócone w głowie... Teraz cię mam... i wykończę... banda moja... pieniądze moje...

Za parę sekund stracę przytomność. Było tylko jedno wyjście. „Łap, jak się da"! Jim sam wybrał ten rodzaj walki. Jedna z moich nóg była swobodna. Zebrałem całą siłę i wałnąłem kolanem w jego podbrzusze. Jim zadygotał, odbiło mu się, ale trzymał się wciąż moich uszu. Tylko jego uścisk zelżał. Wyrwałem się, potoczyłem na bok, już byłem na nogach. Jim wstał i zgiął się wpół. Znałem ten podstęp. Chciał, bym myślał, że jest już wykończony. Jedną ręką trzymał się za podbrzusze. Ale ja miałem się na baczności. Usłyszałem krzyk Grindleya:

— Litości! Zabijecie mnie!

Nawet poplecznicy Jima mieli na tyle poczucia uczciwej walki, by nie pozwolić Grindleyowi uniknąć kary za jego podły podstęp.

Jim nie był wykończony, ale twarz mu zbielała, sapał ciężko, ję-

zyk wywiesił, wybałuszył oczy. Wszelki ogień do walki już z niego wyparował. Moje uszkodzone oko przejaśniało. Mogłem go lepiej widzieć. Zadałem mu cios w same usta. Wypluł zęby. Miałem przeciętą skórę na kościach palców. Cofnąłem się. Nawet w jego obecnej kondycji wolałem nie wdawać się z nim w zapasy na ziemi. Miałem dość jednej próbki. Podniósł się, potrząsając głową. Zebrał wszystkie swoje siły do ostatecznego, decydującego ataku. Nachyliłem się, przerzuciłem go sobie przez plecy. Padł całym ciężarem na głowę.

W kole panowała teraz cisza. Jim leżał bez ruchu. Potem powoli zaczął się znowu zwlekać na nogi. Nie chciał się poddać. Zacięty był. Będę musiał go pobić do nieprzytomności. Szedł do mnie potykając się. Prawie nie mógł ustać na nogach. Musiał mnie widzieć chyba jak przez mgłę. Nagle poczułem, że jestem zmęczony, śmiertelnie zmęczony. Muszę z nim skończyć zaraz, natychmiast, inaczej ja sam się zwalę z nóg.

Zwarłem się w sobie, zmusiłem się do ostatniego wysiłku. Odrzuciłem wszelkie względy. Skoczyłem, by nadać ciosowi większą siłę rozmachu. Wymierzyłem w splot słoneczny. Jim nie osłonił się już wcale. Ten cios, po uderzeniu w podbrzusze, wykończył go. Zakręcił się i z przeciągłym jękiem upadł na twarz. Nie ruszał się więcej.

Paru towarzyszy weszło w krąg, w obrębie którego walczyliśmy. Grindley szedł za nimi, kulejąc, ręką osłaniając prawe oko.

— Zostawcie Jima — powiedziałem, dysząc. — Jak oprzytomnieje, musi powiedzieć, że ma dość. Dopóki nie powie, walka się nie skończyła.

Ludzie popatrzyli na mnie jak na psa, który obnażył kły i warczy. Cofnęli się posłusznie. Dobrze mi to zrobiło.

Z trudem utrzymywałem się na nogach, czekając. Chwytałem oddech pełnymi haustami. Miałem tyle siły co niemowlę. W głowie mi szumiało. Ramiona zwisały bezwładnie. Ogarnęły mnie mdłości, chciało mi się wymiotować. Ale jakoś zdołałem ustać, chociaż się chyba chwiałem.

Wreszcie Jim się poruszył. Przewrócił się na plecy. Wyglądał okropnie, twarz spuchnięta i umazana krwią, wargi nabrzmiałe. Gestem ręki przywołałem Ryszarda i jednego z tych, co stali najbliżej. Jim otworzył oczy.

— Czy chcesz dalej walczyć? — zapytałem. Czy zdołałbym podnieść rękę do ciosu, gdyby Jim powiedział „tak”, sam nie wiem.

Z jego przekrwionych, szklistych oczu wyzierała nienawiść.

— Nie dzisiaj — wyseplenił przez zapuchnięte, bezzębne wargi-

— Masz dość? — zapytałem.

Milczał przez chwilę.

— Mogę ci dać jeszcze jedną porcję tego samego — powiedziałem chępliwie, starając się mówić pewnym, mocnym głosem.

— Dość... — powiedział i przewrócił się znowu na twarz.

Szedłem, potykając się, do stawu. Ryszard i Heale podtrzymywali mnie, pomogli ściągnąć koszulę. Woda była brudna, ale przez chwilę widziałem w niej odbicie swojej twarzy. Niewiele lepiej wyglądałem od Jima. Tyle tylko, że nie straciłem zębów.

Ale to nie miało znaczenia, jak wyglądałem. I nawet nie miało znaczenia to, że pokonałem Jima w uczciwej walce, o ile „łap, jak się da” może być uczciwą walką. Tylko to się liczyło, że teraz w oczach bandy byłem lepszy od Jima. Teraz pójda za mną wszędzie.

O to walczyłem.

Rozdział XIII

Czarne kocię

Opisywanie tej walki z Jimem Derrimanem zmęczyło mnie prawie tak jak sama walka. Dopiero teraz zobaczyłem, że brak tu jeszcze pewnych wyjaśnień. Ale jeśli pozwolicie, to wyjaśnienia dodam teraz, a do tamtego rozdziału już nie będę wracał.

Jakim sposobem kuter straży celnej wpadł na trop naszego wyładunku i skąd tak szybko nadjechali żołnierze? Dowiedziałem się później. Władze w Whitstable posłyszały o wyładunku, którego oczekiwał Lambton w zatoce Herne. Dopilnowano nadzorczy, żeby wypełnił, co do niego należało. Uprzedzono wojsko, wysłano kuter, który krążył po morzu. Ale statek, na który Lambton czekał, dostrzegł kuter, zwiertzył niebezpieczeństwo i zwiął. A tymczasem na kutrze spostrzeżono płynący do nas słup i przesygnalizowano do zatoki Herne. Żołnierze pogalopowali drogą wzdłuż wybrzeża. Kuter oddał dwa strzały armatnie, by im wskazać miejsce lądowania.

Oczywiście, Jim nie wiedział o tym wszystkim. Ale, podobnie jak Ryszard, odgadł, że strzały armatnie muszą być przede wszystkim umówionym sygnałem. Sprytnie to wykombinował. Czekał na swoją szansę, a ja mu ją dałem. No cóż, teraz możemy powrócić do dalszego ciągu opowieści.

Jim odszedł, jak tylko wziął swoją część w rozdziale zysku. Nie wyrzekł ani słowa do żadnego z nas, nawet do Grindleya. Gdy oddalił się już o jakieś sto jardów, Grindley popatrzył na otaczających go ludzi. Kilku odwróciło się od niego, nikt nie chciał spojrzeć mu w oczy. Wymknął się chyłkiem, idąc paręset jardów

za Jimem. I tak, wciąż w tej samej odległości jeden od drugiego, znikli nam z oczu. Coś mnie ścisnęło za gardło. Ryszard potrząsnął głową. On, Jim i ja z ojcem przeżyliśmy razem kawał czasu, wygrzebywaliśmy się wspólnie z różnych tarapatów. Z naszej kornwalijskiej drużyny zostaliśmy teraz tylko my dwaj z Ryszardem.

Miałem pełne ręce roboty. Nadzorca wziął kurs na nas, że tak powiem. Zdecydowaliśmy z Ryszardem, że musimy złożyć mu wizytę. Gdy wchodziłem do budynku urzędu celnego, przewidujący Ryszard włożył mi do kieszeni kawałek kredy.

Nadzorca wyglądał na posępnego i niemilego człowieka. Sądząc po jego tuszy, domyśliłem się, że pewno choruje na wątrobę.

— Mam pewne informacje o przemytnikach — zacząłem.

Jednocześnie napisałem kredą na stole:

„Ile”?

Był to uświęcony zwyczajem sposób załatwiania tych spraw. Ściany mają uszy, ale nie mają oczu.

— Owszem, przydadzą nam się wasze... — i napisał niezbyt pewną ręką:

„250 £ miesięcznie”.

Skrzywił usta w czymś, co miało być uśmiechem pełnym nadziei, i stał rękawem stół.

— Mogę przyprowadzić świadka — powiedziałem, pisząc:

„Za dużo”.

Byliśmy nieliczną bandą, nie miewaliśmy dużych wyładunków. Łapówki musiałem płacić z własnego udziału w zyskach. Taki był zwyczaj. Dobry zwyczaj — przywódca starał się o to, by nie przekupywać niepotrzebnie ani nie dawać za dużo.

Nadzorca zmarszczył gniewnie brwi. Przeholował. Połowę sumy, którą wymienił, byłbym mu dał. Ale uparł się i nie chciał ustąpić.

„Ani szylinga mniej” — napisał, a jednocześnie rzekł:

— Nie trzeba świadków.

Gdybyśmy doszli do porozumienia kazałby mi następnego dnia przyprowadzić świadka — to znaczy przynieść pieniądze. . . Jeśli nie możesz ich przekupić, spróbuj nabić w butelkę. Zacząłem więc kombinować, co by tu wymyślić. Towarzysze z bandy

opowiadali cuda o mojej walce z Jimem Derrimanem. W okolicach Reculver każdy gospodarz i rybak słyszał o tym. Okazywano mi jeszcze więcej przyjaźni i sympatii niż zazwyczaj. Dlaczego ludzie tak wysoko cenią umiejętność pokonania przeciwnika w walce wręcz? Czego dowodzi takie zwycięstwo? Bądź co bądź, kułem żelazo póki gorące. Odwiedzałem gospodarzy, wdawałem się z każdym w pogawędkę, brałem za widły i pomagałem wyrzucać obornik. Stawiałem piwo w oberży. Wszyscy oni już i tak byli wmieszani w szmugiel — kupowali kontrabandę, wypożyczali konie i wozy, a ich synowie przyłączali się do bandy.

Popierała nas cała okolica. Świadomość tego dodawała nam, przemysłnikom, otuchy. Gdy ludność jest po jego stronie, gotowa ukrywać kontrabandę i pomagać, przemysłnik może wygrać. Jak Robin Hood. Nadzorca serdecznie pragnął dostać nas w swoje łapy. Złościł się, ponieważ ominął go — z jego własnej winy — stały przyływy gotówki do mieszka. Ale nie miał żadnej szansy. Zaaplikowaliśmy wiele z dawnych forteli ojcowskich, a i sporo nowych. W bandzie zapanował świetny humor. Każdy wiedział, co ma robić, wykonywał to chętnie i sprawnie. Ja byłem pewny, że gdyby nawet nadzorca nas w końcu przyłapał, dałby się jednak przekupić. A jeszcze pewniejszy byłem tego, że w tej okolicy nikt nie potrafi zgromadzić dwunastu sędziów przysięgłych, którzy by nas skazali. Zarabialiśmy grube pieniądze i wydawało się, że nic w ogóle nie stanie na przeszkodzie.

I nagle nasze jasne niebo zaciemniła bardzo groźna chmura. Przemysł w całym kraju rozrósł się na taką skalę, że rząd postanowił zrewidować swoje metody. Postanowiono zarządzić ściąganie cła nie w portach, lecz w magazynach i składach kupców. Kontrola mogła być wtedy znacznie skuteczniejsza. Jednakże projekt ten spotkał się z tak gwałtownym sprzeciwem w całym kraju, jakby się zanosilo na wojnę domową. Tłumy paradowały ulicami miast, niosąc wielkie napisy:

„Wolność — precz z cłami!”

Zastraszono parlament. Posłowie, w strachu o własne skóry, odrzucili projekt nowej ustawy.

My, poławiacze księżycy, cieszyliśmy się razem ze wszystkimi mieszkańcami. Ale coraz więcej band przemysłniczych, rozzuchwalonych pobłażliwością opinii publicznej, poczynalo sobie, jakby

byli zwykłymi bandytami. Mnożyły się wypadki rabunków, gwałtów, zabójstw. Była to ślepa głupota. Wieśniacy i rybacy zwrócili się przeciw nam. Mieszkańcy, którzy chętnie przyłączali się do płatania złośliwych figli i oszukiwania celników, nie chcieli mieć nic wspólnego z przelewem krwi. Rząd wyczuł, że opinia publiczna zaczęła cofać swoje poparcie. I wówczas zadano nam dotkliwy cios.

Ogłoszono, że karą za przemyt nie będzie już więzienie lub zesłanie — ale wyrok śmierci. Celnicy mieli podawać nazwiska znanych im przemytników, a nawet osób podejrzanych tylko o przemyt. Jeśli oskarżeni nie zgłosili się, by oczyścić się z zarzutu — wyrok zapadał zaocznie. Uniewinnienie albo nagroda pieniężna czekały tych przemytników, którzy wydawali swoich współtowarzyszy. Wyrok śmierci za ukrywanie przemytników. A co najgorsze — zbiorowa odpowiedzialność. Ogromne grzywny nakładano na wszystkich mieszkańców okolic, w których ukrywali się przemytnicy. Było to wymierzone głównie przeciwko pobłażliwym sądom przysięgłych i sędziom z urzędu. Podobne zbiorowe kary nakładano na całe hrabstwa, na terenie których zabito albo zraniono celnika. Zapomniano o jednym tylko ogniwie w całej organizacji przemytu — o statku. Ustawa była wymierzona przeciw przemytowi na lądzie. Pozycja szypra, przyłapanego z kontrabandą na statku, pozostała bez zmiany. Śmierć mu nie groziła.

Ci, którzy najgłośnieżej krzyczeli: „Wolność i precz z cłem!” — wystraszyli się pierwsi. Bez owijania w bawełnę mówili, że nie chcą mieć nic do czynienia z przemytnikami. Można to było zrozumieć: mieli rodziny. Nie grzeszyli przy tym logiką, chcieli, aby szmuglowano nadal. Nie mogli sobie pozwolić na kupowanie tytoniu, herbaty i win po oficjalnych cenach.

Przemytu nie zlikwidowano całkowicie, ale nasza banda przestała przyjmować wyładunki. Zmuszeni byliśmy zastanowić się nad nową sytuacją. Trzej towarzysze wycofali się z bandy. Nie byli wcale tchórzami, ale rodziny wywarły na nich nacisk. Lambton rozwiązał swoją bandę. Na szczęście nowa ustawa nie obowiązywała wstecz, obejmowała tylko przestępstwa popełnione po jej ogłoszeniu. Postanowiliśmy z Ryszardem udać się do domu i na jakiś czas osiąść na gospodarstwie.

Ojciec Dolly Derriman zmarł, a wdowa po nim zamieszkała

u mojej matki. Dolly martwiła się o Jima, który wstąpił do słynnej bandy Hawkhurst, działającej z całą bezwzględnością i okrucieństwem w okolicach Błot Romnejkich i terroryzującej zarówno celników, jak i okolicznych mieszkańców. Ich sztab mieścił się koło Hastings. Jim bardzo rzadko zaglądał do domu. Mówił, że nie da się zastraszyć i nie będzie siedział w domu, chowając się za spódniczki. Powtarzała mi to matka. Dolly nie chciała mnie znać. Pobitem jej Jima. Nie chciała słuchać żadnych tłumaczeń. To, co bolało jego, bolało i ją. Dobra, lojalna żona.

Niecierpliwiłem się. Gospodarka była za mała, byśmy mieli tu dość pracy obaj z Ryszardem. Nic nie mogliśmy dołożyć do uskładanych pieniędzy. Jim przyjechał do domu raz i drugi, ale trzymał się od nas z daleka, a i ja jego nie szukałem. Matka znowu mnie namawiała, żebym się ożenił. Trochę się przyglądałem miejscowym dziewczętom, ale bez szczególnego zapału. Nie interesowałem się nimi na tyle, by mogły mnie powstrzymać od swobodniejszych, chociaż przelotnych łask, jakimi mnie darzyły pewne młode niewiasty w Folkestone.

Minął rok. I przemytnicy, i celnicy stali się bardziej bezwzględni i coraz mniej cenili ludzkie życie. Było to nieuniknione. Celników awansowano za zabicie przemytnika. Strzał z pistoletu był skuteczniejszy i mniej kłopotliwy od długiej rozprawy sądowej. A przemytnicy strzelali coraz gęściej, gdyż nie mogli ryzykować schwytania. Za przemyt i za zabójstwo kara była taka sama — a powiesić człowieka można tylko raz. Gwałt się gwałtem odciska, mord rodzi mord.

Starszy z moich braci porzucił przemytnictwo, przerodził się w zamożnego i poważanego obywatela. Młodszy pracował dalej. W parę miesięcy później, kiedy moja własna banda wycofała się z aktywnej działalności, celnicy zastrzelili mego młodszego brata. Matka głęboko jego śmierć odczuła, ale, tak jak po śmierci ojca, panowała nad sobą i nie ujawniała bólu.

— Nie wracaj do przemytu, Ralfie — powiedziała kiedyś do mnie. — Twój ojciec na pewno nie chciałby, abys miał coś wspólnego z tą krwawą robotą. Wiesz o tym.

Miała rację. Jednakże niebawem zaświtała nadzieja poprawy sytuacji przemytników. Nowa ustawa, sformułowana pospiesznie, miała luki i sprzeczności. Zręczny prawnik mógł wybronić swego

klienta. Prawne kruczki zmuszały sędziów raz po raz do uwalniania przemytników i osób ich ukrywających, nawet wtedy, kiedy prokurator był pewny, że czeka ich szubienica. Przemysł zaczynał się rozwijać od nowa. Ja chciałem jeszcze odczekać. Robota nadal była krwawa, ponieważ zarówno celnicy — których coraz trudniej było werbować — jak i przemytnicy bali się o własne życie. Strach, poczucie, że trzeba zabijać albo samemu zostać zabitym, spowodowały więcej zabójstw niż zbrodnicze lub agresywne instynkty. Powiedziałem sobie, że poławianie księżycy, zanim ja do niego wrócę, musi znowu cieszyć się powszechnym poparciem mieszkańców. Mogło się to stać dopiero wówczas, gdy formalna niedoskonałość ustawy doprowadzi do zmniejszenia liczby zabójstw i do zniesienia zasady zbiorowej odpowiedzialności.

Któregoś dnia, kiedy się zastanawiałem nad tymi sprawami, przyszedł do mnie Lambton.

— Piekniennie mi się zdziżyło to próżnowanie — powiedział. — Zawsze miałem co robić. Źle znoszę siedzący tryb życia!

Wiekim bliższy był ojcu niż mnie.

— Rozumiem cię — odrzekłem. — Ale ta krwawa robota, w którą się teraz przemysł przemienił, to jednak nie dla mnie.

— Wcale nie musi być krwawa. Moglibyśmy kupić statek i pożeglować na wyspę Man. To raj dla przemytników!

— Dlaczego na wyspie Man ma być inaczej? — zapytałem.

— Tam nie obowiązuje prawo królewskie. Wyspa jest własnością hrabiów Derby, a celnicy nie mogą tam ściągać ani szylinga cła. Starożytny przywilej.

Przypomniałem sobie, że mi ojciec coś o tym opowiadał.

— Więc jeśli nie ma cła, to nie ma czego przemycać — odrzekłem.

— Rusz głową! — zawołał Lambton, uderzając mnie przyjaźnie po plecach. — Zaśniedziałeś tutaj. Wyspa Man jest jednym olbrzymim magazynem, skąd się wysyła kontrabandę do Liverpoolu, Whitehaven i Carlisle. Tytoń, rum, cukier, korzenie — z obu Ameryk. Cała wyspa żyje ze szmuglu. Ładują po trzydzieści statków dziennie.

Ciekawe by było zobaczyć tę wyspę, pomyślałem. Korciło mnie. Matka wmieszała się do rozmowy.

— Pamiętam, jak twój ojciec zawsze mawiał, że wyspa Man,

właśnie dlatego, iż nie obowiązują tam królewskie prawa, stała się schronieniem nie tylko dla przemytników, ale również dla wszelkiego rodzaju przestępców. Mordercy, złodzieje, skoczkiwie spod szubienicy, wszyscy chronią się na wyspę Man. Nie zechcecie się z nimi zadawać.

Musiałem to przemyśleć i obgadać z Ryszardem. Tak jak i Lambtonowi, obu nam już beczynność dojadła do żywego. Zdecydowaliśmy się na kompromis. Żaden z nas nie miał dziewczyny. A ja nawet dla własnej matki nie byłem przyjemnym towarzyszem, kiedy mnie ogarniało znużenie.

Kupiliśmy statek. Zżyliśmy się teraz z Ryszardem tak, iż byliśmy bliżsi sobie niż niejedni bracia. Mogłem zostać szyprem, jak chciał Ryszard, wiedząc, że on zawsze będzie stał u mego boku. Nasz słupek dotychczas nosił nazwę „Mary Rose”. Nie zmieniliśmy jej, okazała się potem prorocza. Słupek był bardzo podobny do naszej starej „Emmy”. Miał identyczne ożaglowanie. Znajdowały się na nim cztery mosiężne armatki. Służył do przemytu. Posiadał podwójne dna w ładowni i sekretne pomieszczenia w grodziach. Można było załadować tam kontrabandę, a dla pozorów wieźć legalny towar. Nie zamierzaliśmy jednak w naszym pierwszym rejsie zajmować się szmugłem.

Pokpiwaliśmy sami z siebie — Ryszard, Lambton i ja — na myśl, że będziemy żeglować w najuczciwszych pod słońcem celach przybrzeżnego przewożenia towarów. Kupiliśmy ładunek manufaktury londyńskiej, którą zamierzaliśmy sprzedać w Southampton. Tam mieliśmy załadować liny i sznury, na które było zapotrzebowanie w Kornwalii. I tak dalej. Nie zbijałibyśmy fortuny, jak za czasów przemytniczych, ale na skromne życie można było zarobić. A przy szczęściu nawet coś niecoś odłożyć. Chciałem przede wszystkim zajrzeć na wyspę Man, a także zwiedzić te wybrzeża Anglii, których dotąd nie znałem.

Przyłączył się do nas Heale, ale potrzebowaliśmy jeszcze jednego do skompletowania załogi. Wybierałem się właśnie do Reculver, żeby zobaczyć się z dawnymi członkami bandy i dowiedzieć, kto z nich znalazł się na żeglarskim, kiedy niespodziewanie zjawił się u nas w domu nasz wesóły, okrągłutki przyjaciel z Błot Romnejskich — Bill Casey. Banda Hawkursta uniemożliwiła mu dokonywanie skromniejszych i łagodniej przeprowadzanych ope-

racji. Spotkał Jima, który powiedział, że Ryszard i ja kupujemy statek. Zaklinał, byśmy go wzięli ze sobą. Znał się na żeglarstwie, natomiast nie zależało mu na pieniądzach, miał ich dosyć. Nie potrzebował wcale tak się zaklinać, przyjęliśmy go z otwartymi ramionami. Dobry druh.

I tak rozpoczęliśmy wyprawę, która miała się dla mnie skończyć kalectwem, a zarazem położyć podwaliny mojego przyszłego szczęścia.

Wzięliśmy towar z Gravesend, u ujścia Tamizy. Potem pożeglowaliśmy z powrotem przez cieśninę Dover i do Kanału. Niedaleko miejsca — koło Eastbourne — gdzie wielka burza złapała „Emmę”, znowu wpadliśmy w sztorm. Wicher dał od południa, falami szły grzmoty i błyskawice. „Mary Rosę” spisywała się dzielnie. A my chyba też sprawnie sobie z nią radziliśmy, zważywszy, że po raz pierwszy żeglowaliśmy na tym statku. Każdy statek ma swoje kaprysy, które szyper musi dobrze poznać, zanim nabierze zaufania do statku — i do siebie. Wydawało się, że będziemy mogli wpłynąć do cieśniny Spithead, między wyspą Wight a lądem. Tam moglibyśmy schronić się przed wiatrem i pożeglować do Southampton.

Ale nie tylko statki miewają kaprysy. Wiatry również. Właśnie mijaliśmy Selsey — siedlisko naszych dawnych wrogów — kiedy wiatr zmienił się na zachodnio-południowo-zachodni. Nie było możliwości iść przeciwnym halsem. Musieliśmy zawinąć do niewielkiej przystani, zwanej West Wittering, którą przed burzliwym morzem osłaniał długi, piaszczysty półwysep. Było to około drugiej godziny po południu.

Ryszard i ja zeszliliśmy na ląd. Do miasteczka, East Wittering, było niezbyt daleko. Stamtąd rozciągał się daleki widok, aż na Selsey. Dziwne to i może nierozsądne, ale mieliśmy ochotę popatrzeć, choćby z daleka, na te miejsca, gdzie ojciec pertraktował z przemytnikami z Selsey, a później nawymyślał im i skąd uciekaliśmy galopem. Takie miejsca mają tajemniczy urok. Kiedyś pojechałem specjalnie do Romney, by odnowić znajomość z tym zakątkiem lasu, gdzieśmy się starli z rozbójnikami.

W East Wittering zaszliśmy do oberży, by przeczekać gwałtowną ulewę. Ta ulewa zakończyła burzę, wiatr ustał, wyjrzało słońce.

— Powinniśmy wracać — rzekł Ryszard. — Możemy teraz pożeglować przez Spithead.

— Zaszliśmy już tak daleko — zaprotestowałem. — Chodźmy jeszcze kawałek wzdłuż wybrzeża!

Poszliśmy parę mil dalej. Nadchodził przypływ. Na wysokiej skarpie nadbrzeżnej, po której wędrowaliśmy, trochę dalej w głąb lądu, stała jakaś na wpół rozwalona szopa. Wybiegło z niej małe, czarne kocię. Zobaczyło nas, wygięło grzbiet, prychnęło i uciekło z powrotem do szopy.

— Wiesz! Potrzebny nam kot okrętowy! — zawołałem do Ryszarda i pobiegłem do szopy.

Wejście było od strony lądu i prowadziła tam polna droga. Dalej, na drodze stał pusty wóz, a na między pasł się koń. Do szopy nie prowadziły żadne drzwi. Wbiegłem, spojrzałem — i zatrzymałem się jak wrzty.

Na ziemi leżała dziewczyna przytrzymywana przez mężczyznę, który wielką dłonią przyciskał jej usta. Walczyła z nim zaciekle. Napastujący musiał usłyszeć nasze głosy i chciał jej przeszkodzić, by nie krzyknęła. W całej szopie walały się na ziemi różne części jej odzieży. U stóp moich leżało coś, co wyglądało na sakiewkę z pieniędzmi. Mężczyzna obejrzał się. Ten moment dał dziewczynie sposobność. Zerwała jego dłoń ze swoich ust.

— Ratunku! Ratunku!

Mężczyzna był wielkim, okrutnie wyglądającym drabem, o twarzy nie golonej od wielu dni i poznaczonej śladami świeżych zadrapań.

Ryszard był już obok mnie. Wpadliśmy razem do środka. Drab zostawił dziewczynę i chwycił sękaty kij, który leżał obok niego. Nie jestem ułomkiem, a i Ryszard to silny chłop, ale ten drab był tak olbrzymi i barczysty, że chyba musiał ważyć tyle, co my dwaj razem wzięci. Zauważyłem, że trochę kulał. Zdzielił mnie kijem w golenie. Poleciałem na ziemię. Zaatakował Ryszarda, przycisnął go do ściany. Dusił go jedną ręką, drugą sięgnął po nóż. Podniosłem się chwiejnie. W tym momencie dziewczyna rzuciła się na draba, wyrwała mu sztylet z ręki. Zauważyłem, że jej suknie były zupełnie przemoknięte. Ryszard odepchnął łotra, dziewczyna szarpała się z nim, wspólnie odtrącili go o parę kroków, tak że znalazł się koło mnie. Zadałem mu z całej siły cios pięścią w gło-

wę. Nie był na to przygotowany, rozciągnął się na ziemi. Pode mną nogi się ugięły i upadłem na niego. Ryszard i dziewczyna rzucili się razem do bójki.

Silny był ten drab. Nigdy się nie zmagalem z takim jak on. Jednym potężnym ruchem zerwał się na nogi i odtrącił nas w trzy kąty szopy. Stał i patrzył na nas z wściekłością.

— Do mnie tu, wy niedojdy, niemowlaki! — ryknął.

Kocię piszczało w czwartym kącie.

Ryszard poderwał się od razu. Ja tylko zwlokłem się na jedno kolano. Dziewczyna zaszła od tyłu. Ryszard skoczył na niego, ale tamten go położył w jednej sekundzie. Dziewczyna miała sztylet. Zadała drabowi cios w chwili, gdy uderzał Ryszarda. Mierzyła w plecy, chybiła, ale wbiła sztylet głęboko w prawe ramię. Dzielna, pomyślałem. Drab znieruchomiał na chwilę, spojrzął na sztylet, ale go nie wyciągnął. Ryszard poderwał się, chwycił kij i zamierzył się z rozmachem. Nie trafił w głowę, lecz w prawe ramię tuż nad raną. I ja wreszcie stanąłem na nogi, ruszyłem ku drabowi. Ryszard znowu zamierzył się kijem, dziewczyna chwyciła draba w pól. Bałem się, że kij może ją w tym zamieszaniu trafić. Lewą ręką drab rozerwał jej rękę, prawa zwisła mu bezwładnie. Spojrzął na nas. Ryszard spuścił kij, ale trafił tylko w podłogę, wybijając dziurę w spróchniałych deskach. Nasz przeciwnik uciekł, kulejąc trochę, ze sztyletem wciąż tkwiącym w ramieniu, a krwią spływającą po rękawie. Potknął się w progu o sakiewkę z pieniędzmi, ale poderwał się i pobiegł.

Dziewczyna, w poszarpanej i mokrej odzieży, nagle usiadła i wybuchnęła płaczem. Dobra z niej wojowniczką, ale jednak kobieta. To mi się podobało. Szlochając, zapytała:

— A gdzie... kotek?

Nie było go widać. Pokuśtykałem na dwór, w stronę ścieżki, którą przyszlismy tutaj z Ryszardem. Podniosłem sakiewkę z pieniędzmi. Na drodze zniknął za wzgórzem wózek z koniem, energicznie poganiany. Dosłyszałem żalosne:

— Miaaaa!

Znalazłem kocię skulone pod krzakiem. Zaniósłem je do dziewczyny. Opanowała się teraz, ogarnęła trochę. Wyciągnęła ręce po kudłaty, czarny kłębek.

— Chciałem go zabrać w charakterze kota okrętowego — powiedziałem.

Pieściła miauczący kłębek, ja rozcierałem kolano, a Ryszard obmacywał guza na głowie. Nagle dziewczyna podniosła głowę:

— O czym ja myślę? Powinam wam dziękować. Nie miałam broni, on był za silny. Nie mogłabym dłużej się bronić, gdyby nie wy.

— Pytanie, kto komu ma dziękować — odrzekłem. — Ty nas uratowałaś, zadając drabowi cios sztyletem. Nawet we dwóch nie dalibyśmy mu rady. A co do ciebie, to musisz podziękować temu kotkowi. Gdyby nie wybiegł na drogę...

Więc znowu go całowała i pieściła. Przestał miauczeć. Nie taka znowu zła ta kocia dola, pomyślałem. Dziewczyna podniosła kotka do samej twarzy, uśmiechając się do niego. Miałem sposobność przyjrzeć się jej lepiej. Miała roztargane włosy, twarz podrapaną i umazaną ziemią, a w tym brudzie niedawne łyzy wyłobiły białe smugi. Ale i tak mogłem rozpoznać, że jest młodzianka i naprawdę piękna. Włosy barwy dojrzałej pszenicy i błękitne oczy. Nos cienki, z małym garbkiem, usta czerwone, pełne, obiecujące. Kształty amazonki: pełne i silne, ale bez odrobiny tłuszczu. Na chwilę te ciemnobłękitne oczy oderwały się od kota, spojrzały na mnie. Zapomniałem o stłuczonym kolanie, o sińcach i guzach. Coś we mnie wybuchnęło gwałtowną eksplozją. Zadrżał każdy mięsień w moim ciele. Zapomniałem o bożym świecie. Dziewczyna przerwała tę błogą chwilę:

— Znacie mnie jako uratowaną ofiarę. Ja was znam jako błędnych rycerzy, którzy mnie wybawili od niebezpieczeństwa. Muszę wam zaufać. Gdzie wasz dom? Czy możecie mnie zabrać w miejsce, gdzie mogłabym się wysuszyć, umyć, uczesać, suknie jakoś doprowadzić do porządku. Szkoda, że mam taką starą, codzienną sukienkę. Wytłumaczę wam później.

— Naszym obecnym domem jest statek — rzekł Ryszard, który przyglądał mi się spod oka i uśmiechał ukradkiem.

— Jak romantycznie! — Przekręciła głowę na bok z odrobiną zalotności. O tak, kobieta stuprocentowa. — Może wyjdziecie stąd na chwilę — dodała. — Przyjdę zaraz.

— Ten drab gotów tu jeszcze kompanów sprowadzić — zauważyłem.

— Ech, nie! Jego kompani tylko go wyśmieją. Znam ich.

Czekając przed szopą powiedziałem do Ryszarda:

— Musimy wynająć jakiś powóz w East Wittering. Odwiozę ją do Chichesteru. Nasza „Mary Rose” nie jest odpowiednim miejscem dla dziewczyny.

— Dla twojej dziewczyny! — odparł, szturchając mnie łokciem. — Mną nie potrzebujesz się krępować. Mnie tylko piwo interesuje. Ale rozumiem, że w pewnych okolicznościach nikt z nas nie lubi rywalizacji.

Chciałem go po przyjacielsku trzepnąć w ucho, ale dziewczyna wyszła właśnie. Trochę się przyczesła — nie za bardzo, z odrobiną nieładu było jej do twarzy. Starła najgorszy brud, pospinała szpilkami suknie.

— Lepiej weź to — powiedziałem, podając jej sakiewkę z pieniędzmi. — Nawet jeśli należy do tego... tego...

— W rzeczywistości należy do mego ojca — odrzekła. — Potrzyмай je dla mnie, dobrze? Zawierzę ci więcej niż pieniądze! — I nagle zrobiła do mnie zabawny grymas.

Poszliśmy z powrotem do East Wittering. Jej rodzina niedawno się osiedliła w hrabstwie Sussex, opowiadała nam dziewczyna. Kupili gospodarzkę w Singleton, pięć mil na północ od Chichesteru. Ojciec odmówił sprzedawania wełny przemytnikom z Selsey. Ona była na drugim podwórzu, którego z domu nie widać, gdy przemytnicy porwali ją, zakneblowali, związali i uprowadzili do Selsey. Zamknęli ją na piętrze jakiegoś budynku, w pustej izbie, gdzie leżała tylko wiązka niezbyt czystej słomy. Posłali wiadomość do jej ojca: będziesz nam sprzedawał wełnę, albo...

Stara kobieta przyniosła jej chleb i wodę, uprzedziła, żeby nie spała, jeśli nie jest ładacznicą. Było pięciu mężczyzn w domu, a żadnej innej kobiety. Ona zamknie drzwi i będzie trzymała klucz w kieszeni swego fartucha, ale są okna, a i drzwi nie będą stanowiły przeszkody dla tego chłopca. Stara kobieta zostawiła jej też, z dobrego serca, kotka do towarzystwa.

Dziewczyna zamierzała sama skorzystać z okna. Ale gdy wyrzała, okazało się, że jest pilnowana: jakiś mężczyzna chodził tam i z powrotem przed domem. Nocą ukazała się w oknie jakaś twarz, a po niej pięść tłukąca szybę. I zaraz potem rozległ się pod oknem trzask, rumor, jęk. Twarz znikła. Dziewczyna ostrożnie wyrzała

przez okno: stara kobieta przewróciła drabinę i intruza, wszystko razem na kupę.

— To był ten właśnie — dodała dziewczyna, wskazując w stronę rozwalonej szopy. — Dlatego kuleje. Nogę sobie skręcił. Syn starej.

Ranek przyniósł ojcowską kapitulację. Przywieziono dwieście funtów wełny. Około południa stara kobieta wręczyła jej pieniądze za wełnę. Cały ranek trwała ulewa i sztorm. Wsadzono ją na wózek — nadal ściskając kotka, którego stara pozwoliła jej zabrać ze sobą. Syn starej tak urządził, by jemu kazano odwieźć brankę do domu. Wyprowadzając dziewczynę z izby, w której była więziona, stara kobieta mówiła:

— Chciałam to inaczej zorganizować. Nie udało mi się. Uważaj na siebie. To mój syn, ale kiedy mu dziewczyna wpadnie w oko... Za twoimi pieniędzmi nie będzie się oglądał. Ma wykręconą nogę. W razie czego nie dogoni cię.

Perspektywa niewesoła. Ale ostatecznie w biały dzień! Pojechali. Dziewczyna, nie znając dobrze okolicy, nie wiedziała, że skręcili w boczną, opuszczoną drogę. Koń również kulał.

— Pewno mu wetknął kamyk pod podkowę — opowiadała. — Bo koń przecież nie spadł z drabiny! — Teraz mogła żartować ze swoich przygód.

Nikogo na drodze nie spotkali, wokoło pustkowie. Przemokła w czasie ulewy. Koło szopy drab oznajmił, że tu się zatrzymają, bo on musi obejrzeć nogę konia. Podstęp był widoczny.

— Myślałam, że mam szansę się wymknąć — ciągnęła dziewczyna. — Kiedy nachylił się do konia, spróbowałam zeskoczyć z wozu. Ale on mnie nie spuszczał z oka. Miałam jedną nogę na osi koła, kiedy skoczył do mnie, chwycił w swoje żelazne ręce i poniósł, kopiącą go i drapiącą, do szopy. — Mówiła bez histerycznego podniecenia. — Puściłam kotka, oczywiście, i... no cóż, resztę znacie. Dzięki wam i tobie — przytuliła czarne kocię do swych wysokich, pełnych piersi — wszystko się dobrze skończyło.

Zanim doszliśmy do East Wittering, suknie na niej już prawie wyschły. Słońce dopiekało. Powiedziałem oberżycie pokrótce o całym zdarzeniu. Przyjął to dość obojętnie.

— Nic w tym niezwykłego — mruknął. — To skończone dranie

ci z Selsey. Terroryzują całą okolicę... Ale może wasza towarzyszka zechciałaby się umyć, ogarnąć trochę. Proszę, proszę!

Wynajął nam powóz i woźnicę. Ryszard wysiadł w West Wittering.

— Jak daleko jeszcze do Singleton? — spytała dziewczyna woźnicę.

— Ano, będzie dziesięć mil z okładem — odrzekł.

— W takim razie proszę powiedzieć waszym przyjaciółom na statku — powiedziała dziewczyna do Ryszarda — że wasz szyper może nie wrócić na noc. Mój ojciec zapewne zechce go ugościć. A jak jedna czy druga butelka pęknie, to jutro... — położyła rękę na czole i zrobiła minę, która miała oznaczać, że będę miał kociokwik.

Zatrzymaliśmy się w oberży „Pod Okrętem” w Chichesterze, żeby coś zjeść. Dziewczyna była wesoła, zdawało się, że otrząsnęła się z przeżyć ostatnich dwudziestu czterech godzin. Wyciągnęła ze mnie historię mojej rodziny. Nie byłem pewien, co ona będzie sądzić o przemytnikach, zważywszy jej ostatnie doświadczenia. Opowiadałem więc o statku i o gospodarce, a o przemytnictwie tylko jako dodatkowym zajęciu. Ale dziewczyna była za sprytna, by się tak łatwo dać nabrać.

— Widać, że jesteś zamożny — zauważyła. — Wiem coś o finansowej stronie gospodarowania. A ty sam mówisz, że nie można wiele zarobić na przybrzeżnych rejsach handlowych. Nietrudno odgadnąć, co zajmuje pierwsze miejsce w twoich zajęciach.

Nie odpowiedziałem. Poszedłem do oberżysty, żeby mu zapłacić należność.

— Z tego woreczka z pieniędzmi, proszę! — zawołała za mną.

Nie usłuchałem jej. Kiedy wróciłem, ostrzegła:

— Nie ma potrzeby opowiadać moim rodzicom o twoim przemytnictwie. Jesteś po prostu zręcznym szyprem handlowym, który wie, gdzie i kiedy jest potrzebny wraz ze swoim statkiem.

Popatrzyłem na nią pytająco. Ale pochyliła się nad kotkiem.

Gospodarstwo jej ojca okazało się dużą, zamożną farmą. Owce stanowiły tylko dodatek do liczego stada krów, hodowali też świnie i drób. Córka ich otrzymała staranniejsze wykształcenie niż zwykle dziewczęta ze wsi. Nie ma tu potrzeby opisywać radosnych powitań, wszyscy płakali i śmiali się na przemian. Oczywiście, za-

praszali koniecznie, bym u nich został na noc. Wcale się nie wzdrgałem. Towarzystwo tej dziewczyny działało na mnie jak najmocniejszy trunk. Zapłaciłem woźnicy i odesłałem go. Wiedziałem już, jak na imię mojej dziewczynie. Jej matka zawołała: „Rózo!” Dowiedziałem się, że naprawdę nosiła imiona: Mary Rose. Co za zbieg okoliczności! Uznałem to za szczęśliwy omen. Nie jestem przesądny, ale...

Jej ojciec opowiedział mi, gdyśmy się wieczorem zabawiali kielichami, że chce z powrotem odsprzedać tę gospodarkę i to jak najprędzej. Nie będą go tu terroryzować i zmuszać do transakcji, na które nie ma ochoty. Tymczasem wyśle córkę do miasta Mid-hurst, położonego o pięć mil dalej na północ, gdzie ma przyjaciół. Może nieco potrwa, zanim znajdzie nabywcę, ale chce przenieść się znowu do dawnych okolic, skąd przybył.

— Tam są też przemytnicy — mówił. — Ale to nie bandyci. Żyją w przyjaznych stosunkach z mieszkańcami, a przynajmniej tak było, zanim zastosowano karę zbiorowej odpowiedzialności. Nie miałem z nimi kontaktów, ale wielu sąsiadów ich znało. Zawsze mówili o nich jako o przyzwoitych ludziach.

— W jakich to było stronach? — zapytałem.

— W Calcott, koło zatoki Herne — odparł.

O mało się nie zdradziłem. Przecież ci przyzwoici ludzie to musiały być banda Lambtona i moja własna! Wiele razy przejeżdżałem przez Calcott, małą wioskę, po drodze do Canterbury i z powrotem.

Zostałem jeszcze przez następny dzień i noc. Rodzice Róży — nazywali się Harveyowie — żyli dostatnio w pięknym i wygodnym domu. Trzymali służącą, ale Róża pomagała przy kuchni i w mleczarni. Z gościnnego pokoju, który zajmowałem, rozciągał się piękny widok na wzgórze South Downs. Co prawda, niewiele uwagi poświęcałem tym widokom. Wieczorem przed odjazdem uznałem, że tak się z Różą zaprzyjaźniliśmy, iż mogę zaryzykować pocałunek. Byliśmy za kopią siana. Teraz albo nigdy! I okazało się, że nie zostałem źle przyjęty. Na odwrót, jak mogłem osądzić ze sposobu, w jaki przytuliła się do mnie, jej usta nie uciekały od moich. Gdyby to była inna dziewczyna, nie wątpiłbym, że przyjmie zaloty mężczyzny. Z nią było inaczej. Byłem już pewny, że to

jest dziewczyna, której zawsze szukałem. Wczorajszy wybuch przeobraził się we mnie w coś więcej — chyba w miłość.

Wiedziałem już, że jej ukochany brat, w tajemnicy przed rodzicami, zajmował się przemytem kontrabandy z kontynentu na wschodnie wybrzeża. Miał żonę w Great Yarmouth, a jego częste wyjazdy wcale mu nie przeszkadzały w szybkim powiększaniu rodziny.

Kiedy się oświadczyłem, Róża spytała mnie, czy zaniecham wyprawy na wyspę Man.

— Tego nie mogę zrobić — odrzekłem. — Mam czterech przyjaciół, o których muszę myśleć.

— A ja? — zapytała.

— O tobie będę myślał cały czas. Wrócę za trzy miesiące. Będziesz czekać na mnie?

— Będę. To ci przyrzekam. Ale i ty zaczekaj. Dam ci odpowiedź, kiedy wrócisz, nie teraz. Mój brat jest na morzu, nie zapominaj. Wiem coś o żeglarzach: w każdym porcie dziewczyna!

Ale kiedy mnie znowu całowała, uznałem, że chyba jej nie martwią te inne dziewczęta.

— Ten twój kotek podtrzymuje dobre tradycje czarnych kotów, które przynoszą szczęście — powiedziałem, gdy wracaliśmy do domu. Objmowałem ją ramieniem. — Przebiegł mi przez drogę i przyniósł szczęście. Nawet nie marzyłem o takim! Ale straciłem okrętowego kota.

— Weź go ze sobą — nalegała. — Niech ci przyniesie szczęście również i w tym rejsie. Ale odwieź mi go z powrotem.

Przyjąłem jej propozycję z radością. Znaczyła, że wierzy w mój powrót.

Z czarnym kotkiem za pazuchą maszerowałem dziarsko następnego ranka, rozmyślając, czy nie zbliża się kres mojej przemytniczej kariery.

Rozdział XIV

Zemsta Heale'a

Marzec. Zima się skończyła. Dzień jest dłuższy, w powietrzu czuć wiosnę. Tu i ówdzie zielenieją pączki. Owce wyszukują smakowite źdźbła młodziutkiej trawy na wzgórzach. W gospodarstwie mnóstwo pracy: roztrząsanie obornika, orka, siewy.

Liczyłem, że do wiosny skończę już z tym pisaniem. Na początku się nie spodziewałem, że tyle będę miał do opowiedzenia. Im więcej piszę, tym bardziej tłoczą się wspomnienia. Pewno upodobnię się niedługo do tych starych ludzi, którzy wciąż powtarzają jedną i tę samą historię z niewielkimi zmianami. Muszę się ograniczyć.

Zastanawiałem się, czyby nie odłożyć reszty do następnej zimy. Ale tu moja żona zaprotestowała.

— Jeśli odłożysz na później, to już nigdy nie dokończysz — powiedziała. — Przysiądź łańdów i skończ.

— A przecież jak skończę — westchnąłem — będę musiał wszystko, od początku, jeszcze raz przepisać na czysto, zanim będę mógł pomyśleć o zanieśieniu rękopisu do drukarza!

— Najpierw skończ — nalegała żona. — A ja mogę przepisać na czysto.

— Zrobisz to? — ucieszyłem się. — To wspaniale!

Moja żona ma ładny i wyraźny charakter pisma, łatwiejszy do odczytania od mojego. Ja tego lata nie będę miał wiele wolnego czasu. Mój młodszy syn nie wraca jeszcze do domu. Tam, u swego wuja, gdzie siedział zimą, znalazł sobie nową dziewczynę. Nie chce wyjechać, dopóki nie namówi jej, by mu powiedziała: „Tak”. Będą kłopoty z tą dziewczyną, którą zostawił tutaj, w sąsiedztwie. Trudno. Kwiaty na krzewach w dalekich ogrodach zawsze są piękniejsze od tych, co kwitną u nas. Ja też znalazłem swoją różę na

krzewie daleko od mego domu. Wszystko to znaczy, że będę miał więcej pracy tego lata. Najemny parobek nigdy nie dorówna parze rąk, należącej do własnej rodziny, nieprawdaż?

Jeżeli jednak moja żona przepisze na czysto, to z pewnością ja potrafię skończyć moje pisanie przed sianokosami.

Kiedy wróciłem na statek, moi kompani dworowali sobie ze mnie, jak łatwo możecie sobie wyobrazić.

— Już myśleliśmy, że trzeba będzie zbawcę ratować z opresji...

— Może byś zjadł z tuzin surowych jaj...

— Ale się zabezpieczyłeś, żeby ci nikt w drogę nie włożył...

Niech tam, mogą sobie żartować ze mnie. Kazałem im czekać prawie dwa dni. Jednakże irytowały mnie ich dowcipy. Coś się ze mną działo niezwykle. Żeglowaliśmy przez Spithead do Southampton, a ja wciąż byłem milczący i pogrążony w rozmyśleniach.

— Weź się w garść, chłopie! — śmiał się Casey. — Pokochaj i rzuć — przecież taka była zawsze twoja maksyma! A gdy porzucisz, zapomnij!

— Bywają dziewczęta, które się zapomina, i takie, których się nie zapomina! — odburknąłem niechętnie.

— Ho! Ho! Samotny wilk znalazł sobie samkę — wykrzyknął Bill. — Czy następnej wiosny będzie pierwszy miot szczeniąt?

— Zamknij się! — krzyknąłem.

Kiedy indziej śmiałybym się razem z nim. Teraz jego docinki wcale mnie nie bawiły. Miłość zabija poczucie humoru.

Moi towarzysze okrętowi tak się ubiegali o względy czarnego kocięcia, jakby to była sama Róża. Nazwałem go „Czarne”, nie będąc pewien jego płci, choć uważałem je zawsze za kocura. Próbowałem zdobyć jego przywiązanie, karmiąc je różnymi przysmakami. Ale wszyscy inni robili to samo, więc Czarne po prostu rosło i tyło, upominając się łapką o smaczne kąski od każdego, kto właśnie jadł. W końcu zwyciężyłem w tej rywalizacji o kocie serce. Zabierałem kotka ze sobą, gdy szedłem spać do kabiny, którą dzieliłem z Ryszardem. Kładłem go na koi, a on od razu się nauczył wlaźć pod koc. Grzał mnie rozkosznie w plecy, co mi

świetnie robiło na bóle w krzyżach, które mi się nieraz dawały we znaki.

Załatwiliśmy nasze sprawy w Southampton. Sami sobie się dziwiąc, witaliśmy celników, zapraszaliśmy ich na pokład, otwieraliśmy przed nimi wszystkie — albo prawie wszystkie — drzwi, ładownie i pomieszczenia. Oni ze swej strony wyglądali na bardzo rozczarowanych. Ani śladu, ani nawet zapachu kontrabandy! Za dawnych dobrych czasów celnicy w porcie Southampton dobrze sobie wypychali kieszenie kosztem przemytników.

Czarne od razu nieprzyjaźnie odniosło się do tych gości. Wyginało grzbiet i prychało na nich. Wychodząc na pokład po zrewidowaniu naszych ładowni, nadzorca podniósł Czarne za skórę na grzbiecie — i dostał za to potężną czerwoną krechę przez całą dłoń. Chwycił kota z irytacją za gardło.

— Zadzuszę cię, ty mała bestio...

Twarz mu spurpurowiała ze złości. Ścisnął palcami małą, czarną szyję. Kocię rzucało się, charczało. Uderzyłem jego dręczyciela ostrym ciosem w łokieć. Wypuścił kota, ale chwycił za rewolwer, i wymierzył w uciekające stworzenie. Podbiłem lufę do góry.

— Odłóż to natychmiast! — powiedziałem. — Dlatego, że cię zadrapał? Czy jesteś człowiekiem, czy bestią z lasu?

Radowałem się całym sercem, że mam powód do kłótni. Będąc szyprem na statku, pełnym nie podlegających ocłeniu towarów, mogłem sobie na to pozwolić.

— Popatrz na moją rękę! — zawołał.

— Zastrzelić za jedno drapnięcie jest zbyt surową karą — odparłem. — Jeśli skończyłeś swoją robotę — tędy się schodzi z mojego statku! — Skłoniłem się, wskazując trap.

Każdego przyzwoitego nadzorcę zaprosiłbym do swojej kabiny na szklaneczkę rumu. Ale nie tego. Natomiast zabrałem na dół Czarne i dałem mu świeżej ryby, którą Ryszard złowił tego ranka. Zasłużyło na nagrodę. Miało serce poławiacza księżycy i nienawidziło celników.

Wszedłszy do naszej wspólnej kabiny Ryszard spojrzał na mnie ze zdumieniem: siedziałem za stołem z gęsim piórem w rękę i biedziłem się nad napisaniem listu. Wiedział, że nie miałem nastroju do żadnych kpinek. Róża dała mi swój adres w Midhurst. Mogłem się z nią skomunikować za jedne dwa pensy. Tę satysfakcję

zawdzięczałem pocztmistrzowi z Bath, a mojemu imiennikowi, Ralfowi Allenowi, który niedawno zorganizował sprawną służbę pocztową; każdy dyliżans został dobrze uzbrojony na wypadek napaści rozbójników na gościńcach. Powiadali, że Allen zarobił na tym pół miliona. Niech mu się szczęści. Dobrze się zasłużył szerokiej publiczności, a przede wszystkim zakochanym.

Z Southampton wzięliśmy kurs na Torquay w hrabstwie De-von. Tam nas czekała niespodzianka. W zatoce stał wielki wschodnioindyjski statek handlowy. Różne łodzie pełne ludzi, nie wyglądających na marynarzy, kursowały między nim a nabrzeżem.

— Wydaje się, że kapitan wyprawia ucztę — zauważył Lambton.

— A mnie ten widok przypomina porty na Jawie — dodał Casey, który podróżował po różnych kątach świata. — Tylko, że tam ludzie handlowali przez burty. Wymieniali owoce na różne drobiazgi: guziki, stare koszule, kolorowe wstążki.

Zagadkę wschodnioindyjskiego przybysza rozwiązaliśmy tego wieczoru w oberży w Torquay. Wszedł przekupień z tobołkiem jedwabnych chusteczek z kontrabandy, które ofiarował na sprzedaż. Parę komuś wtrynił, ale najczęściej spotykał się z odpowiedzią:

— Po co mamy od ciebie kupować, kiedy możemy pójść prosto na statek i dostać o wiele taniej wszystko, co nam potrzeba.

Zapytałem oberżystę, czy to są częste praktyki w Torquay.

— A pewno, pewno! — odparł zagadnięty. — Kiedy tu zawinie wschodnioindyjski handlowiec, a to wypada raz albo i dwa razy w miesiącu, to jakby był najruchliwszy jarmark w mieście. Wczoraj był na statku nasz pastor z całą radą parafialną. Muśliny, jedwabie, szale, chustki — czego dusza zapagnie. Wszystkie kobiety w naszej okolicy stroją się w materie kupione w porcie. Sukiennicy niewiele zarabiają!

— A cóż celnicy? — pytałem.

— Ba! Celnicy! — pogardliwie machnął ręką. — Kto by tam na nich zwracał uwagę! Kapitan statku ze Wschodnich Indii reguluje z nadzorcą sprawę zaraz po zawinięciu do portu. Celnicy nie mają tu nic do gadania

Devon jest daleko, bardzo daleko od Londynu. Przekonaliśmy się niebawem, że nikt tu nie dbał o nową ustawę przeciw prze-

mytnikom, która stała się przyczyną tylu niebezpieczeństw i zbrodni na południowo-wschodnim wybrzeżu. Stara to historia. Wszystko zależy od tego, czy władze mają dość siły, by narzucić przestrzeganie wydanego prawa. W Kornwalii mało stacjonowało oddziałów wojskowych. Rząd nie dysponował dostateczną ilością wojsk. Celnicy byli przekupni, a przemytników wszędzie pełno. Pomyślałem sobie, że jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, to może sprowadzę Różę i osiedlimy się w tych stronach. Ale wtedy usłyszałem o drugiej stronie tego medalu, która mi nie przypadła do smaku, i byłem pewien, że Róża też tego nie pochwali.

Wyładowywano tutaj dużo dżinu. Kiepski to był trunek. Spróbowałem raz: płynny ogień, powiedziałbym. Wkrótce zrujnował zdrowie i znieprawiał moralnie tysiące ludzi — tu, w Londynie i gdzie indziej. Sprzedawano go tanio, bo z przemytu. Prawie każdy mógł sobie na dżin pozwolić. A kto nie mógł, kradł lub pożyczał, byle tylko pić. I znowu — ustawa o sprzedaży dżinu, promulgowana w Londynie, przez rząd, zlikwidowała najgorsze jego skutki wśród biedoty londyńskiej. Ale w prowincjonalnych hrabstwach rząd nie miał dość sił, by przeprowadzić tę ustawę. Ostatniej nocy, nim wypłynęliśmy z Torquay, trzydziestu przemytników wyładowało kontrabandę w zatoce Babbacombe, po północnej stronie przylądka. Nadzorca nawet próbował spełnić swój obowiązek. Ale był w śmiertelnym strachu. Przyjechawszy na miejsce ładowania, zaproponował nieśmiało:

— Panowie, pozwólcie mi zabrać towar, to puszczę was wolno!

Odpowiedział mu wybuch śmiechu i grad kamieni. Schował się w krzaki razem z trzema celnikami, z którymi przyjechał, i stamtąd obserwował wyładunek pięciuset galonów alkoholu, obmacując tymczasem guzy na własnej głowie.

Z Torquay wzięliśmy kurs na Francję. Nie było to zgodne z naszym planem, ale namówił nas pewien kupiec, mający ładunek legalnego towaru do Cherbourga. Był gotów zapłacić podwójną taryfę za przewiezienie towaru naszym statkiem. Obiecywał też, że załatwi dla nas ładunek na drogę powrotną. Trudno mi było się z tym zgodzić. Odwlecze to naszą wyprawę na wyspę Man. A ja teraz nie chciałem żadnego odwlekań, pragnąłem jak naj-

prędzej wrócić do Singleton. Był to jednak niezły zarobek, moi towarzysze mieli ochotę. Nie mogłem się wszystkim sprzeciwić. Ostatecznie, Cherbourg to tylko sto mil. Za parę dni będziemy z powrotem u południowo-zachodnich brzegów Anglii. W rezultacie ta decyzja pozwoliła mi wrócić do mojej Róży o wiele szybciej, niż ktokolwiek z nas przewidywał.

Płynąc z łagodnym wiatrem zachodnim, przeprawiliśmy się przez Kanał bardzo prędko. Kupiec o nazwisku O'Flaherty był Irlandczykiem — niski, gruby i łysy. Przeszedł na pokład ze znacznym zapasem własnych trunków i pił cały czas. Nie upijał się do nieprzytomności, ale też nie był nigdy zupełnie trzeźwy. Ożywił nasz statek. Bill Casey przylgnął do niego i zaśmiewał się z jego anegdot. Rzeczywiście, można sobie było boki zrywać, patrząc na małego grubego O'Flaherty'ego, jak tańczył irlandzkie tańce ludowe albo uczył się tańców marynarskich.

Ja jednak byłem bez humoru. Unikałem towarzyszy, z wyjątkiem jednego Ryszarda. Sam się sobie dziwiłem. Po pracy zawodowej następną moją troską byli zawsze towarzysze, z którymi tę pracę wykonywałem. A prowadzenie słupu też miało swoje uroki. Moim towarzyszom wystarczała sama żegluga. Radowała ich swoboda, brak niebezpieczeństw, nagłych alarmów i ryzykownych ucieczek. Mnie wszystko nudziło. Nie wysiłałem się, by przechytryć surowe przepisy, do czego dotąd przywykłem. Myśląc o sobie, nie starałem się pomóc innym, żeby mieli także herbatę na stołach, materię na suknie, tytoń do fajki, korzenie do przypraw w kuchni.

Myśli moje były nieustannie zajęte sprawą, o której nie chciałem rozmawiać z nikim, nawet z Ryszardem. Jemu otwałyby się dawne, zasklepione rany. Ryszard głęboko ukrył w sobie pamięć o Zuzi i o „swoim” synu, ale nigdy o nich naprawdę nie zapomniał. Inni żartowali by ze mnie w ten ordynarny sposób, jak zwykle to czynią mężczyźni, gdy mówią o innych kobietach, nie o matkach i żonach. Nie zniósłbym tego rodzaju żartów na temat Róży. Więc tylko z Czarnym mogłem o niej mówić. A Czarne mi opowiadało, że chciałoby należeć do Róży Harvey i do mnie — do nas obojga razem. Tak sobie tłumaczyłem jego mruczenie, gdy przewracało się na grzbiet, poddawało się moim pieszczotom i wysłuchiwało planów o przyszłości nas trojga. Czarne rosło szyb-

ko. Chodziło teraz w ślad za mną po całym statku, skakało z burty na pokład i z powrotem albo zeskakiwało z rei prosto na moje plecy. Lubiło mi siedzieć na ramieniu.

O'Flaherty załatwił dla nas, jak obiecał, powrotny ładunek do portu Poole, na północ od Cherbourg, parę mil na zachód od Sout-hampton. Nie bardzo nam to było po drodze, ale nikt nie chciał żeglować z pustymi ładowniami. Nie było wyboru. Łaziłem przygnębiony i zirytowany. Nawet nie miałem chęci wyjść na ląd i pogapić się na mury. W takim humorze, kiedy ładowano towar na „Mary Rosę”, poszedłem do kabiny i otworzyłem ukryte drzwiczki, które prowadziły do sekretnego pomieszczenia w grodzi. Trzymaliśmy tam z Ryszardem nasz osobisty zapas trunków. Musiałem się napić. Zapomniałem zamknąć drzwi do kabiny. Wszedł O'Flaherty.

— Oho! — wykrzyknął. — Tak sobie myślałem, że mi ten statek i ta załoga pachnie szmugłem. Skrytki w grodziach, co? I w ładowniach też, założyłbym się! Dobrze się maskujesz, Ralfie Ed-
dy!

Przyłapał mnie. Mogłem się tylko zaśmiać, co prawda z przymusem, i naleć mu rumu. Wypił duszkiem i podstawił mi szklaneczkę jeszcze raz.

— To zmienia postać rzeczy — powiedział. — Mógłbyś zarobić piękną sumkę dodatkowo, mając to... — wskazał ręką na drzwiczki, teraz zamknięte i niewidoczne. — A Wyspy Normandzkie są tuż za rogiem, że tak powiem. Załaduj do wszystkich skrytek tytoń albo trunki, albo tabakę.

Wyspy Normandzkie, o czym dobrze wiedziałem, pod wielu względami przypominały wyspę Man: ich mieszkańcy żyli z wywożenia kontrabandy do Anglii. Ojciec omijał te wyspy. Mawiał, że zebrała się tam banda złodziei, morderców i rozbójników. Ale O'Flaherty przyłapał mnie w odpowiednim humorze: znużenia i niepokoju. Potrzebowałem czegoś, co by mnie zajęło, oderwało od rozmyślań i wzdychań. Czemu nie zająć się troszeczkę szmugłem? Ostatecznie, to był mój zawód. Mogliśmy wyładować nasz oficjalny towar pod okiem celników w Poole, a tytoń później, po cichu, sprzedać w zatoce Lulworth, znanym ośrodku przemytniczym, trochę dalej na zachód. Wiedziałem z góry, co powiedzą moi kamraci okrętowi.

Tego wieczoru mieliśmy wyjść w morze razem z odpływem o godzinie dziesiątej. Heale poszedł wcześniej do portu, obiecując wrócić o dziewiątej. Nie zjawił się aż do następnego popołudnia. Przepuściliśmy dwa odpływy, musieliśmy teraz czekać jeszcze cztery godziny. Nawymyślałem mu.

— A ty nam kazałeś dwa dni czekać w Chichesterze, kiedy się uganiałeś za tą ladacznicą — odparł Heale agresywnie.

Nikt nie miał prawa takim słowem znieważać Róży. Rąbnąłem go na odlew w pysk. Zwalił się na pokład. To nie miało sensu. Cóż on mógł wiedzieć o Róży? A dawniej nieraz chodziliśmy razem na dziewczynki. Zapomniałem o zdrowym rozsądku. Jedno na pewno można powiedzieć o miłości, nie ma nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Heale siedział na pokładzie, trąc zarośnięty policzek. Miał złe oczy.

— Zapłacisz mi za to! Szyper czy nie, zapłacisz!

Pomyślałem, że mu to przejdzie. Zawsze mi się wydawało, że w zasadzie zacy z niego chłop. Ale może gdzieś w jego naturze była ukryta skaza, czego dowodziło jego zachowanie na „Emmie” podczas pamiętnego sztormu. Jakiś nieopanowany instynkt może owładnąć takim człowiekiem: strach, pożądanie krwi, mściwość.

Sądziłem, że nie chował do mnie urazy. Robił, co do niego należało. Tylko jakoś mechanicznie. Nie było w nim tego ducha, który mu kazał stanąć obok mnie w czasie mojej kłótni z Jimem Derrimanem i powiedzieć: „Nie opuszczę ciebie!”

W Saint Peter Port, na Wyspach Normandzkich, poszło nam gładko. Kupiliśmy tytoń bardzo tanio i załadowaliśmy nim wszystkie nasze sekretne schowki. Byliśmy teraz mocno obciążeni. Żeglowaliśmy na północ. Zachodni wiatr się wzmógł i zepchnął nas trochę z kursu. Kiedy późnym wieczorem dostrzegliśmy ziemię, były to zachodnie wybrzeża wyspy Wight. Nie przejmowaliśmy się tym. Można było bez trudu pożeglować wzdłuż wybrzeża, wy-lawirować na zachód i nad ranem rzucić kotwicę w zatoce Po-ole.

Rozkład zajęć na statku przewidywał, że zawsze trzech z nas było na wachtach, nie licząc O’Flaherty’ego. Jeden z nas dwóch, Ryszard albo ja, był zawsze na pokładzie. Dzielił się między siebie nawigację i, jeśli zaszła potrzeba, pomagaliśmy drugiemu wach-

towemu przy żaglach. Trzeci stał za sterem. W czasie złej pogody, albo gdyśmy wchodzili do portu, byliśmy wszyscy na pokładzie. Żaden z nas nie zaznał na morzu dużo snu, ale też nie przewidywaliśmy długich rejsów.

Kiedy dostrzeżyliśmy wyspę Wight, poszedłem do kajuty, żeby się przespać godzinkę lub dwie. Na pokładzie zostali Ryszard, He-ale i Lambton. Zapadła już noc, ale było jasno. Leżałem, rozmyślając o owej nocy, kiedy ostatni raz byłem prawie dokładnie w tym samym miejscu. Wtedy utonął ojciec.

Ledwie się zdrzemnąłem, gdy Ryszard obudził mnie gwałtownym szarpnięciem za ramię.

— Słuchaj, przed nami" cieśnina Solent — powiedział. — Widziałem światło. Zdaje mi się, że to kuter straży celnej.

Na pokładzie ktoś krzyczał. Chyba Lambton:

— Wracaj, ty draniu! — Ale nie byliśmy pewni.

Popędziliśmy w górę po schodni. Casey też coś usłyszał i biegł za nami.

— Heale wyskoczył za burtę! — krzyknął Lambton.

Spojrzałem na morze. Kuter widać było wyraźnie, już niedaleko. Heale'a nie mogłem dostrzec. Łajdak! Okazał się bardziej nikczemny, niż myślałem. Był silnym i doświadczonym pływakiem. A wtedy patrzył bez mrugnienia okiem, jak mój ojciec tonął! Potem prawil brednie o tym, że ojciec i ja przywróciliśmy mu szacunek dla samego siebie. Łajdak!

— Jeżeli to kuter straży celnej, to Heale knuje coś złego — powiedział Casey. — Nie kocha cię, od kiedy mu dałeś w pysk. Lepiej zawróćmy na pełne morze, gdzie celnicy nie mają prawa nas tknąć. Jesteśmy tu wewnątrz trzymilowej strefy.

— Nie da rady — odparłem. — Wiatr od zachodu. Musielibyśmy pożeglować wzdłuż wyspy Wight, po stronie nabrzeżnej, też wewnątrz trzymilowej strefy. Musimy im stawić czoła. Skrócić żagle. Niech się nie wydaje, że się śpieszymy.

Ryszard i Casey skoczyli wykonać rozkaz.

Podeszliśmy zupełnie blisko do kutra. Dostrzegłem czarną postać wspinającą się po linie. Celnicy pomogli jej wejść. W kilka chwil później rozległ się strzał i kula przeleciała nad naszym dziobem. Casey pobiegł do armatek. On miał pieczę nad nimi. O'Fla-

herty wypadł na pokład, wyjąc pełnym głosem jakąś irlandzką piosenkę i wymachując parą pistoletów.

— Nie bądź durniem, Casey! — krzyknąłem. — Nie zaczniemy walić z armat do kutra straży celnej! Jeszcze byśmy go zatopili.

— Dobrze im tak, zakazanym synom! — darł się O'Flaherty. — Niech się wykapia! Przyda się im, brudasom!

— Zwinąć żagle! — zawołałem. — Czekamy na kuter.

Posługiwanie się armatami nigdy nie należało do metod mego ojca. A nawet gdyby mi się tego zachciało, to nie tu, w pobliżu Portsmouth, gdzie okręty wojenne regularnie patrolowały przybrzeżne wody. Gdybyśmy zaczęli strzelać, zjawiłyby się z pewnością. I nawet ucieczka poza wody terytorialne nie ocaliłaby nas przed karą śmierci za popełnioną zbrodnię.

Tłumaczyłem to pośpiesznie Caseyowi i O'Flaherty'emu. Irlandczyk wciąż wymachiwał pistoletami.

— Zastrzelę pierwszego sukinsyna, który postawi nogę na pokładzie! — wołał.

— Jesteś na moim statku! — rzekłem ostro. — Będziesz robił, co ja każę. I przede wszystkim żadnego strzelania.

— Nie możesz bić się z nimi w rękawiczkach — narzekał O'Flaherty.

— Wcale nie zamierzam się z nimi bić — odparłem. — Oszukam, jeśli się da, przekupię, jeśli nie można inaczej!

Sytuacja moja była nie najlepsza. Heale szukał zemsty. Już im na pewno doniósł o sekretnych schowkach z kontrabandą. No cóż, chciało mi się podniecających przygód, to mam. Czy będę mógł okpić celników? Czy lepiej dać im w łapę? Żałowałem, że nie mam niewyczerpanej pomysłowości i obrotności ojca.

Dobiegł nas głos z kutra.

— Wchodzę na wasz pokład! — krzyczał ktoś szorstko.

— Czekamy! — odpowiedziałem.

Wszedł z dwoma innymi, zbrojnymi w rusznice. Wypatrywałem oczy w mroku. O Boże! Znałem tę wstrętną gębę! Jego widok sprawił, że straciłem panowanie nad sobą. Zapomniałem, że nie zamierzam się z nimi bić, jak powiedziałem Irlandczykowi. Zapomniałem o zobowiązaniach szypra wobec załogi. Świadomie i celowo znieważylem go. Chciałem, by mnie spróbował uderzyć, abym

mógł mu tym samym odpowiedzieć. Przysunąłem blisko do niego twarz.

— Dwakroć ciebie widziałem — wycedziłem przez zęby. — Za każdym razem byłeś w sztok pijany. Pierwszy raz — przyjąłeś łapówkę. Drugi raz stoczyłeś się po pijanemu z pokładu kutra w burzliwe morze. Mój ojciec ciebie wyratował — a sam zatonął. On, najlepszy człowiek, jakiego znałem, zginął, aby uratować ta kiego śmiecia jak ty! Precz z mojego statku — albo cię przywiążę do masztu!

Jego ludzie podnieśli rusznice. Ryszard i Casey zaszli ich od tyłu, chwycili za ramiona. O'Flaherty wygrażał im, wymachując przed nosem pistoletami. Szyper dobył obnażoną szpadę i obejrzał się za siebie, żeby zbadać możliwość ucieczki.

— Najlepszy człowiek, jakiego znałeś! — rzekł szyderczo. — Nie świadczy to dobrze o kompanii, w jakiej się obracasz. Ten najlepszy człowiek był łobuzem i włóczęgą, pewno mordercą. Miał szczęście, że utonął. Byłby wisiał z tobą do towarzystwa!

— Stawaj! — wrzasnąłem, dobywając szpady. — Te słowa własną krwią zmyjesz!

Melodramatyczny, próżny gest. Byłem tak zaciętrzewiony jak O'Flaherty, chociaż nie pod wpływem trunku. Pieniłem się z wściekłości. Zapomniałem o wszystkim, prócz tego, że muszę mu wyrwać język, który tak pohańbił mego ojca. Zapomniałem nawet o Róży. Moi towarzysze odsunęli swoich jeńców, by nam zrobić miejsce. O'Flaherty, tańcząc i skacząc z podniecenia, odciął odwrót szyprowi.

Szczęknęły szpady. Atakowaliśmy, przycinaliśmy, odbijaliśmy. Bił się rozpaczliwie, był silny ale ciężki, powolny, a byłem pewny siebie, szybki i sprawny, pojedynek z nim sprawiał mi najszczerszą radość. Nie byłem doświadczonym szermierzem, ale z tym ciemiegą mogłem się po prostu bawić.

Czarne siedziało nad nami na rei, śledząc baczenie każdy ruch, jak sekundant.

— Zabierzcie tego czarnego diabła! — krzyknął szyper. — Odwraca moją uwagę.

Czarne miało zwyczaj zawsze dokuczać straży celnej. Casey i O'Flaherty wybuchnęli śmiechem.

— Czarne koty przynoszą szczęście — powiedziałem. — Zobaczymy komu!

Mój przeciwnik podniósł szpadę, jakby się zamierzał na kota. Jak idiota, odsłonił się zupełnie. Mogłem go przeszyć szpadą z największą łatwością. Ale nie chciałem wyzyskać tej chwili przewagi, nie chciałem, by pojedynek wygrał za mnie kot. Podniosłem więc tylko szpadę i przytrzymałem nią jego podniesioną do góry broń. I w tym momencie się pośliznąłem. Odzyskałem równowagę, szarpnąwszy się do tyłu, twarz podniosłem ku gwiazdom. Jego uniesiona szpada, uwolniona od mojej, spadła ze świstem.

Uderzenie nad moim lewym okiem... przesywający ból... zupełna ciemność...

Kiedy się ocknąłem, poczułem, że leżę w koi. Ktoś się schylał nade mną, zdejmując ostrożnie i delikatnie, z kobiecą prawie czułością, opatrunek z mego lewego oka.

— Leż spokojnie — powiedział miękko głos O'Flaherty'ego. — Wszystko będzie dobrze.

— Co się stało? — zapytałem. — Gdzie jesteśmy?

— Teraz pewno za Portsmouth.

— Ale kuter... celnicy... ten drań... a Czarne?

Podniósł kotka, który leżał w nogach koi i położył go przy moim boku. Czarne zaraz zaczęło mruczeć.

— O wszystkim dowiesz się w swoim czasie. Teraz leż i odpoczywaj. Wszystko jest w porządku. O świcie będziemy poza wszelkim niebezpieczeństwem.

Mówił miękko, łagodnie, był najwyraźniej zupełnie trzeźwy, chyba pierwszy raz, od kiedy wypłynęliśmy z Torquay.

— Muszę wstać — powiedziałem.

Spróbowałem usiąść. O'Flaherty odstał o krok. Nie mogłem się podnieść. Byłem tak słaby jak nowo narodzone niemowlę.

— A widzisz — powiedział. — Straciłeś chyba z parę wiader krwi. Musisz leżeć, chcesz, czy nie chcesz.

— Moje oko! — jęknąłem. — Nie widzę na lewe oko!

— Gdybyś zobaczył własną głowę, tobyś się temu nie dziwił.

— Daj mi lusterko. Niech zobaczą, co ten morderca kotów mi zrobił.

— Nie teraz — odrzekł O'Flaherty. — Muszę ci założyć świeży

opatrunek i bandaż. Zerkniesz na siebie, gdy już nie będziesz przypominał rozciętej dyni.

— O Boże! — zawolałem. — Czy jest aż tak źle? Róża! Co ona sobie o mnie pomyśli?

Irlandczyk roześmiał się.

— Każda kobieta podziwia blizny. Romantyczne. Bohater.

— Czy będę widział na to oko? — spytałem niespokojnie.

— Mężczyzna nie potrzebuje widzieć, żeby rozebrać kobietę — odpowiedział mi ze śmiechem. — Jak często sam to robiłeś po ciemku? Można powiedzieć, że miałeś szczęście. Gdyby ten łajdak celnik umiał władać szpadą, toby ci rozciął głowę na dwoje. A tak, będziesz miał przynajmniej jedno oko!

— Więc jednak... — szepnąłem. W głowie mi się kręciło. Chyba znowu traciłem przytomność. Ale jeszcze wymruczałem:

— Zaczny z ciebie chłop, O'Flaherty...

— Przypominam sobie, jak to niegdyś bywało! — powiedział wesoło. — W mojej źle przeżytej młodości praktykowałem u cyrulika. Niewiele na tym można zarobić. Jak tylko mogłem, wyrwałem się. Ale zdążyłem się nauczyć co nieco od niego. Opatrunki zakładać i tak dalej.

Opowiadając, bandażował mi lewą stronę głowy. Ból był piekielny i wyrwał mnie z odurzenia, w jakie się ponownie pogrążałem. Do kabiny wszedł Ryszard. Miał obandażowaną prawą rękę.

— Szyper ma ochotę na befszytk i kufel piwa — rzekł O'Flaherty.

Niewiele brakowało, a byłbym zwymiotował na samą myśl o jedzeniu. O'Flaherty chciał tylko powiedzieć, że żyję. Ryszard podszedł do koi.

— Dokąd żeglujemy? Czy nas nie wezmą? — zapytałem go. Myśli i słowa płątały mi się trochę.

— Dobijemy do brzegu, zanim nas dościgną — odrzekł Ryszard. Ale wydało mi się, że mówił bez przekonania.

Zmusiłem swój otumaniony umysł do koncentracji.

— Nonsens — powiedziałem. — Przybijać do brzegu w tych stronach? Przecież to samobójstwo! Biercie kurs na Francję. Trze ba oddalić się od Anglii jak najszybciej.

Ryszard i O'Flaherty popatrzyli na siebie.

— Kiedy widzisz... — zaczął Ryszard i urwał.

Irlandczyk mu przyszedł z pomocą.

— Szyper, posłuchaj no. Musisz mieć lepszą opiekę lekarską, niż ja ci mogę dać...

— Dotrwam do Cherbourga — przerwałem mu.

— Nie — odparł stanowczo. — A oto mój plan. Wsadzimy cię na łódź w East Wittering. Będziemy tam przed świtem. Mamy przychylny wiatr. Ryszard mi powiedział, że tamtejszy oberżysta to przyzwoity człowiek i zna ciebie. Ja ci będę towarzyszył. Umieścimy cię na wozie i urządzimy tak, żeby było ci wygodnie. I zawiozę cię do tej twojej dziewczyny w... w...

— Singleton — podpowiedział Ryszard.

— Właśnie! Róża w Singleton — powtórzył O'Flaherty. — A twoja załoga zabierze „Mary Rosę” do Cherbourga...

— I później z powrotem do Folkestone — dorzucił Ryszard. — Przez ten czas wydobrzejesz.

— Ale ładunek...? — zapytałem.

— Do diabła z ładunkiem! — wykrzyknął O'Flaherty. — Ten towar się nie zepsuje. Sprzeda się dziś czy za miesiąc, wszystko jedno. A może w Folkestone.

— Ja się tym zajmę — zapewnił Ryszard. — A O'Flaherty, odstawivszy ciebie bezpiecznie do Singleton, wróci do Torquay.

— O wszystkim pomyśleliście — powiedziałem, poddając się. — Ty naprawdę jesteś porządny chłop, O'Flaherty.

Irlandczyk wyprostował się i wydał dumnie swój wypukły brzuch. Komiczna była z niego figura. Chciałem się uśmiechnąć, ale ból przeszył znowu moją głowę, jakby jeszcze raz ostrze szpady przez nią przechodziło.

•— Na honor Irlandii! — zawołał O'Flaherty i żartobliwie podniósł palec. — Nie odwzajemniamy się wam, Anglikom, w waszym kraju takim traktowaniem, jakim wy się odwdzięczacie w naszej ojczyźnie. — Później spoważniał. — Zrobię wszystko, co będę mógł, żeby wyciągnąć cię z tej biedy. — Znowu przerwał i mrugnął porozumiewawczo. — Słowo daję, gdyby nie to, w jakiej kondycji ty się znalazłeś, powiedziałbym, że dawno nie zaznałem takiej satysfakcji. Wyobraźcie mnie sobie, jak będę opowiadał o tej awanturze w mojej starej, ulubionej oberży! — Wtedy nie mogłem sobie tego jeszcze wyobrazić, był to dla mnie za wielki wysiłek. Później mi to kiedyś przyszło do głowy: O'Flaher-

ty z parą pistoletów, odgrywający bohatera przed zasłuchanymi kamratami. — Ale chętnie bym dostał w swe ręce tego zdrajcę, Heale'a! — I wyciągnął przed siebie dwie tłuste, małe ręce, które by nie objęły nawet szyi dziecka, i wykonał okropnie groźny gest duszenia.

— Daj mu spokój — powiedziałem. — On sam na siebie sznur ukreći.

Miałem wrażenie, jakby mi się w głowie coś otwierało i zamykało. Nie mogłem dłużej opierać się odurzeniu.

Oberżysta w East Wittering przyjął nas równie obojętnie jak wtedy, gdy przyprowadziłem Różę. Niewiele było spraw, które by go wyprowadziły z równowagi. Pomógł nam równie rzeczowo, sprawnie i skutecznie jak wtedy.

Niebawem razem z O'Flaherty'm jechaliśmy już drogą do Chichesteru. Oczywiście, wyminęliśmy miasto. Irlandczyk opowiedział mi, co się zdarzyło, gdy padłem po prawie śmiertelnym ciosie w oko. Moi towarzysze rzucili się na celników i wyrwali im broń, zanim tamci zdążyli się nią posłużyć. O'Flaherty całkiem serio chciał ich strącić do morza. Ryszard zaprotestował i wrzucono ich z powrotem na kuter. Tylko jednego człowieka widać było na pokładzie kutra. Heale ukrył się przezornie. Szyper kutra zranił Ryszarda w rękę.

— Nic mu nie będzie, draśnięcie — mówił O'Flaherty. — Pewno nawet nie będzie miał blizny.

„Mary Rosę” pożeglowała wzdłuż Solentu.

— Kiedy już było po wszystkim, sam się sobie zdziwiłem — ciągnął O'Flaherty. — Tak mi ta bójka przypadła do smaku. Może siedzi we mnie ukryty pirat? W każdym razie — za twój szybki powrót do zdrowia! — I przechylił do ust płaską flaszkę, którą wy ciągnął z kieszeni.

Miałem rzeczywiście szczęście, chociaż zostałem bez oka. Zabiłbym prawdopodobnie tego celnika — gdyby nie Czarne.

O'Flaherty kazał oberżystę w East Wittering dokładnie wymościć wóz słomą, a na to jeszcze położyć materac. Chociaż było ciepło, uparł się też, by mnie okryć kocami. Czarne zaraz włożyło pod te koce. Wbrew moim upomnieniom Irlandczyk płacił za wszystko z własnej kieszeni. Nic już więcej nie można było zrobić dla mojej wygody. A jednak męczyłem się piekielnie podczas tej dro-

gi. Każdy podskok wozu na wyboistej, suchej szosie odzywał się w mojej głowie tak, jakby się miała zaraz rozpaść. Wszystko jedno, dobrze było jechać do Róży, a nie na wyspę Man.

Dalszy ciąg nietrudno odgadnąć. Róża była oczywiście w Midhurst, ale jej rodzice ułożyli mnie z największą troskliwością w moim dawnym pokoju. Posłali natychmiast po doktora. Harveyowie nie mogliby mnie serdeczniej pielęgnować, gdybym był ich własnym synem. Doktor pogratulował O'Flaherty'emu umiejętnego opatrzenia mego oka i ran. Dla mnie nie miał pociechy.

— Na to oko nigdy już nie będziesz widział, mój żeglarzu!

Posłano po Różę. Już pierwszego wieczoru słyszałem na dole O'Flaherty'ego, jak rozprawiał na cały głos — zapewne przygotowywał się do opowiadań w oberży w Torquay — a później śpiewał donośnym barytonem sentymentalne irlandzkie ballady. Spadła mu z głowy odpowiedzialność za mnie. A pan Harvey, jak widziałem, nie skąpił gościom trunku. Irlandczyk w pełni korzystał z jego gościnności. Pani Harvey przysłała do mego pokoju:

— Ten twój irlandzki przyjaciel umarłego by rozśmieszył — powiedziała. — Gdybyś go widział, jak wyskakuje po całej kuchni tam na dole! Wypił o kropelkę za dużo i teraz mu się wydaje, że lepiej się bił od wszystkich wojowników świata razem wziętych!

— Wyobrażam sobie — odrzekłem. — Niech mu się szczęści! Zasłużył sobie na odpoczynek i zabawę, a tej odrobiny chępliwości nie trzeba mu brać za złe.

Rankiem przyjechała Róża.

— Jak śmiesz wracać do mnie w takim stanie! — powiedziała, potrząsając głową, ale w jej oczach błyszczało coś innego, nie wyrzut.

— Ale obiecałem odwieźć z powrotem Czarne i oto je masz! — Podniosłem kota do góry. — I rzeczywiście znów mi przyniósł szczęście. Gdyby nie Czarne...

Róża wzięła kota w rękę, a później pochylała się i pocałowała mnie w czoło nad zdrowym okiem. Od razu się lepiej poczułem.

— Powiedziano mi, że on ci życie uratował, Czarniutkie — rzekła do kota, pieszcząc go.

— Taka sama sytuacja, jak przedtem — powiedziałem. — Kto komu życie ocalił? Ten... — połknąłem wyraz, który miałem na

ustach — ...ten szyper straży celnej twierdził, że Czarne mu przeszkadza. Gdyby nie to... kto wie?

— Rada jestem, że posłałam Czarne z tobą — powiedziała Róża. — Ciebie samego nie można zostawić. Ratujesz porwane dziewczęta i walczysz z celnikami...

Róża i jej matka pielęgnowały mnie w dzień i w nocy. Rana w głowie niełatwo się goiła. Karmiono mnie rosołami, kurczętami, jajami — wszystkim, co tylko mogło polepszyć mój stan zdrowia. O'Flaherty wyjechał. Dostaliśmy wiadomość, że „Mary Rose” dotarła do Folkestone. A ja wciąż jeszcze z trudem kuśtykałem po pokoju i tylko jednym okiem podziwiałem piękny widok z mego okna. To znaczy, kiedy Róży nie było przy mnie. Gdy ona wchodziła, niczego innego nie chciałem już oglądać.

Minęło sześć tygodni, nadeszła jesień, zanim mogłem wyjść na dwór. Jak przepowiedział O'Flaherty, Róża pokochała mnie chyba jeszcze bardziej po moim okaleczeniu. Kobiety czują swoją siłę, gdy ich mężczyzna jest chory. Chciała, byśmy się zaraz pobrali. Zaprotestowałem. Któż by pomyślał, że ja będę odwlekał, a ona będzie się śpieszyła do ślubu. Wyjaśniłem:

— Żeby się z tobą ożenić, trzeba być mężczyzną w pełni sił, a nie rekonwalescentem!

Po raz pierwszy zobaczyłem, jak się czerwieni. Do twarzy jej było.

Harveyowie sprzedali wreszcie gospodarkę w Singleton. Ludzie z Selsey nie dokuczali im więcej. Razem z całą rodziną przeprowadziłem się i ja na nową gospodarkę do Littlebourne, małej wioski na wschód od Canterbury. Jechaliśmy całą karawaną wozów po parę mil dziennie. Pastuchowie oganiali stada zwierząt. Gdy już zadomowiliśmy się w Littlebourne, bryczką, powożoną przez Ryszarda, przyjechała w odwiedziny moja matka. Jak łatwo było przewidzieć, Róża od razu przypadła jej do serca. Przyszło i minęło Boże Narodzenie. Wreszcie z wiosną wróciło mi dawne zdrowie. Czuję się dość silny, by... to znaczy Róża i ja wzięliśmy ślub w katedrze prymasa Anglii — w Canterbury.

Nie tak źle, jak na zawodowego gwałciciela prawa angielskiego.

Rozdział XV

Urzędnik do zadań specjalnych

Teraz wiecie, dlaczego moja żona tak lubi czarne koty. Kiedy skończyłem poprzedni rozdział, Róża drzemała przed kominkiem. Obudziłem ją i powiedziałem:

— Pisałem właśnie o najlepszej robocie, jaka mi się w życiu udała — kiedy się z tobą ożeniłem.

Przetarła oczy. Roześmiała się sennie.

— Ty to nazywasz robotą? — zapytała. — Miałbyś o wiele trudniejszą robotę, gdybyś chciał uciec ode mnie.

— Trudniejszą? Ale mniej wyczerpującą — zakpiłem.

Róża nadal się rumieniła. Próbowwała to ukryć, usiłując mnie trzepnąć w ucho. Schwytałem jej rękę. Zarzuciła mi ramiona na szyję.

— Przeczytaj mi, co tam napisałeś — rzekła.

— Nie, jesteś śpiąca. Kładź się spać.

— Nie zasnę, dopóki nie przeczytasz mi tego fragmentu — nalegała.

— Czy myślisz, że odważyłbym się skłamać? — dokuczałem jej.

Zrobiła zabawny grymas. Kiedy skończyłem czytać, zauważyła:

To się wszystko wydaje ogromnie romantyczne!

— A co, może nie było romantyczne?

Róża położyła swoją rękę na mojej.

Byłem w pełni sił i zdrowia, ale dokuczał mi brak oka. Dużo czasu upłynęło, zanim się przyzwyczałem do ograniczonego po-

la widzenia i do szybkiego obracania głowy, by temu przeciwdziałać. Przez parę miesięcy po ślubie ciągle mieszkaliśmy z Różą u jej rodziców albo na zmianę u mojej matki. Ryszard, Bill Casey i Lambton zaokrętowali na „Mary Rosę” jeszcze trzech marynarzy i wyprawili się na wyspę Man. Przed wyjazdem Ryszard dał mi rewers na mój udział w wartości statku na wypadek, gdyby się im coś złego przytrafiło. Nie było ich blisko rok i sporo zaznali przez ten czas przygód, ale to już ich opowieść, nie moja.

Kiedy wrócili, Róża i ja byliśmy dumnymi i radośnie podnieconymi posiadaczami syna. Musiałem też zacząć myśleć o jakiejś pracy. Przywykłem już do swobodnego posługiwania się tylko jednym okiem, a Róża żartowała, że z powodu częstego i nagłego obracania głową przypominam jej wielkiego ptaka*

Bill Casey i Lambton postanowili założyć nowe bandy, każdy osobną. Surowa ustawa przeciwko przemytnikom i tym, którzy im pomagali, była już właściwie martwą literą. Adwokaci rozłożyli ją na cztery łopatki. Można było ponownie być przemytnikiem i przyzwoitym człowiekiem. Co nie znaczy, że wszyscy przemytnicy byli tacy — bynajmniej. Zbyt wielu zdemoralizował wybór między zabójstwem a ucieczką. Ale zdyscyplinowana banda, mądrze i rozważnie prowadzona, znów mogła nawiązać przyjazne stosunki z mieszkańcami najbliższej okolicy.

Ryszard i ja wybraliśmy żeglugę na „Mary Rosę”. Mogliśmy odbywać przybrzeżne rejsy handlowe i, korzystając z sekretnych schowków na statku, przy okazji przemyścić tu i ówdzie trochę kontrabandy. Rodzice Róży nic o tym nie wiedzieli. Nie byliśmy pewni, jak przyjęliby taką wiadomość. Ich syn zawsze uważał za rozważniejsze nie przyznawać im się do tego, że zajmował się przemytem. Zresztą porzucił już morze. Wrócił do zawodu krawieckiego, w którym praktykował niegdyś jako młody czeladnik. Odłożył dość pieniędzy, by kupić sobie spory zakład krawiecki w dobrym miejscu i zaangażować kilku pomocników. Dobrze mu się powodziło. Szył doskonale. Zawsze u niego zamawiałem ubrania dla siebie.

Zaokrętowaliśmy załogę i mieliśmy z Ryszardem mniej zwykłej marynarskiej pracy podczas rejsów. Ale nie wynosiliśmy się nad naszych okrętowych towarzyszy i dbaliśmy o to, by nasze stosunki z nimi zawsze się dobrze układały. Afera z Heale'em nau-

czyła mnie raz na zawsze, że nie można mieć na pokładzie nieprzyjaznych ludzi, gdy się wozi kontrabandę. Rejsy przebiegały sprawnie i właściwie bez niebezpiecznych przygód, chociaż bywały chwile napięcia. Tu i ówdzie trzeba było dać łapówkę, ale nigdy nie straciliśmy ani jednego funta kontrabandy. Nie odkładałem dużo pieniędzy, ale też nie sięgałem po swoje odłożone fundusze, uszczuplone pożyczką, której udzieliłem starymu Harveyowi, gdyż dwukrotna przeprowadzka podcięła go finansowo.

Kiedy nasz syn, John, skończył rok, Róża oznajmiła, że chce wybrać się ze mną w następny rejs. Dokuczałem jej, twierdząc, że mi nie ufa, gdy wyprawiam się daleko od niej. Przypomniałem jej, jak to kiedyś w Singleton mówiła, że wie wszystko o żeglarzach i ich dziewczętach. Ale oczywiście ucieszyłem się bardzo. Któż by się nie radował? Spędziwszy ten pierwszy rok po ślubie razem z nią, przywykłem do jej obecności i tęskno mi było bez niej. Trzeba było wyeksmitować Ryszarda z kabiny, ale postanowiliśmy odgrodzić dla niego kącik w ładowni, chociażby kosztem miejsca na towar. Ryszard i Róża zaprzyjaźnili się bardzo. Zabraliśmy ze sobą małego Johna, mimo protestu obydwóch jego babci, bo każda pragnęła go wziąć do siebie. Ale Róża nie chciała o tym słyszeć. Czarne, oczywiście, też wróciło do obowiązków kota okrętowego.

W ten sposób upłynęły nam trzy lata. Odwiedziliśmy każdy prawie port na Wyspach Brytyjskich. Czasem kupowaliśmy oficjalny towar, czasem braliśmy go tylko do przewiezienia. Przeprowadziliśmy się do Francji i Niderlandów. Wówczas zapychaliśmy wszystkie sekretne schowki kontrabandą. Była to łatwa, czysta robota. Oficjalny ładunek wyładowywaliśmy otwarcie w portach. Potem Ryszard albo ja szliśmy do miasta i popytawszy dyskretnie w oberżach, znajdowaliśmy nabywców na herbatę, tytoń, jedwabie. Pod osłoną nocy kupiec przychodził — albo przysyłał kogoś — na „Mary Rosę”. Dozorca nabrzeża zwykle pomagał znosić towar, szczęśliwy, że zarobi na odzież i buty dla dzieci.

Róża wykształciła się na wybornego żeglarza. Bardzo prędko nauczyła się obchodzić z żaglami i sterem, nie gorzej od nas. I łatwo odgadniecie, że jadałiśmy teraz zupełnie inaczej niż za kawalerskich czasów, kiedy to jeden z nas pichcił posiłki. Mały John stawiał swoje pierwsze kroki na pokładzie „Mary Rosę”. Staliśmy

wtedy w porcie. Ale niebawem nauczył się chodzić po kołyszącym i przechylnym pokładzie. Cała załoga się nim zajmowała. Czarne również uważało za swój szczególny obowiązek zabawiać dziecko. Gonili się po pokładzie, ale Czarne, żeby udowodnić swoją wyższość, od czasu do czasu wdrapywało się na maszt i na reje.

Dobre to było życie, chociaż czasami przychodziło nam z Różą do głowy, że jednak trzeba będzie pomyśleć o normalnym domu. Aż pewnego dnia Róża mi powiedziała, że znowu spodziewa się dziecka, czyli będzie musiała jednak powrócić do życia na lądzie. A ja już nie chciałem się z nią rozstawać. Prócz tego, chociaż lata spędzone na „Mary Rose” były naprawdę piękne, ale nie zarabialiśmy wiele i nie mogliśmy nic odłożyć. Kontrabandę, która przynosiła dochód z naszych rejsów, woziliśmy w małych ilościach i nie zawsze. Trzeba było myśleć o kosztach założenia domu i wychowania dzieci. Ale co miałem właściwie robić, czego się podjąć? Znałem się wybornie na poławianiu księżycy, wiedziałem, jak robić fortunę na przemyśle. Mógłbym zająć się gospodarowaniem. Od dawna mnie do tego ciągnęło i trochę już praktyki nabyłem, ale nie odłożyłem jeszcze dość pieniędzy, by kupić coś porządnego. Matka zaproponowała, że odda nam swoją gospodarkę, ale była to mała posiadłość, bez pastwisk i bez możliwości dokupienia czegoś w pobliżu.

Czasem tak się składa, że życie samo rozwiązuje problemy, nad którymi daremnie się biedzimy. Wracaliśmy na południe z Edynburga, postanowiliśmy, że to już ostatni nasz rejs na „Mary Rose”. Wieźliśmy ładunek dla syndykatu zwanego Związkiem Kupców Londyńskich. Często już woziliśmy towar dla nich. Mieli nabrzeże wyładunkowe w Wapping, na Tamizie, poniżej Mostu Londyńskiego. Po wyładowaniu podpisano mi kwit na nabrzeżu. Następnego dnia poszedłem z tym kwitem do biur syndykatu. Kiedy skończyłem załatwianie spraw z buchalterem, powiedział on:

— Nasz „wielki szef” chce się z panem zobaczyć, kapitanie Eddy.

— Po co?

— Pewno panu powie. Hej, chłopcze, zaprowadź kapitana do starszego pana Lawa.

Pierwszy raz w ogóle usłyszałem nazwisko „wielkiego szefa”. Stał on na samym szczycie w hierarchii Związku Kupców Lon-

dyńskich, toteż nic dziwnego, że ja — przeprowadzając dotąd drobne transakcje — nie miałem okazji się z nim zetknąć. Ja swoje sprawy załatwiałem z buchalterami, urzędnikami, a czasem z kierownikiem składu, panem Franklinem. Czego ode mnie mógł chcieć „wielki szef”?

Budynek biur Związku Kupców Londyńskich zatłoczony był na parterze worami i belami, ladami, biurkami buchalterów i szafami. Krzesła, stoły i biurka były stare i obdrapane. Mnóstwo ludzi kręciło się wszędzie, gadało i wołało. Dziwiłem się czasem, jak buchalter może w tym bałaganie w ogóle pracować. Na wyższych piętrach było zupełnie inaczej. Po obu stronach szerokiego, idealnie czystego korytarza widniały liczne drzwi z politurowanego dębu. Na każdym drzwiach błyszcząca, mosiężna tabliczka. Chłopiec, który mnie prowadził, wywołał młodego, eleganckiego urzędnika. Jego peruka była utrefiona według najświeższej mody, kamizelka z jasnoniebieskiego jedwabiu. Koronkowe mankiety, spodnie w prążki do kolan, jedwabne, obcisłe, zapinane na klamry. Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

-- Czy pan kapitan Eddy? Mój ojciec oczekuje pana.

W swoim zwykłym, ciężkim płaszczu, sukiennych spodniach i żeglarskich butach musiałem wydawać się dziwną figurą temu strojnemu młodzikowi. Ale nawet okiem nie mrugnął, a jego gładka twarz pozostała bardzo uprzejma. Pewno przywykł do rozmaitych interesantów odwiedzających jego ojca.

Wprowadził mnie do środka, potem przez jeszcze jedne drzwi, obite skórą od wewnątrz. Wielki pokój, o wysokich oknach wychodzących na port, dębowe boazerie do połowy ścian, obrazy statków i parę portretów. Biblioteka w jednym końcu, w drugim ciężkie, duże biurko. Fotele, ogromna stalowa kasa pancerna w rogu koło biurka. Wszystko lśniące, wszystko kosztowne, w najlepszym gatunku. Żadnego hałasu ani bałaganu.

Wysoki mężczyzna o chudej twarzy i sępiem nosie, bez peruki, lecz z włosami przypudrowanymi, by ukryć początki siwizny, wstał od biurka i wyszedł na moje spotkanie. Można było dostrzec wyraźne podobieństwo jego twarzy do portretu, wiszącego za nim na ścianie, a przedstawiającego niemłodego już mężczyznę w stroju sprzed dwudziestu lub trzydziestu lat. Ręką wskazał mi fotel, wpatrując się we mnie przenikliwym wzrokiem. Odpowiedziałem

mu śmiałym spojrzeniem. Jego syn — też wysoki, też z tym sępiem nosem — wyszedł, cicho zamykając drzwi za sobą. Pan Law wrócił do biurka. Siedział tak, przyglądając mi się badawczo, chyba z dobrą minutę. Nie spuszczałem wzroku ani się nie kręciłem pod jego przenikliwym spojrzeniem. Bo i dlaczego miałbym się kłopotać? Wreszcie powiedział:

— Rad jestem, że pana widzę, kapitanie Eddy. Od dawna już wiele o panu słyszałem. — Mówił powoli, zdawał się ważyć każde słowo. Przerwał, abym dobrze zrozumiał tę informację.

Nie mogłem mu się odwzajemnić takim komplementem, więc milczałem. Pan Law ciągnął dalej:

— Znam historię kariery pana, a również pańskiego ojca.

Mimo woli uniosłem w górę brwi. Pan Law zrobił lekki ruch ręką — chuda, o długich, białych palcach.

— Nie powinno to pana dziwić. Moim obowiązkiem jest wiedzieć wszystko o ludziach, którzy mogą być nam użyteczni. W pewnych — hm, hm — kołach pańskie nazwisko, kapitanie Eddy, jest dobre i wysoce cenione.

Z kieszeni kamizelki wyjął małą złotą tabakierkę, otworzył i poczęstował mnie. Wziąłem szczyptę tabaki i podziękowałem. Były to pierwsze słowa, jakie wymówiłem.

— Mam dla pana pewną propozycję, kapitanie Eddy — podjął pan Law. — Ale przedtem chciałbym coś powiedzieć. Otóż Związek Kupców Londyńskich zalicza do swoich członków, którzy ciągną zyski z zainwestowanych u nas kapitałów, nie tylko kupców i kapitanów statków handlowych, ale parów królestwa, członków parlamentu, sędziów — nawet biskupa. Jeżeli kiedyś zechciałby pan, powiedzmy, popełnić niedyskrecję w sprawie, o której zamierzam z panem obecnie mówić, przekonałby się pan, jak nikłe ma pan szanse.

Przerwał. Do czego ten człowiek zmierzał? Jego słowa zawierały groźbę, choć ton głosu był zupełnie spokojny. Nie przejawiał w ogóle żadnych uczuć. Nie spuszczał ze mnie wzroku ani na chwilę, ale był to wzrok badawczy, nie agresywny. Prócz lekkiego gestu ręką od czasu do czasu, nie poruszał się wcale. Postanowiłem traktować go zwyczajnie i po prostu, jakbym traktował mego kompana przemytnika. Nie zdawałem sobie sprawy, ile było słuszności w tym postanowieniu.

— Panie Law, jedną z pierwszych rzeczy, jakich mnie nauczył mój ojciec, było trzymanie języka za zębami. Był on dla mnie ideałem człowieka. Zawsze dążyłem, by mu dorównać. Nie ma żadnej potrzeby mi grozić.

Patrzyłem mu prosto w oczy, tak jak on.

Pan Law lekko kiwnął głową. I mówił dalej. Słuchałem go ze wzrastającym zdziwieniem, tylko z rzadka pytając lub odpowiadając.

W godzinę później znalazłem się znowu na wąskiej, tłocznej uliczce. Otrząsnąłem się, by się upewnić, że nie śnię. Co za człowiek! Jego bezpośredniość, jego spokojna rzeczowość zaimponowały mi. Wzbudził we mnie zaufanie, chociaż byłem przekonany, że potrafił być bezwzględny. Co więcej, wydaje się, że i on miał zaufanie do mnie. Może dlatego właśnie go polubiłem. Łatwo nam pochlebić.

W kieszeni miałem taką samą sumę pieniędzy, za jaką przed laty kupiliśmy z Ryszardem „Mary Rosę”. Sprzedałem statek panu Law, a właściwie jego syndykatowi. A ja? Otrzymałem stanowisko kierownika nabrzeża. Dość niewinna godność. Ryszard Seamore miał być moim zastępcą. Pewno by wołał zostać na morzu, ale usłucha mnie, a ja koniecznie potrzebowałem pomocnika, na którym mógłbym polegać bez zastrzeżeń. Wysoka pensja. Zażądałem prawie dwakroć więcej, niż mi pan Law początkowo zaproponował. Zdaje się, że straciłbym szansę otrzymania tej posady, gdybym tego nie zrobił. Pan Law przyjął to z uznaniem. Nawet się nie zawahał, wyrażając zgodę. Ponadto miałem otrzymywać procent od każdego wyładunku, za który byłem odpowiedzialny.

— Kilka lat — mówiłem do Róży — a będziemy mogli się wycofać z uskładaną niezłą fortunką.

— Czy dasz radę? — zapytała.

— Nie mam w tym zakresie praktyki ani doświadczenia — odrzekłem. — Ale każdy ambitny człowiek powinien zdobyć się na ryzyko, czy jest przemytnikiem, żeglarzem, odkrywcą czy też „wielkim szefem”. A właściwie jak to się stało, iż odważyłem się pomyśleć, że ty zgodzisz się wyjść za mnie za męża?

Róża przytuliła się do mnie.

— Ale będziesz uważał na siebie? — zapytała i dotknąwszy

czarnej łaty na moim oku, dorzuciła: — Ja miałam nadzieję, że już skończysz z przemytem.

— Skończę, kiedy uskładamy fortunę — zapewniłem ją.

Chwila wahania minęła. Róża powiedziała z naciskiem:

— Jestem z tobą. Wiesz o tym. Opowiadałeś mi, jak twoja matka zawsze popierała ojca w jego planach i przedsięwzięciach. Ja nie będę gorsza.

Będziesz pewno tak samo zaskoczony, miły czytelniku, jak ja byłem. Muszę się wytłumaczyć. Nie mogę powtórzyć dokładnie słów pana Lawa. Nie pamiętam ich, nie były w moim stylu. Wiecie, że w języku angielskim styl i słownictwo są wskaźnikami przynależności do klasy społecznej. I bronią członków danej klasy wobec innych. Pamiętam tylko treść tego, co mi powiedział i ten jego spokojny rzeczowy głos oraz oczy, świdrujące mnie bez przerwy, uparcie.

Związek Kupców Londyńskich prowadził dodatkową organizację. Organizację przemytniczą!

— Większe zyski są w podlegających oczeniu towarach, które jednak wymknęły się oczeniu — oznajmił pan Law spokojnie.

Kupcy, kapitanowie, parowie królestwa, członkowie parlamentu, sędziowie, nawet biskup! Wszyscy inwestujący swoje pieniądze w szmuglu! Ta organizacja miała swój zarząd w Lambeth, prawie naprzeciwko gmachów parlamentu. Podobał mi się ten szczegół. Gwałciciele prawa działający tuż pod nosem stanowicieli prawa. Organizacja istniała od pięciu lat. Współdziałała z nią kilkanaście band przemytniczych z południowo-wschodniego wybrzeża. Wyładowywano kontrabandę ze statków, należących do syndykatu albo do jego agentów po tamtej stronie Kanału. Do Londynu ładunki dowożono końmi jucznymi. Oto szmugiel na wielką skalę! Personel w Wapping nie wiedział, co się robiło w Lambeth — a co do mnie, to nawet ja nie miałem o tym wszystkim pojęcia! Co prawda, byłem ostatnio stale na morzu i nie miałem styczności z bandami.

— Czy mieliście poprzednio ... kierownika nabrzeża? — zapytałem.

— Ach, oczywiście. — Przez cały czas, kiedy u niego byłem, wzrok pana Lawa był we mnie utkwiony. Teraz spojrzął na chwilę w okno, mówiąc: — Niestety, zaczął się nałogowo upijać. Hm.

Jego zwłoki wydobyto z rzeki mniej więcej przed miesiącem.

I od razu przeszedł do ogólnego omawiania charakteru mojej pracy. Miałem kierować działalnością wszystkich band, dostarczających kontrabandę syndykatom. Bazą moich operacji był Londyn, miałem jednak sporo jeździć, zakładając nowe bandy, spotykając się z nowymi przywódcami, osobiście nadzorując szczególnie ważnych wyładunków, uzgadniając terminy z kapitanami statków. Do mojej dyspozycji były konie i komfortowo urządzone szybki szkuner w porcie Wapping. Ryszard jako mój zastępca miał przebywać na lądzie. W biurach Lambeth pracował już zespół buchalterów i urzędników pod kierunkiem starszego księgowego, odpowiedzialnego za rachunkowość i sprawozdania. To dobrze. Zgubiłbym się w morzu papierków. Cały ten personel, bardzo wysoko opłacany, był dobierany ze szczególną starannością. To zapewniało całkowite milczenie. Pan Law powiedział:

— Jeżeli pana albo kogokolwiek pracującego dla nas spotkał kłopot, wykorzystamy wszelkie nasze — hm, hm — możliwości, pośrednio oczywiście, aby pana i każdego naszego pracownika z kłopotu wyciągnąć. Ale nie może pan oczekiwać, aby Związek Kupców Londyńskich lub też któryś z dyrektorów i wyższych urzędników brał na siebie całkowitą odpowiedzialność. Przekona się pan, że będziemy użyteczni dla pana. A pan będzie użyteczny dla nas. To jest podstawa naszego wzajemnego stosunku. I jestem przekonany, że gdy pan obejmie kierownictwo, kłopoty nie będą się zdarzały-

Wraz z Różą i małym Johnem zamieszkaliśmy w uroczym małym domku, przeznaczonym dla kierownika nabrzeży, blisko rzeki, na skraju Kennington Common. Miałem blisko do pracy, a Róża radowała się swoim pierwszym domem po latach spędzonych na statku. Natomiast John i Czarne z początku tęsknili za dawnym życiem. Ale chłopiec prędko pocieszył się towarzystwem innych dzieci z sąsiednich domów, z którymi razem spędzał całe dni nad rzeką. Żaden gościniec w Anglii nie może się poszczycić tak ożywionym ruchem. Na obu brzegach mnóstwo przystani dla promów i łodzi do wynajęcia. Każdy mieszkaniec Londynu — polityk i prawnik, czeladnik i praktykant, ich żony i inne kobiety — wciąż przeprowiał się z jednego brzegu na drugi. Większe statki nie przepływają pod Mostem Londyńskim, ale mniejsze barki towarowe,

tłumnie płynące w górę i w dół rzeki, nieustannie krzyżowały się z łodziami pasażerskimi, przepływającymi się z brzegu na brzeg — jak osnowa i watek na warsztacie tkackim.

A Czarne zabrało się na serio do łowienia myszy.

Powiedziałem mojej matce, na czym naprawdę polega nowa praca. Mogłem jej zaufać, że nie zdradzi tego nawet własnemu czepeczkowi. Ale wobec Harveyów i wszystkich innych trzymaliśmy się oficjalnych pozorów.

Po jakimś czasie przyszli nas odwiedzić mój brat i jego żona. Brat się roztył, cerę miał ziemistą, niezdrową. Z pobłażliwą wyższością chwalili naszą oficjalną zamożność i naszych „godnych szacunku” przyjaciół. Ale moja szwagierka zgorszyła się bardzo, stwierdziwszy, że Róża nie trzyma służącej.

— Ja po prostu nie mogłabym stać nad kuchnią cały dzień — powiedziała. — To by zrujnowało moją cerę.

Róża spoglądała na nią, jakby sobie coś w duchu kalkulowała. Odgadłem bez trudu jej myśli. Uważała, że cera naszej szwagierki byłaby dokładnie taka sama, gdyby trzymała z dala od kuchennego ognia swój róż i puder.

Róża nie chciała mieć służącej.

— Co ja bym robiła przez cały dzień? — pytała. — Moje ręce nie są stworzone do próżnowania.

Tych dwoje nie przyszło do nas więcej. Róża nie polubiła ich i nie zgodziła się pójść do nich z rewizytą. W rok później mój brat zmarł. Miał dolegliwości nerkowe. Boję się, że za dużo jadł i pił, a za mało zażywał ruchu po wcześniejszym, czynnym trybie życia.

Zabrałem się do roboty z zapałem i przyjemnością. Wkrótce wciągnąłem nowe bandy Caseya i Lambtona do naszej organizacji, razem z kilkoma jeszcze, które znałem. Nikt z nich nie wiedział nic o naszych powiązaniach ze Związkiem Kupców Londyńskich. Statki należały do nas albo były wynajmowane. Za kontrabandę płaciliśmy bezpośrednio z naszych biur eksporterom we Francji i Niderlandach. Oni nam przysyłali kwity załadunkowe, a kopie wręczali kapitanom statków, którzy przekazywali je przywódcom band. Bandom wypłacaliśmy procent od wartości kontrabandy, którą wyładowywali i przewozili. Jeśli coś się nie zgadzało z kwitem załadunku, musieli za to zapłacić.

Najtrudniejszym punktem było oczywiście ładowanie. Wydawałem instrukcje kapitanom, odpływającym z kontynentu, kiedy i gdzie, o ile pogoda i wiatry pozwolą, mają dostarczyć kontrabandę. Z kolei

zawiadamiałem o szczegółach lądowania bandę. Nie zawsze zresztą bandę najbliższą. Posługiwanie się innymi, dalszymi bandami było użyteczną formą ochrony.

Bandy Caseya i Lambtona przeprowadzały całość operacji na własną rękę. Kiedy w grę wchodziły bandy, których byłem mniej pewny, wówczas Ryszard był zawsze na miejscu lądowania statku. Miał też pod dostatkiem roboty. Czasami jednej nocy musiał być obecny przy dwóch wyładunkach odległych o dziesięć mil, z parogodzinną przerwą między jednym lądowaniem a drugim. Bywało, że jednej nocy pilnował wyładunku koło Deal, a następnej koło Hastings. Potrzebował dobrych koni i wygodnego domu, gdzie mógłby odpocząć. Organizacja dostarczyła mu koni, a dom znalazł sobie sam w pewnej oberży, której właścicielką była młoda jeszcze i powabna wdówka. Niebawem mogłem dostrzec oznaki, że Ryszard nareszcie otrząsnął się z przynębiających wspomnień o Zuzi. Niech mu się szczęści!

Jeżeli Ryszard nie mógł być obecny przy jakimś lądowaniu, ja sam się tam wybierałem. Wydawszy instrukcje kapitanom, miałem na ogół dość czasu, żeby zorganizować wszystko na lądzie.

Duża część kontrabandy szła przez porty, „...opłać, jeśli inaczej nie można”. Jeżeli nadzorca celny był od dawna na naszej regularnej liście płacy, to zwykle wyładunek można było pozostawić przywódcy bandy. Jeśli nie, Ryszard lub ja byliśmy przy tym. „Oszukuj, jeśli możesz...” Jedynym miejscem, gdzie bardzo rzadko wyładowywaliśmy kontrabandę, było nabrzeże londyńskie. Celnicy byli tu równie przekupni, jak gdzie indziej, ale statki przemytnicze u ujścia Tamizy narażały się ze strony kutrów straży celnej na zbyt wielkie ryzyko.

Wyjątkiem z tej reguły były dobrze nam znane statki przywożące węgiel z Newcastle. Kiedy dobijały do Londynu, były załadowane węglem. Ale szyprowie często wyprowadzali się z własnych kabin i napełniali je kontrabandą, zabraną z naszych statków.

Wykorzystywałem doświadczenie, jakie nabyłem, i wszystko, cze-

go mnie nauczy! mój ojciec. Spotykaliśmy wielkie statki wschodnioindyjskie i kupowaliśmy od nich „przywileje”: herbatę, i jedwabie, przydzielane kapitanom i załodze. Nasze statki spełniały rolę „jarmarków” w małych portach, gdzie mieliśmy uregulowane stosunki z nadzorcami urzędu celnego. I oczywiście, na naszych statkach znajdowały się sekretne pomieszczenia rozmaitego rodzaju. Ładowaliśmy kontrabandę na dno ładowni, a inny towar — nie podlegający oczeniu — na wierzchu, i płaciliśmy celnikom, by nie kontrolowali zbyt dokładnie zawartości ładunku. Organizacja nie skąpiła wydatków, jeśli chodziło o zwrot łapówek. Urządzaliśmy też podstępne zasadzki na celników, a później oddawaliśmy sprawę do sądu, jak to zrobił mój ojciec w Deal. W pewnej okolicy' postraszyliśmy celników w podobny sposób, jak niegdyś przy pomocy ducha na zamku Tintagel.

Kiedy już towar był w głębi łądu, dalsza procedura nie nastęczała trudności. Gościńców celnicy nie pilnowali. I chociaż, powiedzmy, nadzorca urzędu celnego w Dover wiedział, że wymknęła mu się banda, która wiozła teraz szmugiel do stolicy, nic już nie mógł na to poradzić. Nie miał konnych oddziałów żołnierzy, by posłać pościg.

Mieliśmy kilka wielkich składów na terenie Londynu i okolicy — w Walworth, Camberwell, Packham i jeszcze dalej na wschodzie. Byłoby nieprzeznacznie umieszczać całą kontrabandę w jednym miejscu. Połowę wszystkich towarów szmuglowanych podówczas do Anglii przywożono do Londynu. A przez naszą organizację przechodziła mniej więcej jedna czwarta całości. Karawany jucznych koni szły do Londynu regularniej i częściej niż dyliżanse.

Tymczasem Róża uwiła w naszym domku prawdziwie rozkoszne gniazdko. Sama szyla suknie dla siebie, ubranka dla Johna i wyprawkę dla oczekiwanego drugiego dziecka, nie mówiąc o firankach, bieliźnie, haftowanych poduszkach i innych rzeczach. A ja już pilnowałem, by jej nie brakło luksusowych a tanich materiałów! Jej matka przyjechała do nas przed spodziewanym rozwiązaniem. Drugi chłopiec. Byliśmy obydwój zachwyceni. Ale Róża ciężko przeszła poród i długo chorowała. Lekarze zdecydowali, że nie powinna mieć więcej dzieci. Martwiła się tym.

— Tak chciałam ci dać dziewczynkę — mówiła.

— Mam jedną — odparłem. — Na imię jej Róża. Nie potrzeba mi żadnej więcej.

Musiałem czasami wyjeżdżać z domu na trochę dłużej. Żeglowałem wzdłuż wschodnich i południowych wybrzeży w tak komfortowych warunkach, jakbym sam był „wielkim szefem”. Z satysfakcją stwierdziłem, że nie potrzebuję się kłopotać odpowiedzialnością za szkuner. Odwiedzałem wszystkie bandy, które z nami współpracowały. Wysłuchiwałem sprawozdań Ryszarda z ich działalności. Skreślałem z naszej listy każdą bandę, która nie pracowała dość sprawnie albo uciekała się do gwałtów i zabójstw.

Wiecie już, że miałem własne — przejęte od mego ojca — zapatrywania na sprawę zabójstw i ich skutków. A pan Law w czasie owej pierwszej z nim rozmowy powiedział mi:

— Nie życzymy sobie żadnych gwałtów ani zabójstw. Zależy nam na przychylności opinii publicznej. Chcemy sprawnego do starzczenia towarów do składów, bez zatargów z władzami. Za raz, niech sobie przypomnę... — uśmiechnął się tym leciutkim, ledwo dostrzegalnym uśmieszkiem, który, jak się później prze konałem, zawsze zwiastował jakąś niespodziankę, i dokończył: — Słyszałem, że ma pan taką swoją maksymę. Jak to brzmi? „Oszukaj, jeśli się da...”

Dech mi zaparło ze zdumienia.

— Pan doprawdy wie bardzo dużo, panie Law!

— To też forma zabezpieczenia się i to nie najgorsza, jeśli się dużo wie o swoich współpracownikach, kapitanie Eddy.

Było to prawie pod koniec naszej rozmowy. Żegnając go, powiedziałem:

— Rad jestem, że nikomu nie przyszło do głowy postawić pana na czele ściągania cła w tym kraju.

— Och, sam premier mi to kiedyś zaproponował — odrzekł gładko pan Law. — Ale więcej pieniędzy można zarobić przeszkadzając ściąganiu cła, czy nie sądzi pan?

Rozdział XVI

Czysty aromat obory

Co za niespodzianka mnie dzisiaj spotkała! Wydaje się, że nie tylko w swojej pierwotnej profesji zdobyłem dobrą reputację. Moje nazwisko zaczyna być znane w kołach farmerskich i to nie tylko w bliskiej okolicy. Sprawilo mi to duzą satysfakcję. A oto, co zaszło.

Każdy, kto próbował uszlachetniać swoje owce, słyszał oczywiście o Robercie Bakewellu. Ma dużą fermę w hrabstwie Leicester. Chyba przed trzydziestu laty rozpoczął próby mające na celu wyhodowanie nowej rasy owiec, dających nie tylko wełnę, ale i dobre mięso. Nie ustawał w eksperymentach, aż doszedł wreszcie do wspaniałych wyników. Wyszukiwał w całym kraju najlepsze owce, które krzyżował ze swoimi. Dążył do tego, by wprowadzić nowe, uszlachetniające cechy albo utrwalić cechy wartościowe. Ma teraz najlepsze, a z pewnością najslawniejsze, stada w całej Anglii. Przewzano go „człowiekiem, który zapewnił mięso dla miliona ludzi”. A materiał zarodowy z jego owczarni osiąga olbrzymie ceny u innych hodowców. I Bakewell bynajmniej nie spoczął na laurach. Wciąż udoskonala swoje stada.

Otóż dzisiaj podjechało przed nasz dom dwóch modnie ubranych jeźdźców na pięknych wierzchowcach. Jeden przedstawił się jako Artur Young. Jego nazwisko również już słyszałem. To jegomość, który objechał Anglię, Irlandię i Francję i opisał rozwój rolnictwa w tych krajach. A drugi — nie kto inny, jak sam Robert Bakewell! I powiedział:

— Słyszeliśmy, panie Eddy, że wyhodował pan wyjątkowo piękne stado owiec i osiągnął interesujące wyniki hodowlane. Czy ze-

chciałby pan pokazać nam swoją gospodarkę i swoje owce? Może byśmy mogli nabyć u pana jakieś sztuki do dalszej hodowli.

Oczywiście, z największą przyjemnością oprowadzę ich po gospodarstwie. I pomyśleć, że sławny i znany Robert Bakewell słyszał o Ralfie Eddy'm!

Obaj panowie zeskoczyli z koni. Bakewell był wysokim, barczystym i tegim mężczyzną — niemało wyborowej baraniny musiał zużyć na osiągnięcie tej tuszy. Podwójny podbródek, cera czerwonawa, własne włosy przycięte na kształt krótkiej peruki. Nosił płaski, czarny kapelusz o szerokim rondzie, luźny brązowy surdut, szkarłatną kamizelkę, skórzane bryczesy i wysokie buty. Każdy* malarz przyjąłby go z otwartymi ramionami jako model do portretu typowego angielskiego farmera.

Przyprowadziłem gości do domu. Róża speszyla się trochę, nie była odpowiednio ubrana do przyjmowania takiego towarzystwa., Ale obydwaj zachowywali się naturalnie i uprzejmie, chwalili szar- lotkę z jabłek, której Bakewell oddał pełną sprawiedliwość nie tylko słowami.

Nie ma potrzeby dłużej się nad tym rozwodzić. Obejrzeni stado. Bakewell wysoko ocenił moje owce, powiedział, że słusznie mam reputację dobrego hodowcy. Zapłacił mi za dwuletnie tryki więcej, niż kiedykolwiek do tej pory dostałem. Jestem doprawdy dumny, że Bakewell wybrał moje tryki do swoich eksperymentów z uszlachetnianiem rasy. Powiedział mi też, że wie, czego potrzeba moim owcom i obiecał mi przysłać parę swoich tryków, by wprowadzić nowe cechy do mojego stada.

Może to się komuś nie wydać czymś nadzwyczajnym. Ale dla mnie to wielka satysfakcja, gdy wiem, że potrafiłem nie tylko łamać prawo w moim życiu,

Lata, które spędziłem pracując dla syndykatu, były najciekawsze z całego mojego przemysłowego życia. Praca mnie wciągała bez reszty. Byłem jak generał dowodzący wieloma rozproszonymi armiami — co prawda, bardzo małymi armiami. Męczyłem i męczyłem tę moją jednooką głowę, aby znaleźć taki sposób opowiedzenia o mojej pracy, żeby był ciekawy. Bo widzicie, ja obmyśla-

łem każdą operację moich „armii”, ale osobiście rzadko brałem udział w spotkaniu z „wrogiem”.

Przez trzy lata prowadziłem rodzaj dziennika. Właściwie nie był to dziennik. Po prostu zapiski z dnia na dzień. Przekonałem się, że są użyteczne, gdyż czasem pan Law potrzebował dla swoich udziałowców — kupców, kapitanów, parów królestwa, członków parlamentu, sędziów i nie zapominajcie o biskupie — sprawozdania z naszej działalności. To były bardzo skromne zapiski, takie na brudno. Mam je wciąż jeszcze. Właśnie kiedy je któregoś dnia przeglądałem, nasunął mi się pomysł tego całego pisania. Może najlepiej będzie, jeśli teraz wybiorę kilka kartek z tych starych zapisków. One najwierniej oddadzą obraz tamtych dni. I tylko dorzucę czasem jakieś wyjaśnienia, jeśli rzecz nie będzie całkiem zrozumiała.

Przerzuciliśmy dzisiaj duży ładunek z magazynów w Lambeth na brzeg westaHnsterski. Dowiedziałem się przedtem, że w Lambeth roi się od celników, ściągniętych ze wszystkich nabrzeży. Cały ładunek przepравиłem promem o cztery mile wyżej na rzece. Nikt nam nie przeszkodził.

Był to oczywiście z małą zmianą stary fortel ojca, wypraktykowany w Boscastle.

Informacja od p. Lawa, że zanosi się na rewizję wszystkich składów towarowych w Lambeth. W naszym niewiele znajdują. Zorganizowałem całą siatkę tymczasowych schowków na kontrabandę. Za drobną opłatą nająłem między innymi: piwnice w oberżach, strychy nad warsztatami rzemieślników, ogrody, stare kanały pod -ulicami, wybudowane jeszcze przez Rzymian, nie używane dzisiaj do celów kanalizacji, stodoły, zakątki na cmentarzach kilku kościołów, przybudówki przy magazynach Mennicy Królewskiej — i więzienia.

Jeśli tylko mogłem, lubiłem zawsze zabawiać się kosztem władz. Odpowiadało to mojemu poczuciu humoru. Dlatego właśnie Mennica Królewska i więzienia. Strażnik więzienny sprzedałby cześć swojej własnej córki za szylinga, a własną za mniejszą kwotę. Rozproszenie sprawiało trochę kłopotów przy dostawie towaru. Ale za to zapewniało bezpieczeństwo. Kradzieże się nie zdarzały. Ludziom, u których wynajmowałem te różne pomieszczenia, zależało na pa-

ru szylingach zarobku. A prócz tego bali się, że gdyby nie grali ze mną uczciwie, to mógłbym ich wydać władzom, jako tych, co przechowują kontrabandę.

Pan Law zauważył dzisiaj z satysfakcją, że, jak mu donoszą, ludność zarówno w Lambeth, jak i Southwark nam sprzyja. Tylko w części jest to moja zasługa. Przemysłowcy wydają tu sporo pieniędzy w lokalnych oberżach i u rzemieślników. Niejednego biedaka można kupić za funt herbaty. Gdyby celnicy odszukali którąś z moich kryjówek i próbowali zabrać kontrabandę, mieliby w mgnieniu oka setkę mężczyzn na karku.

Prawdę rzekłszy, londyńskie tłumy sprzyjały nam nawet za bardzo. Nie byli to wieśniacy, dla których przemyt był po trosze sportem i którzy nie używali innej broni, jak podniesiony z ziemi kamień. Podziemny świat londyński kochał się w bójce i — jak na mój gust — zanadto sprawnie dobywał noża i ciężkiej, nabijanej" gwoździami pałki. I właściwie nie chodziło im o to, by pomóc: przemysłownikom, po prostu nie pomijali żadnej sposobności, by załatwić swoje porachunki z przedstawicielami władz. Niebezpieczni sprzymierzeńcy.

Karawany jucznych koni, odchodzące z wybrzeży, mają być rewidowane w poszukiwaniu kontrabandy. Obmyśliłem do spółki z p. Lawem nowy fortel, by okpić celników. Związek Kupców Londyńskich posiada składy w miastach portowych. Dostał zezwolenie na przerzucenie towarów do tych składów z powodu przepelnienia magazynów londyńskich. Nigdy ta „nadwyżka" nie zostanie wysłana, oczywiście. Ale my, przywożąc kontrabandę z tych portów, będziemy symulować, że to tylko powrotna podróż „nadwyżek", za które cło już opłacono.

Ten pan Law! Miał głowę na karku. Zawsze znalazł wyjście z sytuacji. Czasem budził grozę. Co by się stało, gdybym mu się naraził? Pod koniec pierwszego roku mojej pracy wyraził zadowolenie. Większe obroty, większe zyski.

Dziś nadeszła do Lambeth pierwsza partia francuskich win, sprowadzonych oficjalnie, przez port. Opłaciliśmy za ten ładunek niskie cło, ściągane za oliwę, zamiast wysokiego cła za wino. Szklane butle w baryłkach używanych do oliwy, pomazane na zewnątrz, zapieczętowane, jak zwykle oliwa. Celnicy niczego nie zakwestionowali. Spróbowałem wina. Smak wylsmienity.

Tym sposobem sprowadzaliśmy wino przez blisko dwa lata. Aż pewnego razu jedna baryłka rozbiła się w urządzie celnym. Stłuczone szkło, zapach wina. Dziesięć gwinei musieliśmy zapłacić, żeby sobie zapewnić milczenie nadzorca. I zaniechaliśmy na jakiś czas tego sposobu.

Ostatniej nocy największe chyba ładowanie kontrabandy, jakie w ogóle było na południowo-wschodnim wybrzeżu. Zatoka Św. Małgorzaty, między Dover a Deal. Byliśmy tam obaj z Ryszardem. Pogoda doskonała. Długa ciemna noc, młody księżyc. Sześć dużych statków przybijało kolejno z dwugodzinnymi przerwami. Rozstawiono strażę. Celnicy przyjechał i przyglądali się operacji zza drzew w niewielkiej odległości. Nie zwracaliśmy na nich żadnej uwagi. Ich było dwudziestu, nas trzystu. Po krótkim czasie zawrócili i odjechali. Nie rozległ się ani jeden strzał, nie padł żaden cios. Wszystko poszło sprawnie i według starannie obmyślonego planu.

Można by sądzić, że Róża będzie miała pełne ręce roboty, zajmując się dwojgiem dzieci i domem. Ale ona nie ma dość zajęcia, jeśli nie pracuje od świtu do wieczora. Zainteresowała się dzielnicą biedoty, niezbyt od nas odległą.

— Chciałabym wziąć trzy albo cztery rodziny robotników portowych pod moje osobiste skrzydełka opiekuńcze — powiedziała mi kiedyś. — Ile moglibyśmy przeznaczyć miesięcznie na pomoc dla nich?

Dobra myśl. Piękna myśl. Myśl Róży. Wymieniłem sumę.

— Świetnie! — odrzekła. — Nie spodziewałam się aż tyle. Kochany jesteś! — I uściskała mnie.

— Pomożemy im, nawet gdybyśmy sami musieli się trochę ograniczyć — powiedziałem.

Pragnąłem jej sprawić przyjemność. Róża warta była tego. Ale poza tym rzeczywiście chciałem ulżyć niedoli tych biedaków. Chodziłem czasem z Różą ich odwiedzać. Warunki mieszkaniowe okropne. W jednej izbie stłoczona rodzina, złożona z pięciu, sześciu osób. Odziani w łąchmany. Bywają dni, kiedy w ogóle nic nie jedzą. Robotnicy portowi nie mają regularnego zarobku. Czasem jest statek do rozładowania, czasem nie. Paru rodzinom mogliśmy pomóc, ale reszta? I co tu się dziwić, że ludzie kradną.

Dzieci rzucały się witać i ściskać Różę. Zanim doszła do mieszkania, niosła jedno na rękę, a pół tuzina wisiało u jej spódnicy.

Często odsyłała mnie do domu, a sarna zabierała się do sprzątanía i gotowania. Z zapisków:

Z Yorkshire, Kornwalii, Liverpoolu i Bristolu ściagam do naszych składów herbatę, trunki, tytoń, jedwabie. W Londynie są większe możliwości nasycenia rynku kontrabandą niż na prowincji. Organizuję długodystansową służbę przewozową.

Nasza organizacja była coraz popularniejsza w całej Anglii. Mieliśmy doskonale możliwości rozprowadzania kontrabandy: kupowali wszyscy klienci Związku Kupców Londyńskich i inni. Jako duży syndykat zapewnialiśmy przemytnikom większe bezpieczeństwo osobiste.

Gazety podają, że farmerzy środkowych hrabstw narzekają na brak sił najemnych do pracy na roli. Parobcy, gdy im proponują pracę za szylinga i sześć pensów dziennie, śmieją się w żywe oczy i idą gdzie indziej. Gdzie? Poseł, przemawiający w Izbie Gmin, dał taką odpowiedź: „Wszyscy młodzi, przedsiębiorczy mężczyźni w kraju poszli na przemysł. Otrzymują dwa szylingi sześć pensów dziennie stałego wynagrodzenia za czekanie. Nic nie robią za te pieniądze, dopóki nie przyjdzie statek z kontrabandą. Wówczas dosiadają koni i jadą wyładowywać. Dostają gwineę dziennie, jedzenie, pomieszczenie”.

Zaczęto w owym czasie debatować nad tym, w jaki sposób farmerzy mogliby zdobyć z powrotem pracowników rolnych. Pan Law przewidywał coraz trudniejszą przyszłość dla nas. Komisarz dla spraw celnych Szkocji, nazwiskiem Adam Smith, dowodził, że najlepszym sposobem zlikwidowania przemytu jest obniżka ceł. Jeśli cło będzie wynosiło jednego pensa, nikomu nie opłaci się wykręcać od tego, natomiast cło dwunastokrotnie wyższe sprawia, że cena powszechnie potrzebnego towaru staje się zbyt wygórowana i przeciętny obywatel nie może sobie pozwolić na kupno. W ten sposób powstaje chłonny rynek dla towarów szmuglowanych. Rezultat — ściągają się cła z ilości mniejszej niż jedna dwunasta część wszystkich podlegających ocłeniu towarów. Rządowi opłaciłoby się obniżyć cła do jednego pensa, które można by łatwo i regularnie pobierać. A i koszty ściągania cła zmniejszyłyby się znacznie. Można by utrzymywać mniej celników i kutrów.

Minęło jeszcze trochę czasu, nim rząd uznał słuszność teorii głoszonych przez Adama Smitha. Ale, jak się wyraził pan Law, już widać było oznaki zapowiadające nasz kres.

— Związek Kupców Londyńskich — mówił pan Law — przestanie się interesować przemysłem, jeśli zniknie masowe zapotrzebowanie na towar z kontrabandy. Taka organizacja, jak nasza, może z zyskiem operować tylko na wielką skalę.

I znowu któregoś dnia powrócił do tego tematu:

— Chociaż nie chcę pana stracić, jednakże muszę ostrzec, że powinien pan pomyśleć o własnej przyszłości. *Co* do mnie, już się dobrze zabezpieczyłem innymi metodami. — Ciekaw byłem, na czym polegały te inne metody. Cień jego uśmiešku towarzyszył następnym słowom: — A w ostateczności może bym się postarał o biskupstwo.

Myślałem o przyszłości, omawiałem to z Różą. Ale jakoś jeszcze sprawa nie wydawała nam się nagląca. Lubiłem swoją pracę i z satysfakcją odkładałem niezgorsze sumki do banku. W rzeczywistości cło na herbatę obniżono ze stu dziewiętnastu procent do dwunastu i pół procenta dopiero przed sześciu laty.

Ale wróćmy do moich zapisków.

Mieliśmy kłopoty ostatniej nocy. Jeden ze stróżów nocnych, pilnujących naszych składów, poszedł sobie do oberży. Wracając, natknął się na pół tuzina celników. Wpadł w panikę. Zaczął uciekać. Celnicy za nim. Aresztowali jego i trzech innych jako podejrzanych. Ich podejrzania były jak najbardziej uzasadnione. Jeden uciekł. Przyszedł do nas. Udałem się natychmiast do p. Lawa. Mieszka w dużym domu z pięknym ogrodem w wytwornej dzielnicy. Dziś rano adwokat poszedł do więzienia. Przyrzekł aresztowanym, że ich wyciągnie i że dostaną piękną nagrodę, jeśli tylko będą trzymali język za zębami.

Mieliśmy kilku adwokatów, specjalizujących się w prawie celnym, którzy bronili naszych ludzi, jeśli ci popadli w konflikt z władzami. Jeden z prawników praktykował nawet jako urzędnik celny. Znał wszystkie przepisy i kruczki. Nasi adwokaci mieli też kontakty z urzędem prokuratora i dowiadywali się, jakie dowody będą przedstawione przeciw oskarżonym. I dysponowali listą osób, gotowych za pewną sumę składać fałszywe zeznania!

Adwokat dotrzymał słowa. Wszyscy dozorczy magazynów uwolnieni. Świadkowie zaprzysięgli, że towary na składzie stanowiły ich własność. Przedstawili sfalszowane kwity na odprawę celną, wydane na wybrzeżu. Jeden napomknął, że słyszał jakoby celnicy rozmawiali między sobą o tym, że dostaną nagrodę, jeśli sąd uzna winę oskarżonych. Sędzia uznał, że to rzuca podejrzenie na prawdomówność celników. Jestem ciekaw, czy ten sędzia był jednym z udziałowców Związku Kupców Londyńskich i naszej organizacji?

W każdym razie wynik rozprawy był dla nas bardzo pomyślny. Dozorcy składów powiedzieli mi później, że mocno ich przyciskano, by złożyli zeznania na rzecz prokuratora. Ale trzymali język za zębami. Dopilnowałem, by dostali przyrzeczoną im przez adwokata nagrodę. Wszyscy w organizacji mogli się przekonać, że dbamy o swoich ludzi.

W tym mniej więcej czasie zmarł ojciec Róży. Chorował ciężko; zapewne wskutek dawnego wypadku przy pracy w gospodarstwie. Ale do końca zachował przytomność i dobry humor. Leżąc w łóżku, zamówił własny pogrzeb i ustalił wszystkie szczegóły. Ostatnia rzecz, o jaką poprosił, była szklaneczka rumu:

— Abym mógł chuchnąć na świętego Piotra miłym zapachem, niech mi pozazdrości!

Widziałem go wcześniej tego dnia. Wyglądał okropnie, ale głos miał silny. Oddychał dość równo. Zapytał mnie, czy chciałbym wziąć po nim gospodarzkę.

— I tak częściowo jest twoja, bo tej pożyczki ci nigdy nie spłaciłem.

Powiedziałem mu:

— Nie chciałbym się osiedlać w tych okolicach, blisko morza. Róża powiada, że kiedy zabierzemy się do gospodarowania, to musimy zamieszkać w głębi kraju.

— Róża zawsze miała dobrze umeblowane w głowie — rzekł jej ojciec. — Chce cię zabrać jak najdalej od tego całego przemytu.

To był celny cios. Staralem się nie pokazać po sobie zdumienia:

— Co ma przemyt wspólnego ze mną?

— Co ty masz wspólnego z przemitem, byłoby trafniejszym pytaniem — odparł starzec. — Czyś ty myślał, że mnie nabrałeś?

Kierownik nabrzeża! A jak wróciłeś, a raczej odwieziono cię do Singleton, to wyglądałeś na bliższego śmierci niż ja dzisiaj. Powiedziałeś, że piraci cię napadli. I myślałeś, że ja w to uwierzę? Starego ptaka nie złapiesz na plewy!

— Chyba Róża nie... — zacząłem.

— Róża nigdy. Ona by twoich sekretów nie zdradziła. Co do tego możesz być spokojny.

— Jestem spokojny. Mam zupełne zaufanie...

— Gdy przenieśliście się do Londynu, myślałem z początku, że skończyłeś z przemytem. Kiedyś przyjechałem do was do Kennington. Nie było cię w mieście. To mnie już trochę zaskoczyło: twoje nabrzeże dziwnie wędruje! Róża mi coś tam nagadała, ale nie wzięła mnie na wykręty. Powiedziałem jej, że obejrzę sobie wasz dom, coście tam nowego kupili i jak się urządzacie. Róża pitrasila w kuchni. Wiedziałem, że nie ma czasu, żeby mnie oprowadzać. W pewnym momencie mysz wbiegła pod komodę, twoje Czarne rzuciło się za nią. Odsunąłem komodę, by mu pomóc złapać mysz.

Wiedziałem resztę. Pod komodą luźna deska w podłodze. Trzy woreczki z pieniędzmi, których jeszcze nie odniosłem do banku.

— To nie były oszczędności z pensji kierownika nabrzeża. — Stary Harvey leżał wychudzony, żółty jak pergamin. Ale mógł się jeszcze po łobuzersku uśmiechać. Tak pewno uśmiechał się do świętego Piotra, dysząc na niego rumem.

Roześmiałem się. Co miałem innego zrobić?

— Ale wpadłem! — zauważyłem ze śmiechem.

— Tego się właśnie boję — rzekł, poważniejąc nagle. — Wpadniesz albo dostaniesz kulę w brzuch. Zaprześtań tego, mój synu.

— Ale...

— Bez „ale”. Ja znam wszelkie twoje argumenty na rzecz przemytu. I jeśli o to chodzi, nie powiem, abym miał zastrzeżenia natury moralnej. Nie jestem świętoszkiem ani obłudnikiem. Wiesz o tym. Ale mam tylko jedną córkę. Ty jesteś jej mężem, ojcem moich wnuków. Przyłapią cię albo zabiją któregoś dnia. Nie chcę, by Róża z tymi chłopcami została sama. Wiem, że będą mieli pieniądze. Ale to nie życie dla młodej kobiety: samotność i wychowywanie synów bez męża.

Byłem głęboko wzruszony. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Zapadło milczenie. Przeleciało mi pfeż myśl, że stary Harvey wiedział też przez cały ten czas o swoim synu i pewno go namówił, by przestał zajmować się przemytem. Wreszcie zacząłem mówić:

— To jest tak. Róża i ja myśleliśmy...

— Nie proszę cię o żadne obietnice, synu — przerwał mi Harvey. — Ostatnie życzenie umierającego — to nie w moim guście. Po prostu pomyśl o tym, co ci powiedziałem. I obgadaj to z Różą.

Zmęczył się już trochę rozmową. Uściskałem mu rękę i wyszedłem, obiecując niebawem wrócić. Byłem pewny, że go jeszcze zobaczę żywego. Umarł w nocy na atak serca.

Najpierw ostrzeżenia pana Lawa, teraz mego teścia. Po pogrzebie rozmawiałem z Różą. Moja żona życzyła sobie, żeby się jak najprędzej zastosować do rady jej zmarłego ojca. Ale jeszcze nie powzięliśmy ostatecznej decyzji. Pani Harvey sprzedała gospodarkę, zwróciła nam dawny dług, a sama zamieszkała u swego syna, krawca.

Wkrótce zdarzyły się dwa wypadki. Gdyby nie słowa pana Lawa i mego teścia, gdyby nie nalegania Róży, może te wypadki nie wywarłyby na mnie tak wielkiego wrażenia. Ale w tych okolicznościach...

W styczniu były ostre sztormy w Kanale. Nasze statki musiały stać w portach — nieco mniej niż połowa była we Francji i w Niderlandach, ale większa część znajdowała się w Folkesto-ne, Dover, Deal, Ramsgate. Pan Law wyjechał na kontynent w jakichś swoich sprawach. Gdyby nie to, byłby na pewno w porę się dowiedział, co nam grozi i uniknęlibyśmy niebezpieczeństwa. Wszystkie bandy były rozproszone. Szyprowie zostawili na statkach tylko po paru ludzi do pilnowania. Ja sprawdziłem stan magazynów i zajmowałem się sprzedażą kontrabandy.

Nagle ktoś w urzędzie celnym ocknął się i zrozumiał, że trafia się wspaniała sposobność. Wysłano cały pułk wojska do portów w Kanale. Żołnierze spalili wszystkie statki, o których celnicy im donieśli, że się trudnią szmuglem. W rzeczywistości spalili sporo statków, na których nigdy nie było ani funta kontrabandy. Włącznie z „Mary Rosę”, która ostatnio wozila legalne towary dla Związku Kupców Londyńskich. Wszystko jedno, czy były to stat-

ki przemycnicze, czy nie, było to bezsensowne marnotrawstwo. Gdyby rząd prowadził wówczas równie rozsądną politykę celną jak dziś, każdy z tych statków woziłby teraz do Anglii legalny towar, potrzebny ludziom. Ale rady Adama Smitha jeszcze nie dotarły do zakutych łbów w Westminsterze.

Ryszard próbował ratować największy ze statków w porcie Deal. Uciekł żołnierzom, ale prawą rękę miał tak silnie spaloną, że trzeba mu ją było amputować aż do łokcia. Całe szczęście, że miał tę wdowę oberzystkę, która pielęgnowała go w nieszczęściu.

Pan Law przyjął katastrofę filozoficznie.

— Wielkie zyski zawsze się wiążą z wielkim ryzykiem — powiedział. — Będziemy mieli nowe statki. Nie wezmę jeszcze tego biskupstwa.

To było pierwsze z wydarzeń, które wpłynęły na moją decyzję. Nie strata statków. Strata ręki Ryszarda.

Ciężko pracowałem przez parę następnych miesięcy. Ryszard miał pomocnika, który mniej więcej znał robotę. Ale nie mogłem na nim polegać. Zaczny stary druh Ryszard. Nigdy nie było lojalniejszego przyjaciela i pomocnika. Należał do tego typu ludzi, którzy zawsze są przy boku w chwili potrzeby i których się nie dostrzega, dopóki ich nie zabraknie. Bez niego musiałem być właściwie stale w dwóch miejscach naraz. W Lambeth, gdzie układałem plany i terminy, i na wybrzeżu, by doglądać wyładunków. Ileż czasu musiałem tracić na ciągle przejazdy! Tygodniami prawie nie sypiałem. Róża denerwowała się, dowodząc, że długo tak nie wytrzymam. Miała rację. Ale jeszcze się upierałem. Róża zaczęła się złościć na mnie, irytować. Niepodobne to było do niej.

Wtedy właśnie się dowiedziałem, że Jim Derriman jest w Londynie, w więzieniu, i czeka na rozprawę. Pomyślałem, że się za-awanturował podczas jakiejś przemycniczej wyprawy. Poprosiłem jednego z naszych adwokatów, by się nim zajął. Ostatecznie, Jim należał do naszej starej bandy w Boscastle. Podjąłem się zapłacić za jego obronę. Znałem Jima. Na pewno nie odłożył niczego na czarną godzinę. Adwokat wrócił z pośpną miną. Sprawa źle wyglądała.

Banda Hawkhursta, do której należał Jim, od kiedy odszedł ode mnie, stoczyła się na dno. Walczyli z innymi przemycnikami, nie tylko z celnikami i strażą. Sterroryzowali całe Błota Romnej-

skie i okolice Hastings, Tunbridge Wells, Maidstone i Folkestone. Do przemytu dołączyli rozboje, gwałty i morderstwa. Mieszkańcy żyli w trwodze o mienie i życie. Aż pewien farmer nazwiskiem Sturt, który, zanim się zajął gospodarowaniem, służył zawodowo w wojsku, zorganizował coś w rodzaju miejscowej milicji. Mieszkał w Goudhurst, o jakieś dziesięć mil od Tunbridge Wells. Ta jego prywatna armia była właściwie nielegalna, ale władze przymknęły oczy. Ponieważ im nie udało się rozprawić z bandą Hawkhursta, oświadczyli: „Niech mieszkańcy pod wodzą Sturta popróbują”.

Banda zagroziła Sturtowi, że jeśli nie rozpuści swoich oddziałów, to napadną na Goudhurst, spalą każdy budynek, zabiją wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci. Sturt w odpowiedzi poczynił przygotowania. Zgromadził broń palną. Kazał wykopać rowy i wały. Ludzie Hawkhursta dotrzymali pogroźki i zaatakowali go. Wywiązała się krwawa bitwa. Ochotnicy Sturta strzelali zza węglów i drzwi budynków, z okien i z wieży kościelnej. Wreszcie ludzie Hawkhursta uciekli, zostawiając zabitych i rannych. Jim w ostatniej chwili wrócił, by zabrać rannego kompana. Wzięto go żywcem, gdy zabił jeszcze jednego ochotnika, a zranił drugiego. O kompletnym bezprawiu, panującym w naszym kraju, może świadczyć fakt, że nawet po tej bitwie jeszcze dwa lata minęły, nim ujęto wszystkich członków bandy. A oni przez cały ten czas nadal terroryzowali ludność.

Ale Jim już nie brał udziału w niczym po bitwie pod Goudhurst. Oskarżono go o zabójstwo, nie o przemyt. Byłem w sądzie w dniu jego rozprawy. Oskarżenie przeciw niemu było nie do zbiccia. Ani sędziowie przysięgli, ani publiczność nie okazywali najlżejszej sympatii. A Jim nie starał się wcale dopomóc obrońcy. Chętnie się, że byłby chętnie zabił jeszcze sześciu ludzi, gdyby mógł uratować towarzysza. Powieszono go przy moście Tyburn razem z trzema rozbójnikami.

Powieszony razem z rozbójnikami! Przemytnik publicznie zrównany z rozbójnikami! To było dla mnie jak obracanie noża w ranie.

— Powinno ci wystarczyć — powiedziała Róża. — Twój dziadek stracił nogę, twój ojciec życie, twój brat życie, Ryszard rękę, Derriman życie, nie mówiąc już o twoim oku. Twoja rodzina

i twoi bliscy dosyć poświęcili. Jesteśmy bogaci, naprawdę bogaci. Teraz musisz zaprzestać przemytu. Poszukaj ładnej gospodarki — daleko od morza.

Cóż jej mogłem odpowiedzieć? A za nią stał jeszcze cień jej ojca, nie wspominając o chytrym starym panu Law.

Pan Law przyjął bez zdziwienia moją rezygnację i nie stawiał przeszkód.

— I tak niedługo zwinęlibyśmy organizację, którą pan kieruje — rzekł. — Teraz zrobimy to bez zwłoki. Wiem z pewnością, że cła zostaną znacznie obniżone, chociaż rząd działa powoli. Lepiej się wycofać, znaleźć inny użytek dla kapitałów, zanim przemysł przestanie przynosić zyski.

— A ludzie, którzy figurują na naszych listach płac? — zapytałem.

— Przemysłowcy dość zarobili — odparł. — Co do urzędników biur w Lambeth, stróżów i różnych pomocników, to znajdziemy dla nich wszystkich inne posady.

— Mam pana słowo na to?

— Moje słowo. Szyprówie statków muszą się wziąć do legalnych rejsów towarowych albo pójść własną drogą. Wolny wybór. Czy pan jeszcze pomoże nam zwinąć całą organizację?

— Oczywiście.

— Trzeba rozlokować zapasy kontrabandy. Likwidację przeprowadzić starannie i bez strat. Zdąży pan w miesiąc?

— Z pewnością.

Ryszard, chociaż był aż do końca na naszej liście płac, nie pracował od czasu utraty ręki. Jego oberżystka tego dopilnowała. Kiedy poszedłem do niego z nowinami, dowiedziałem się, że oni po cichu wzięli ślub. Najlepsza rzecz, jaka go mogła spotkać. Wdówka jeszcze apetyczna, jak to mówią, przy kości. Uściskałyby ją chętnie niejeden mężczyzna z parą zdrowych ramion. Ucieszyłem się ogromnie, kamień spadł mi z serca. Ryszard w tej oberży będzie żył w wygodach do końca swoich dni. Odłożył sobie też trochę grosza. Nie było nadziei na potomstwo, ale on okazał się dobrym mężem, a ona łączyła czułość żony z troskliwą opiekuńczością matki, co jemu właśnie było potrzebne. Ryszard prędko się nauczył podawać piwo, posługując się zrecznie jedną ręką i kikutem drugiej.

Gorzej się powiodło Lambtonowi i Caseyowi. Obaj jeszcze przez jakiś czas zajmowali się przemytem, ale coraz trudniej było im utrzymać w ręku bandy. Chłopcy dowodzili, że przywódcy się zestarzelili, i wybrali sobie innych. Jak wielu przemytników, moi starzy druhowie żyli hucznie — alkohol, kobiety, różne wybryki — a na czarną godzinę nic nie odłożyli. Dostali w końcu pracę: Lambton dozorca nabrzeża portowego, a Casey został... policjantem, w Londynie. Potem brali łapówki, zamiast je dawać.

A jeszcze zanim do tego doszło, wszyscy razem przeprowadziliśmy wspólnie ostatnią wielką akcję „nabicia w butelkę” władz celnych. Zakończyliśmy karierę przemytniczą z fasonem. Nawet jednoręki Ryszard włączył się do tego planu, pociągnięty jego humorystyczną stroną. Co więcej, udało mi się namówić Różę do udziału w naszej ostatniej operacji poławiania księżycy. Wysililiśmy się więc, żeby to przeprowadzić na prawdziwie artystycznym poziomie.

Brat Róży sporządził dla mnie w rekordowym czasie strój podróżny, który był ostatnim krzykiem mody w tej dziedzinie: surdut z wysokim kołnierzem wyłożonym koło szyi, atlasowa haftowana kamizelka. Kupiłem sobie koszulę z żabotem, pantofle zapinane na sprzączki, trójgraniasty kapelusz i długą laskę ze złoconą gałką. Modnie zaprzestali podówczas noszenia szpad u boku. Miałem występować w charakterze podróżnego z najwytworniejszego towarzystwa. Założyłem czarną opaskę na rękaw i czarne piórko u kapelusza. Róża uszyła sobie fałdzistą spódnicę i krótki wcięty żakiecik z czarnej materii. Kupiła mały kapelusik z wielkim czarnym strusim piórem. Wyglądała naprawdę na elegancką damę w żałobie.

Pan Law wybrał się z nami szkunerem, postanowiwszy, jak inni, wziąć udział w tej ostatniej eskapadzie. Jego lokaj niósł za nim dwie duże torby: jedną ze zwykłymi przyborami podróżnymi, drugą — ale zobaczycie.

Pożegnaliśmy się do Ostendy, gdzie pan Law odwiedził znajomego lekarza. Stamtąd, najszybciej, jak tylko wiatr pozwolił, do Dover. Byłem zdania, że pan Law powinien rozmówić się z władzami portowymi — wywarłby na nich większe wrażenie niż ja.

— Nonsens — odparł pan Law. — To jest pana przedstawienie. Co prawda, nie gra pan głównej roli: ta aktorka czeka na

razie w Ostendzie. Natomiast ja zagram krótką rolę charakterystyczną. Nikt tu nie powinien mnie widzieć inaczej, jak tylko w owej roli. Ta czarna przepaska na oku sprawia, że z łatwością będzie pan uchodził za bohatera królewskich wojen.

W tym charakterze przeciwczyłem swoją rolę w hotelu przed panem Law. Następnie buńczucznie wmaszerowałem do biur kapitanatu portu. Wyniosłem tonem oznajmiłem:

— Pułkownik Eddy z dragonii. Powiedźcie waszemu kapitanowi portu, że chcę go widzieć — i nie marudzić tam!

Wyjąłem tabakierkę i zażyłem tabaki, naśladowując wytworne gesty, które zaobserwowałem u pana Lawa.

Niemłody już i niechlujnie wyglądający mężczyzna wybiegł z następnego pokoju. Prawdopodobnie emerytowany drugi oficer z wielkich wschodnioindyjskich statków handlowych. Speszony, zacierał ręce i poprawiał perukę, mocno nadjedzoną przez mole. Nos miał bulwiasty i czerwony.

— Pan pułkownik... proszę mi wybaczyć... pan pułkownik... mój urzędnik nie dosłyszał nazwiska... — Kłaniał się nisko przed moją strojną wspaniałością. Dla niektórych ludzi strój oznacza człowieka.

Powiewając rękawiczką przed swoim własnym nosem, jakbym chciał rozwiać odstręczające odory, wkroczyłem przed nim do wewnętrznego pokoju. Jego urzędnik pośpiesznie chował szklanki i butelkę do jakiejś szafy.

— Bardzo przepraszam... może pan pułkownik pozwoli... szklaneczkę, małą szklaneczkę... pan pułkownik...

— Eddy. Pułkownik Eddy z dragonii — oznajmiłem tonem wyniosłym, z lekka pobłażliwym, ale jak mniemałem, rozkazującym.

— U nas w Indiach — byłem z Lordem Clive, pan wie, chyba nawet pan musiał słyszeć o zdobywcy Madrasu i Bengalu — nie piliśmy nigdy przed zachodem słońca. Ale oczywiście, mieliśmy rzetelną robotę. Nie to, co tu... — pogardliwie machnąłem łaską wokół, wskazując gołe, odrapane ściany.

Kapitan portu pośpiesznie odstał o krok, w obawie o całość głowy.

— Tak, tak, oczywiście. Czym mogę służyć panu pułkownikowi... szanownemu panu? Jestem do dyspozycji. — Skłonił się, zatarł ręce i znowu poprawił perukę.

Strzeptałem rękawiczką jedyne możliwie wygodnie wyglądające krzesło — to, które stało za biurkiem, poznaczonym krążkami po butelkach i kieliszkach. Siadłem z rozmachem, położyłem kapelusz na biurku, podniosłem go z powrotem, otrzepałem z wymaginowanego kurzu i zawiesiłem na rogu krzesła.

— Wezwijcie tu do mnie głównego nadzorcę urzędu celnego — powiedziałem. — Aha, i burmistrza miasta.

Odgrywałem swoją rolę z prawdziwą przyjemnością. Kapitan portu zaczął wydawać instrukcje urzędnikowi, któremu oczy wyłaziły z orbit na widok mojej wspaniałości.

— Nie — przerwałem. — Doszedłem do przekonania, że przecież nie mogę czekać... tutaj. — Wzgardliwym wzrokiem powiodłem po odrapanych, pokrytych pajęczyną ścianach. — Wrócę do mego hotelu. Kiepskie hotele macie w Dover. Niech nadzorca celny i burmistrz tam się u mnie stawia. No i pan, oczywiście.

— Tak jest... panie pułkowniku... tak jest... szanowny panie. Według życzenia. Będziemy tam... powiedzmy... za pół godziny? Czy mogę zapytać, w jakim hotelu pan pułkownik... szanowny pan...?

Zmierzyłem go najbardziej wzgardliwym spojrzeniem, na jakie potrafiłem się zdobyć.

— W n a j l e p s z y m hotelu, oczywiście! — Wziąłem swój kapelusz. — I żeby nie czekał. W Indiach ludzi niepunktualnych przywiązywaliśmy u wylotu lufy armatniej — i wydawaliśmy rozkaz: ognia!

Wyszedłem energicznym krokiem, wciąż powiewając rękawiczką. Wsiadłem do wytwornej karety, która czekała na mnie przed budynkiem.

Kiedy lokalni dygnitarze zjawili się w hotelu, pan Law pozostał w swoim pokoju. Róża zajęła się tym, by przyjąć nasze ofiary w bardzo eleganckiej, prywatnej sali jadalnej. Kelner wszedł spieszenie zaraz za przybyszami.

— Panowie! — przywitałem ich. — W Indiach piliśmy zawsze kawę w ciągu dnia.

Róża grała swoją rolę cudownie. Siedziała skromnie obok mnie, cała spowita w czerń, kryjąc twarz i zapewne uśmiech za czarnym welonem. Rękawiczek nie zdjęła ani na chwilę — jej spracowane ręce by ją zdradziły. Od czasu do czasu wydawała wzrusza-

jące westchnienie, a właściwie szloch, i podnosiła białą, oblamowaną czarną obwódka chusteczkę do oczu pod welonem.

— Panowie, w mojej rodzinie miało ostatnio miejsce smutne wydarzenie. — Pomruk współczucia. — Matka mojej żony, Lady Arabella, wdowa po Lordzie Lambeth z Lambeth Court, zmarła, przebywając we Francji. — Pauza na dalsze pomruki współczucia i na szloch Róży. — Lady Lambeth wierzyła niezachwianie w zdrowotne właściwości zimnej wody. Nie podróżowała w życiu wiele. Nie orientowała się, że na kontynencie woda jest prze sycona zarazkami tyfusu. Piła tę wodę. — Pauza dla większego wrażenia. — Panowie pojmują, że szacowne szczątki, święty skarb dla mojej żony, dla mnie i dla wszystkich, którzy znali Lady Arabellę, muszą być sprowadzone z powrotem do jej ojczystego kraju, który tak bardzo miłowała — pauza — z największym ceremoniałem, powiedziałbym z honorami, odpowiednimi do godności nieboszczki, no i oczywiście z należą pobożnością.

Westchnąłem, w gruncie rzeczy z ulgą. Udało mi się dokładnie powtórzyć przemówienie, które mi napisał pan Law.

Lokalni dygnitarze połknęli to wszystko jak ryba haczyk. Powiedziałem im jeszcze, że na nabrzeżu będzie osobisty kapelan Lady Lambeth, by przyjąć trumnę ze zwłokami, jak również żałobnicy z rodowej posiadłości nieboszczki. W godzinę później wychodzili, uzgodniwszy szczegóły ceremonii.

Burmistrz:

— Wyrazy najgłębszego współczucia, panie pułkowniku...

Nadzorca celny:

— Wszystko odbędzie się w należyтым porządku. Proszę na mnie polegać.

Gdyby wiedział, komu tak przyrzeka swoje usługi! Kapitan portu:

— Najniższy szacunek, panie pułkowniku... szanowny panie! Każdy z nich skłonił się nisko Róży, która obdarzyła każdego oddzielnym szlochnięciem.

Odpłynęliśmy tej nocy, a wczesnym rankiem trzeciego dnia ujrzelśmy znowu białe skarpy Dover. Czekał na nas kuter kapitana portu, kuter straży celnej i inne statki różnej wielkości. Gdy zbliżyliśmy się, wszystkie spuściły flagi do połowy masztu.

Przybiliśmy do nabrzeża, na którym stało sześciu marynarzy

z królewskiej marynarki wojennej: białe rozszerzane spodnie, pasiaste bluzy, okrągłe czarne kapelusze. Róża pod swoim gęstym welonem trzęsa się obok mnie ze śmiechu. Dałem jej łokciem w bok kuksańca, jakim chyba żaden pułkownik nigdy swojej damy nie obdarzył — a może? Na nabrzeżu stał ozdobny karawan, zaprzężony w sześć karych koni w czarnych kapach i z czarnymi pióropuszcami na niespokojnych łbach. Cztery żałobne karety. Dziesięciu żałobników w odpowiednich strojach po obu stronach karawanu. Ryszard, Lambton, Casey... Dalej burmistrz miasta w stroju oficjalnym, złoty łańcuch, i tak dalej. Za nim, z gołą głową, z otwartą książką do nabożeństwa w ręku, wargami bezgłośnie, lecz nabożnie poruszając w cichej modlitwie — pastor w szatach liturgicznych. Komża i czarna stuła, wysoki, z długą twarzą, sępiim nosem, robił wrażenie ambitnego duchownego próbującego wznieść się na pierwszy szczebel drabiny wiodącej do biskupstwa.

Jak ja zazdrościłem Róży jej welonu! Myślałem, że pęknę od tego tłumionego śmiechu. Mocno to nieprzystojne dla osieroczonego zięcia Lady Lambeth z Lambeth Court.

Wokoło zgromadziła się grupa rozmaitych mieszkańców, mężczyzn i kobiet, może z pięćdziesiąt osób. Niektórzy ściskali w dłoni kwiaty, nawet wieńce.

Sześciu marynarzy wmaszerowało na pokład. Wskazałem okrągłym gestem trumnę, wniesioną z ładowni przed pół godziną, a teraz stojącą uroczyście na pokładzie, udrapowaną w angielską flagę narodową. Wzięli ją na ramiona. Wydali się trochę zaskoczeni ciężarem, jaki spoczął na ich barkach. Ta stara dama musiała być niewiastą na schwał. Znieśli trumnę po schodni i nabrzeżu do karawanu. Burmistrz upominał, by nieśli powoli, ostrożnie, z rewerencją. Umieścili trumnę na karawanie. Chłopiec spiesznie wepchnął w ręce burmistrza wielki wieniec. Burmistrz złożył go uroczyście na trumnie, obok napisu głoszącego wszem wobec imię i nazwisko szlachetnej damy, jej wiek — sześćdziesiąt dwa lata i „Requiescat in pace”. Ludzie zebrani na nabrzeżu podeszli, składając swoje wiązanki. A ja usłyszałem dobrze mi znany głos, żarliwie intonujący modlitwę i polecający „naszą zmarłą siostrę w Chrystusie” miłosierdziu i wiecznej szczęśliwości. Tylko na wargach pastora błąkał się chwilami cień przelotnego uśmiešku.

Pastor z pierwszym żałobnikiem — Ryszardem — wsiedli do

karawanu obok trumny. Róża skierowała się do pierwszej karety, z wymalowanym na drzwiczkach wspaniałym herbem. Burmistrz z odkrytą głową przytrzymał drzwiczki, mrużąc:

— Moje najgłębsze współczucie, milady...

Odpowiedział mu przekonywająco szloch spod welonu.

Kapitan portu i nadzorca celny, którzy zeszli ze swych kutrów, stali obok burmistrza z kapeluszami w ręku. Podszedłem uroczyście do nich, zanim wsiadłem za Różą do karety.

— W imieniu mojej żony i własnym oraz całej rodziny Lambeth, dziękuję wam, panowie. Panie burmistrzu...

Odpowiedział:

— Całe Dover obchodzi żałobę, panie pułkowniku.

Może by i było w żałobie, gdyby wiedzieli...

— Panie nadzorco...

— Spełniłem tylko swój obowiązek...

Akurat odwrotnie. I nawet szeląga do kieszeni za to nie dostał! Oszukuj, jeśli możesz...

— Panie kapitanie...

— To była przyjem... to znaczy zaszczyt... szanowny panie, to znaczy, panie pułkowniku — wyjął biedaczysko. Zalecał od niego silny powiew rumu.

Lambton i Casey wskoczyli z tyłu na stopnie naszej karety w charakterze stangretów. Inni żałobnicy załadowali się do pozostałych trzech powozów. Na pokładzie naszego szkunera kapitan i załoga stali szeregiem na baczność. Orszak pogrzebowy z wolna i dostojnie ruszył po nabrzeżu. Spojrzałem na gromadkę gapiów. Niektórzy mieli łzy w oczach, wycierali nosy. Burmistrz i jego dwaj kompani ze współczuciem kiwali głowami.

Jechaliśmy w takim pogrzebowym tempie ulicami Dover. Mężczyźni zdejmowali czapki na nasz widok, kobiety schylały głowy.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy się za miastem, na szosie do Canterbury, Róża odrzuciła w tył welon, wsparła się o poduszki i wybuchnęła długo hamowanym śmiechem. Lambton i Casey walili pięściami w dach karety z radości. Każdy człowiek w orszaku, nawet woźnica, był przemynikiem. Ryszard zorganizował karety i konie.

Woźnice podcięli konie i pogalopowaliśmy tak prędko, jak tylko się dało, żeby nie zgubić trumny z otwartego karawanu. Ryszard

i jego pastor co chwila rzucali się, by przytrzymać trumnę, która się zsuwała na bok, gdy braliśmy ostry zakręt albo pędziliśmy, przez most. Przed wjazdem do Canterbury zwolniliśmy znowu i wjechaliśmy do katedralnego miasta w uroczystym, dostojnym tempie orszaku pogrzebowego. Wyjechawszy za miasto, przegalopowaliśmy dalej. Ta zabawa powtarzała się w każdej miejscowości, przez którą przejeżdżaliśmy.

Zapał już zmrok, gdy dotarliśmy do przedmieść Londynu. Orszak zatrzymał się przed samotnie stojącą, pustą willą, którą wynajęliśmy na miesiąc od znajomego pośrednika. Nikogo w pobliżu nie było, zrobiła się ciemna noc. Zarzuciliśmy wszelkie symulacje. Trumnę ściągnięto bez większych ceremonii, jak zwykłą skrzynię. Róża wbiegła do willi po stopniach, z welonem odrzuconym, spódniczką uniesioną aż do kostek.

Wewnątrz dwaj „żałobnicy” z narzędziami zabrali się do roboty. Wszyscy zebraliśmy się, żeby obejrzeć „nieboszczkę”. Wyjęliśmy z trumny stare koronki francuskie, warte więcej niż ich waga w złocie. A upchane były solidnie. Jeśli Lady Lambeth z Lambeth Court tyle ważyła, musiałyby być za życia kolosem. Nic dziwnego, że marynarze się uginali pod jej ciężarem.

Było to ostatnie zadanie, jakie wykonałem dla Syndykatu. W tydzień później przeprowadziłem się do Wapping i poszedłem się pożegnać z panem Lawem.

— Zajmował się pan w swym życiu przemysłem z wielkim powodzeniem — powiedział stary pan Law.

— A jeszcze więcej rad jestem z tego — odparłem — że nigdy nie zaciążyła na mnie odpowiedzialność za czyjąś śmierć — oprócz może, w pewnym sensie, śmierci mego ojca.

Ten cień uśmiešku. Potem:

— Myślałem, że kiedy dostanę biskupstwo, zaangażuję pana w charakterze dziekana przy swojej katedrze. Ale może mimo wszystko ma pan za wiele skrupułów jak na pastora.

Mocno się głowiłem nad tymi słowami. Czy miały być pochwałą? A może stary pan Law mi nie uwierzył?

W parę godzin później żegnałem się z głównym buchalterem biur w Lambeth. Utrzymywaliśmy tylko służbowe stosunki, ale dobrze nam się razem pracowało i ufaliśmy jeden drugiemu.

— A najważniejsze, że pan wynosi całą skórę — powiedział mi na pożegnanie.

— Zajmowałem się w swoim, czasie znacznie bardziej niebezpieczną robotą — odparłem.

— Bywają różne rodzaje niebezpieczeństw — ciągnął buchalter.

— Pana poprzednik... Czy pan wie, co się z nim stało?

— Słyszałem, że się upił i wpadł do rzeki.

— Upijał się dość często, I z pewnością wyłowiono jego ciało z rzeki. Ale między jednym a drugim... język mu się zbytecznie rozwiązał.

Nagle wydało mi się, że jest duszno. W ciągu całego czasu mojej pracy dla syndykatu ostrzegano mnie, bym mocno trzymał w rękę bandy, bym nie dopuścił do żadnych gwałtów, zabójstw. Było to w interesie nas wszystkich. A jednak przez cały ten czas pracowałem dla morderców — pana Lawa, kupców, kapitanów, parów królestwa, członków parlamentu, sędziów i biskupa. Żeby uniknąć kłopotów w organizacji, oni wszyscy kazali człowieka... ilu ludzi?... jakiemuś najemnemu zbirowi utopić podczas ciemnej nocy w rzece. Teraz pojąłem, dlaczego w czasie naszej pierwszej rozmowy pan Law nie mógł patrzeć mi prosto w oczy, kiedy mówił o moim poprzedniku. Teraz zrozumiałem jego wyrażenie: „pan ma za wiele skrupułów”...

Tak, miałem skrupuły. I teraz wiedziałem, jak wyższe sfery naszego społeczeństwa zabierały się do robienia pieniędzy. Gwałt i morderstwa nigdy nie stanowiły konieczności w profesji przemysłowej. Ci z przemysłowców, którzy się uciekali do gwałtów i morderstw, byliby gwałtocielami i mordercami w każdym innym zawodzie, gdzie chodziło nawet o mniejszą stawkę niż ich własne życie. Pan Law mnie oszukał: „Nie może pan się spodziewać, aby Związek Kupców Londyńskich albo jego udziałowcy czy wyżsi urzędnicy przyjmowali na siebie odpowiedzialność. Przekona się pan, że będą panu użyteczni. A pan będzie użyteczny dla nas”. Tak, użyteczny, by się za mną schować, jeśli potrzeba, bym wisiał, jeśli potrzeba, gdy oni nie ryzykowali niczym, żyli w komforcie, zbijali pieniądze — i prawili kazania. A gdy nieużyteczny — wtrącić do rzeki.

Byłem prostodusznym głupcem. Teraz przejrzałem pana Lawa

i wzgardziłem nim. Dyszałem ciężko. Nie było czym oddychać w tym Lambeth.

Nie powiedziałem o tym Róży, dopiero znacznie, znacznie później. Ale tego wieczoru uważałem, by nie wracać do domu brzegiem rzeki. A o świcie następnego dnia zabrałem całą rodzinę z Lambeth. Zamieszkaliśmy chwilowo u mojej matki w pobliżu Folkestone. Z niecierpliwością i rozkoszą oczekiwałem teraz dnia, kiedy będę mógł oddychać świeżym, czystym powietrzem obory.

A teraz, miły czytelniku, po moim ostatnim gniewnym wybuchu muszę się pożegnać z tobą. Nie spisałem na tych kartkach wszystkiego, co jest do powiedzenia o przemyśle, oczywiście, że nie. Każdy doświadczony przemytnik mógłby tu dorzucić jeszcze wiele różnych przygód.

I jeszcze jedno. Nie nazywam się Ralf Eddy. A mój najlepszy przyjaciel nie nazywa się Ryszard Seamore. Pozmieniałem nazwiska wszystkich przemytników. Nie chcę przyczynić przykrości moim dawnym druhom ani ich rodzinom.

Ale to, co napisałem, ma w każdym razie jedną zaletę, chociaż może żadnej innej. Jest prawdą. Przydarzyło się rzeczywiście prawdziwym poławiaczom księżycy.

Posłowie

Jestem owym drukarzem, którego wymienia Ralf Eddy — będę się posługiwać tym przybranym przez niego nazwiskiem — w drugim rozdziale swoich wspomnień. W tydzień po ukończeniu przepisywania wspomnień przez żonę Ralf Eddy zmarł na udar serca. Przeczytawszy manuskrypt, odczekałem, aż minie usankcjonowany konwenans przeciąg czasu od śmierci autora, po czym złożyłem wizytę wdowie i poznałem ją, że chociaż ja sam wycofałem się już dość dawno z interesu, jednakże mam znajomości w oficynach wydawniczych i sądzę, iż jeden z moich przyjaciół drukarzy podjąłby się wydania tego manuskryptu na podstawie mojej rekomendacji. Pani Eddy wyraziła zgodę, dodając, że było to życzeniem jej zmarłego małżonka. Przekazałem manuskrypt do oficyny w formie nie zmienionej, prócz tego, iż poczyniłem tu i ówdzie drobne korekty ortograficzne i gramatyczne.

Jest jednak pewien problem, który chciałbym poruszyć, antycypując ewentualne zarzuty krytyków.

Czy jest to książka niemoralna? Czy przemytnictwo w epoce Ralfa Eddy'ego — pozostańmy już przy tym nazwisku — to znaczy, zanim przeprowadzona przez Williama Pitta w roku 1784 Ustawa o Akcyzie obniżyła do znikomych rozmiarów cła importowe od takich artykułów pierwszej potrzeby, jak herbata — oraz w tej formie, w jakiej Ralf Eddy je praktykował, było niemoralne?

Bez wątplenia — było łamaniem obowiązujących praw. Ale czy łamanie prawa zawsze jest niemoralne? Robin Hood był wielkim gwałcicielem praw i pociągał za sobą innych, lecz dzisiaj nikt, od najwyższych do najniższych obywateli naszego kraju, nie oceniłby Robin Hooda jako człowieka niemoralnego. Przeciwnie, uważamy za niemoralnych ustawodawców praw, które on łamał, opowiadamy o jego wyczynach i przygodach naszym dzieciom. Robin Hood był

i pozostanie ludowym bohaterem. Przemytników nie wzniesiono' na tak wysoki piedestał. Ale gdy w epoce Ralfa Eddy'ego wszyscy przyzwoici ludzie mieli abominację do rozbójników, złodziei' kieszonkowych, rabusiów ulicznych, a także celników, reprezentujących antyprzemytniczą ustawę — jednocześnie ci sami przyzwoici ludzie traktowali przemytników jako swoich przyjaciół, jako obrońców uprawnień i swobód obywatelskich.

Czy moralność polega na przestrzeganiu przykazań, spuszczonech nam z obłoków albo spisanych przed stuleciami? Czy moralność nie jest czymś więcej, powiedzmy — naszym stosunkiem do-innych ludzi? Jeżeli za punkt wyjścia przyjmiemy takie kryterium, standard moralności społecznej, etykę humanistyczną w odróżnieniu od etyki ortodoksyjnej, w takim razie rządy, które ustanawiają prawa wzbraniające obywatelom zaspokojenia ich rzeczywistych i normalnych potrzeb, są niemoralne. Przemytnicy w epoce Ralfa Eddy'ego, którzy łamali te prawa i dostarczali ludziom środków do zaspokojenia ich codziennych potrzeb, byli moralni.

Gwałtów i morderstw Ralf Eddy nie próbuje bronić. Utrzymuje, że nie stanowiły one integralnego składnika profesji przemytniczej. On sam i jego ojciec dowiedli swoim życiem prawdziwości tej zasady. Gwałty i mordy są ucieczką zbrodniarzy wszelkich epok, niekoniecznie przemytników.

Bywa, że jedynym sposobem udowodnienia niesprawiedliwości, niemoralności jakiegoś prawa jest łamanie go, łamanie ustawiczne, oraz organizowanie innych, by również je łamali. Czyli bunt. Ci Francuzi, którzy tłumem szturmowali i zburzyli Bastylię przed dwoma laty, łamali prawo. Ale czy nie mieli słuszności, buntując się przeciwko prawom i ustawodawcom, którzy popierali bogatych, a uciskali biednych, odmawiając społeczeństwu przyzwoitego życia?

Ludzie tacy, jak Ralf Eddy i Ryszard Seamore byli rewolucjonistami swojej epoki. Łamali systematycznie niesprawiedliwe, niemoralne prawa i organizowali innych w tym celu. Gdyby nie oni i gdyby nie poparcie społeczeństwa, jakim się cieszyła ich działalność, czy ustawa celna została by zmieniona w roku 1784? Czy cła zostały by obniżone ze stu dziewiętnastu procent do dwunastu i pół procenta od funta, jeśli chodzi o herbatę? Czy nie zawdzięczamy, my wszyscy, tej zmiany. Ralfowi Eddy'emu i jego

współtowarzyszom? Czy było to niemoralne, że uzyskali dla nas tę obniżkę?

Ustawodawcy dawnych praw celnych — a ustawy te sięgają panowania Karola Pierwszego i jeszcze odleglejszych czasów — bardziej zasługiwali na potępienie, byli bardziej niemoralni od wielu tych, których rozkazali powiesić, okaleczyć, uwięzić lub zesłać na ciężkie roboty za łamanie tych praw. Adam Smith, ten sam komisarz dla spraw celnych Szkocji, na którego Ralf Eddy się powołuje w niniejszej książce, a który stał się inspiratorem nowych ustaw, „moralnych, bo opartych na zrozumieniu potrzeb społeczeństwa, tak. pisze o przemysłowcach:

Chociaż [przemysłowiec] zasługuje bez wątpienia na naganę w wysokim stopniu, gwałci bowiem prawo swojego kraju, to przecież często jest to> człowiek, który nie potrafi pogwałcić nakazów naturalnej sprawiedliwości i byłby pod każdym względem wzorowym obywatelem, gdyby prawodawstwo jego kraju nie uznało za przestępstwo czynności, której natura nigdy za przestępstwo nie uważała*.

Jakkolwiek traktowałoby się problem sprawiedliwości lub niesprawiedliwości, moralności lub niemoralności obowiązującej do niedawna ustawy celnej, w jakimkolwiek świetle by się oceniało* moralność lub niemoralność, słuszność lub niesłuszność tych, którzy łamali te prawa w interesie nie tylko własnym, ale i swoich rodaków, należy przecież przyznać, że Ralf Eddy, a jego ojciec przed nim, posiadali zalety, o które z korzyścią dla społeczeństwa można by się ubiegać w każdej dziedzinie życia.

Działalność często dyktują ludziom okoliczności, klimat społeczny, który z kolei jest w znacznej mierze wytworem rządów i ich praw — sprawiedliwych lub niesprawiedliwych, moralnych lub niemoralnych. Ralf Eddy jako przemysłowiec mniej chyba zawinił od takiego pana Lawa, od „kupców, kapitanów, parów królestwa, członków parlamentu, sędziów i nawet biskupa” — słowem, od sfer rządzących.

Mieszkam niedaleko gospodarstwa Eddy'ch. Znałem go. Po naszym pierwszym spotkaniu w kaplicy nonkonformistów Ralf Eddy zachodził do mnie niejednokrotnie, aby przedyskutować problemy

* A. Smith: *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów*. Przekład: Bronisława Jasińska. Warszawa 1954. Tom II, ks. V, s. 691.

nasuwające mu się w trakcie pisania, owej czynności, do której był tak mało przyzwyczajony; chociaż prowadzone w okresie pracy dla syndykatu zapiski świadczą, że gęsie pióro nie było takie znowu obce jego ręce, jak deklarował. Wiem, co o nim sądzą jego sąsiedzi, farmerzy i ziemianie. Jako farmer, którego znali sąsiedzi i ja od wielu lat, był z całą pewnością człowiekiem, o jakim pisze Adam Smith:

... nie potrafi pogwałcić nakazów naturalnej sprawiedliwości... pod każdym względem wzorowy obywatel.

Wantage, w grudniu, 1791 roku.

K o n i e c

Spis rzeczy

Rozdział	I Uczciwość najlepszą polityką	5
Rozdział	II Cena nieposłuszeństwa	11
Rozdział	III „Strażnicy angielskich wolności”	23
Rozdział	IV Zatopione dzwony	33
Rozdział	V „Diabły nas gonią”!	46
Rozdział	VI Pocałunek pod pręgierzem	56
Rozdział	VII Podróż z przygodami	73
Rozdział	VIII Przyjaciele przemysłowców	88
Rozdział	IX „Nabijaj w butelkę, jeżeli się da”	100
Rozdział	X „Uczciwie i honorowo”	115
Rozdział	XI Ostatnia podróż ojca	129
Rozdział	XII Walczę o swoją przyszłość	145
Rozdział	XIII Czarne kocię	162
Rozdział	XIV Zemsta Heale'a	178
Rozdział	XV Urzędnik do zadań specjalnych	195
Rozdział	XVI Czysty aromat obory	208
Posłowie	231